SZAŁ ZABIJANIA RZEŹNIKA WOŁYNIA
„Kłym Sawur" rozpętał piekło mordów. Każdy Polak miał zginąć

250. URODZINY AMERYKI
Stany Zjednoczone powstawały w bólach, tworząc nowy porządek

WIELKI KRYZYS DUSI II RZECZPOSPOLITĄ
Załamanie gospodarcze było tak dotkliwe, że miliony Polaków walczyły o przetrwanie

NR 7(161)/2026 LIPIEC 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



UKRAINA GLORYFIKUJE LUDOBÓJCÓW

Zatruty kult UPA

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

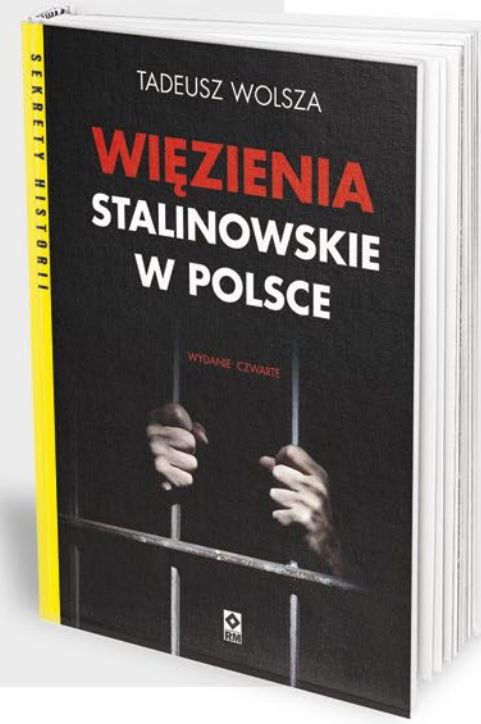
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TADEUSZ WOLSZA: „WIĘZIENIA STALINOWSKIE W POLSCE”

Książka profesora Tadeusza Wolszy to pierwsza udana próba pełnego spojrzenia na życie codzienne więźniów politycznych w Polsce w latach największego komunistycznego terroru (1945-1956).

Korzystając z dostępnej od niedawna dokumentacji Departamentu Więziennictwa i Obozów MBP oraz obficie czerpiąc z memuarystyki, Autor przedstawił codzienność w różnego rodzaju miejscach odosobnienia – więzieniach, obozach, ośrodkach pracy. Opisał metody represji, niewolniczą pracę w kopalniach, kamieniołomach i gospodarstwach rolnych. Odtworzył pobyt skazanych i ostanie chwile życia w celi śmierci między innymi Hieronima Dekutowskiego „Zapory” i Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. W pasjonujący sposób opisał też ucieczki więźniów z konwojów i zakładów karnych, na przykład z Krakowa, Sieradza, Strzelec Opolskich i więzienia mokotowskiego w Warszawie. W końcu imiennie wskazał na najbardziej brutalnych funkcjonariuszy straży więziennej, odpowiadających za skrytobójcze mordy popełnione na żołnierzach wyklętych.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

174 zł

oszczędność 40 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 318279d0bb

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© Ⓟ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Stanisławów, październik 1941 r.

Ukraińskie dziewczęta defilują przed generalnym gubernatorem Hansem Frankiem



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Kult wokół kłamstwa

Ciężko to zrozumieć, nawet jeżeli generalnie trzymamy kciuki za naszych sąsiadów odpierających rosyjską agresją. Ukraińcy, tak wyczuleni na każdy przypadek śmierci swoich rodaków zabijanych od 2014 r. przez Rosjan, czczą ludzi, którzy na rękach mają krew polskich dzieci, kobiet i mężczyzn – cywilów mieszkających na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Oczywiście Polacy przekonywani są przez Ukraińców, że nie chodzi tu o żaden antypolonizm, lecz stawianie na piedestale tych bojowników UPA, którzy walczyli z sowieckim najeźdźcą. I tak też bywa tłumaczona decyzja prezydenta Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z jednostek wojskowych imienia Bohaterów UPA. Tylko jak to oddzielić, skoro często ci sami żołnierze i dowódcy, którzy strzelali do Sowietów, rok czy dwa lata wcześniej mordowali w potworny sposób polskich cywilów, prostych mieszkańców wiosek, którzy nie stanowili żadnego zagrożenia dla świetnie uzbrojonych UP-owców? A jeszcze wcześniej eksterminowali wspólnie z Niemcami Żydów...

Dla Polaków niepojęte jest, że prezydent wolnej Ukrainy Wiktor Juszczenko, kojarzony przecież z prozachodnim kursem, uhonorował najwyższymi państwowymi odznaczeniami Romana Szuchewycza, dowódcę Ukraińskiej Powstańczej Armii, a następnie Stepana Banderę, przywódcę OUN-B, organizacji politycznej stojącej za UPA. Nie ma tu większego znaczenia fakt, że kilka lat później ukraiński sąd odebrał im tytuły Bohatera Ukrainy, powołując się przy tym na względy formalne (obaj odznaczeni nie posiadali obywatelstwa Ukrainy). Faktem jest, że na Ukrainie czczeni są ludobójcy odpowiadający za śmierć ok. 90 tys. Polaków, a taki kult nie może przynieść nic dobrego. Ani Polsce, ani Ukrainie. ©℗

eprasa.pl 318279d0bb



/ TEMAT NUMERU

.6 DAMIAN KAROL MARKOWSKI
Banderowskie kłamstwa i mity

.11 PIOTR WŁOCZYK
Ukraińskie elity o banderowcach

.12 PIOTR SEMKA
Polsko-ukraiński żmut

.16 SŁAWOMIR KOPER
Zagłada Puźnik

.20 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Taktyka rzeźnika Wołynia

/ CZASY I LUDZIE

.24 DAVID JACKSON
Rewolucja po amerykańsku

.28 TOMASZ ZAPERT
Na politycznym spalonym

.32 MIKOŁAJ IWANOW
Russo-Bałtem i czerwonym Fordem



.36 TOMASZ STAŃCZYK
Radomska „ścieżka zdrowia”

.40 JAKUB OSTROMĘCKI
Kręte drogi Druszkiewicza

.44 ŁUKASZ CZARNECKI
Ziemia Święta bandytów i morderców

.48 MAREK GAŁĘZOWSKI
Męstwo oficerów I Brygady

.52 KAMIL PISKAŁA
II RP przy pustym stole

.56 ANNA SZCZEPAŃSKA
Desperacka podróż Nowaka

eprasa.pl 318279d0bb



.60 SEBASTIAN REŃCA
Obozowe bestie

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Promienne pióro Ildefonsa

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Złamane skrzydła

.71 PIOTR SEMKA
Tajemnica Horsta S.

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Oliwa na wierzch nie wypływa

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Francja na wojskowo

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Manowce nauki

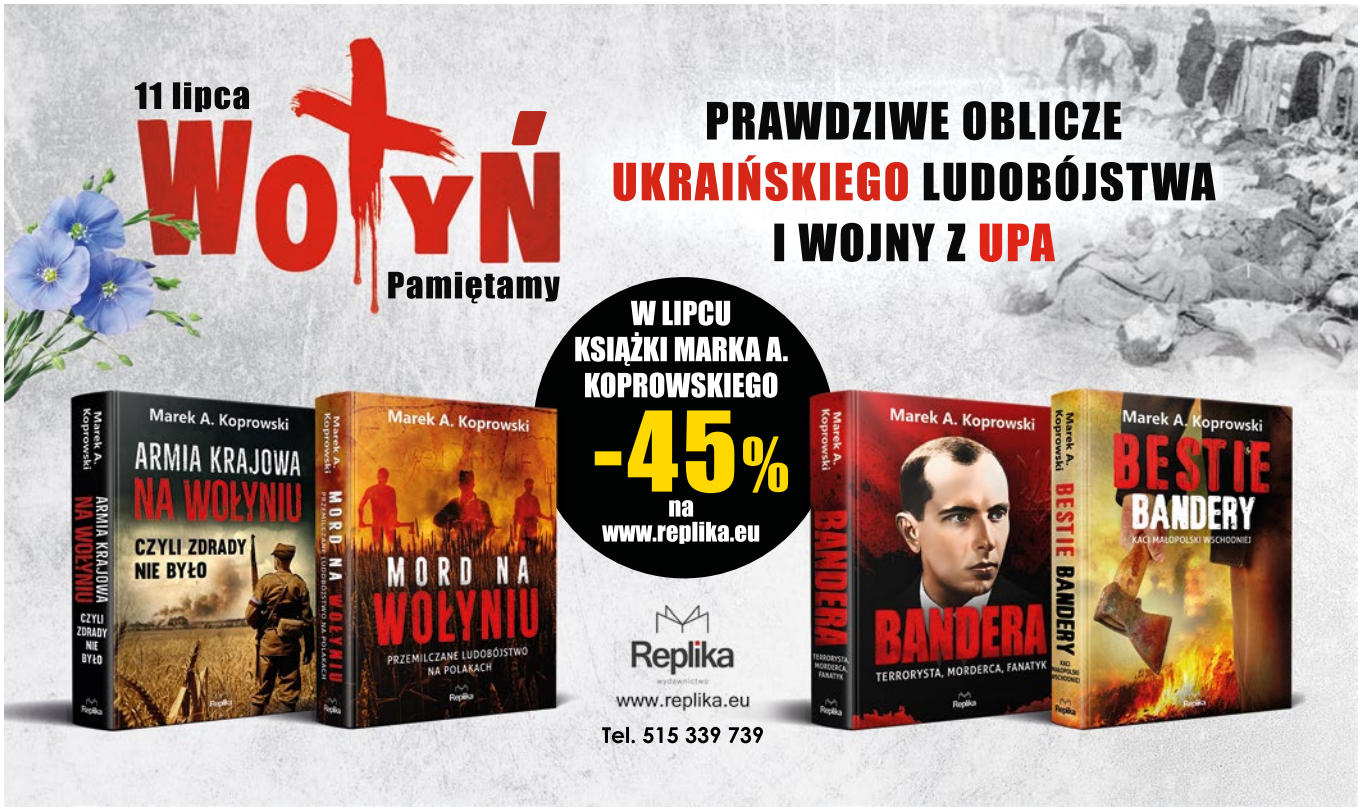
/ POD PRĄD

.81 PIOTR ZYCHOWICZ
Widzieliśmy śmierć Sikorskiego

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
W rękach gestapo i pod obserwacją ubeków

REKLAMA



eprasa.pl 318279d0bb



Pomnik Bohaterów UPA w miejscowości Skole

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HELGI

Wywiad / Z prof. Damianem Karolem Markowskim, historykiem, autorem książki „W cieniu Wołynia. Antypolska akcja OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943–1945”



rozmawia Piotr Włoczyk

Banderowskie kłamstwa i mity

– Pierwszy etap działalności UPA to realizacja ludobójczych planów. Dopiero później UP-owcy walczyli z Sowietami – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Co było trzonem działalności UPA, jeżeli weźmiemy pod uwagę poszczególne kategorie ludzi zabitych przez tę formację?

PROF. DAMIAN KAROL MARKOWSKI: Tu nie ma żadnych wątpliwości. Jeżeli chodzi o liczbę zabitych przez UPA, to na pierwszym miejscu byli Polacy, w lwiej części cywile. Były to ofiary ludobójstwa prowadzonego przez UPA. To wcale nie Sowieci stanowią pod tym względem trzon działalności banderowskiej partyzantki.

Formując swoje siły wojskowe, ukraińscy nacjonaliści dążyli do tego, by ich oddziały „wprawiły” się w zabijaniu, zanim zaczną walczyć z Sowietami i – w ograniczonym zakresie – z Niemcami. Polscy cywile byli łatwym celem, ponieważ polskie samoobrony stały się na Wołyniu silniejsze dopiero po lipcu 1943 r. Całkowicie wytrąca to więc argumenty z rąk tych ukraińskich historyków, którzy twierdzą, że UPA atakowała polskie wsie, bo musiała się bronić. Przed rozpoczęciem ludobójstwa na Polakach te samoobrony były właściwie symboliczne. Zresztą jaki sens mają opowieści, że polska samoobrona we wsi, dysponująca kilkoma karabinami, była zagrożeniem dla uzbrojonych po zęby oddziałów UPA?

Po decyzji prezydenta Ukrainy o nadaniu jednej z jednostek wojskowych imienia Bohaterów UPA słyszeliśmy przeróżne argumenty broniące tej decyzji. Poza wskazywaniem, że trzonem działalności UPA była walka z Sowietami, jej obrońcy porównywali ją również do Armii Krajowej.

Nie da się szukać symetrii między oboma tymi formacjami, bo u podstaw ich działania leżały zupełnie inne motywy. Po stronie AK również zdarzały się zbrodnie popełniane w latach 1943–1944, ale w większości przypadków nie były one planowane przez wyższe dowództwo na szczeblu sztabu obszaru (później okręgu) i nie chodziło o „wyczyszczenie” terenu z mniejszości narodowych. Pierwszy etap działalności UPA to realizacja ludobójczych planów. Dopiero później UP-owcy walczyli z Sowietami.

Gdy Polacy nie chcieli się zgodzić na opuszczenie terenów, które UPA widziała w niepodległej Ukrainie, postanowiono ich fizycznie usunąć. Czy to mordując, jak miało to miejsce na Wołyniu, czy

eprasa.pl 318279d0bb

częściowo zabijając, a resztę wypędzając, jak w Galicji Wschodniej.

AK walczyła o odbudowanie przedwojennego państwa polskiego na terenach wchodzących w jego skład przed 1939 r., natomiast UPA walczyła o niepodległą Ukrainę wolną od mniejszości narodowych. Możemy tu zacytować Romana Szuchewycza, dowódcę UPA, który stwierdził w 1944 r., że swoją antypolską akcją Ukraińcy przygotowują sobie wygodne pozycje do „zielonych stołów". Chodziło po prostu o to, by Polaków nie było już na terenach, które mogłyby się stać przedmiotem powojennego plebiscytu.

Wspomniał pan, że dowództwo AK nigdy nie planowało masowych zbrodni. Ale jednak Polacy mieli ogromny dylemat: Jak zareagować na wyrzynanie całych polskich wsi?

Po apogeum mordów na Wołyniu, gdy antypolska akcja przeniesiona została na teren Galicji Wschodniej, w polskim podziemiu pojawiały się głosy, by wydać Ukraińcom taką samą wojną, jaką oni prowadzili wobec polskich cywilów. Jednak takie propozycje były od razu tłamszone przez Komendę Główną AK. Obawiano się, że wszelkie spory między Polakami a Ukraińcami bezwzględnie wykorzystają Sowieci. Tak też się zresztą stało.

Nie da się jednocześnie zaprzeczyć, że doszło do odwetu ze strony polskiej. Szacuje się, że w wyniku takich działań zabitych zostało ok. 13–14 tys. Ukraińców. Ogromna większość z nich to cywile. Możemy szacować, że jedynie kilkuset spośród tych zabitych to ukraińscy bojownicy. Jeżeli kiedykolwiek mamy się z Ukraińcami pojednać, to musimy uznać nawzajem swoje ofiary cywilne. I my Polacy nie możemy zapominać o ukraińskich ofiarach, których było jednak dużo mniej niż polskich.

W dyskusji o tym ludobójstwie najczęściej mówi się o ok. 100 tys. Polaków zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów.

Myślę, że ta liczba jest nieco mniejsza, zapewne było to ok. 90 tys. Polaków. Na Wołyniu zginęło ich ok. 40 tys., na terenie Galicji Wschodniej ok. 35 tys., wliczając w to ofiary mordów dokonanych przez pododdziały SS złożone z Ukraińców. Do tej liczby trzeba dodać kilkanaście tysięcy Polaków zamordowanych na terenie



Hryhorij Perehijniak, kat Parośli

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ENCYKLOPEDIA WSPÓŁCZESNEJ UKRAINY

powojennej Polski. Podaję tutaj szacunki ofiar cywilnych dla okresu od lutego 1943 do czerwca 1945 r., nie wliczam w ten bilans żołnierzy Wojska Polskiego i polskich cywilów zabitych w roku 1939, Polaków zamordowanych latem 1941 r., ofiar Ukrainische Hilfspolizei (stworzonej przez Niemców formacji porządkowej złożonej z Ukraińców) oraz żołnierzy WP poległych w walkach z ukraińskimi nacjonalistami w latach 1945–1947.

Dlaczego banderowska OUN tak długo zwlekała z powołaniem UPA?



Tablica upamiętniająca Polaków zamordowanych w Parośli

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GRZEGORZ NAUMOWICZ, KOLEKCJA PRYWATNA

Ukraińscy nacjonaliści obawiali się przedwczesnego zaangażowania ludności ukraińskiej w partyzantkę, co musiałoby doprowadzić do znacznych strat. Do czego zresztą doszło na Wołyniu. Po tym, gdy UPA opanowywała coraz większe fragmenty Wołynia, Niemcy skierowali tam duże siły, które pacyfikując teren wymordowały wiele tysięcy Ukraińców.

Ale z drugiej strony OUN-B obawiała się, że w miarę słabnięcia aparatu okupacyjnego Niemców Ukraińcy będą wcielani do sowieckiej partyzantki. Osobnym zagadnieniem było zagrożenie ze strony politycznych wrogów po stronie ukraińskiej, m.in. frakcji Andrija Melnyka, która ściśle współpracowała z Niemcami, a także „pierwszej UPA".

Czym ta „pierwsza UPA" różniła się od formacji zbrojnej OUN-B?

Ta bardziej znana, banderowska UPA powstała pod koniec 1942 r. „Pierwszą UPA" była natomiast formacja działająca na Polesiu i części Wołynia od przełomu lat 1941 i 1942, założona przez atamana Tarasa Bulbę-Borowcia. Prowadził on początkowo walki z partyzantką sowiecką i z Niemcami. Bulba odcinał się od mordowania polskich cywilów, wskazując, że doprowadzi to do kompromitacji ukraińskiego ruchu narodowego. Co istotne – jego żona została zamordowana przez banderowską frakcję OUN...

„Bulba" chciał prowadzić bardziej „cywilizowaną" działalność partyzancką?

Można tak to określić. „Bulba" jak najbardziej chciał walczyć z Polakami o Wołyń i Ziemie Zachodnioukraińskie, był ukraińskim patriotą, ale nie przewidywał, że ta walka przybierze postać ludobójstwa, do czego zmierzała UPA.

Kim byli ludzie, którzy tworzyli banderowską UPA?

Ta formacja tworzona była stopniowo. Najpierw powstała na Wołyniu. Dowódcą wołyńskiej UPA został Dmytro Klaczkiwski ps. Kłym Sawur. Był on zwolennikiem całkowitego wymordowania Polaków z Wołynia. Jego nastawienie było tak radykalne, że gdy zaczął wydawać podkomendnym zbrodnicze rozkazy, niektórzy okazywali wahanie. Wśród ukraińskich nacjonalistów panowała zgoda w sprawie tego, że należy likwidować tych

eprasa.pl 318279d0bb

Polaków, którzy będą walczyć z ukraińskim ruchem narodowym, ale w sytuacji, gdy tysiącami mordowano dzieci i kobiety, wielu tych ludzi miało duże wątpliwości.

Już podczas pierwszej akcji banderowskiej UPA, do której doszło 9 lutego 1943 r., wymordowana została polska wieś Parośla. Pierwsza sotnia UPA, dowodzona przez Hryhorija Perehijniaka ps. Dowbeszka-Korobko, zabiła tam co najmniej 151 osób. Ich zbiorowa mogiła przetrwała zresztą w otoczonym lasem pustkowiu do dziś jedynie dzięki opiece jednego z miejscowych Ukraińców.

„Chrzest" bojowy UPA w krwi polskich cywilów...

Później działalność UPA eskaluje, w miarę jak jej szeregi rosną. Temu procesowi sprzyjało to, że wiosną 1943 r. nastąpiła masowa dezercja do lasu Ukrainische Hilfspolizei. Przypomnę: były to kolaboracyjne pododdziały będące od jesieni 1941 r. na służbie niemieckiej.

Część ukraińskich historyków wydaje się całkowicie pomijać fakt, że wielu spośród późniejszych żołnierzy UPA, a także jej dowódców, było niemieckimi kolaborantami, którzy zwłaszcza na Wołyniu – ale również w Galicji Wschodniej – uczestniczyli wcześniej w zagładzie ludności żydowskiej. Przykładem może być tu Iwan Kłymczak ps. Łysy. Najpierw dowodził on oddziałem Ukrainische Hilfspolizei i uczestniczył w tzw. ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej na Wołyniu. A gdy przeszedł do UPA, dowodził masakrą Ostrówek i Woli Ostrowieckiej – jednej z największych zbrodni dokonanych w czasie rzezi wołyńskiej. Zamordowano wtedy ponad 1,2 tys. polskich mieszkańców tych dwóch sąsiednich wsi.

Ile w rzezi wołyńskiej było winy Stepana Bandery? Po niedawnym powtórnym pogrzebie Andrija Melnyka, którego prochy sprowadzono z Luksemburga, prezes ukraińskiego IPN stwierdził, że również szczątki Stepana Bandery mogłyby zostać przywiezione z Niemiec.

Bandera jest symbolem walki OUN i UPA, jednak bezpośrednio nie był odpowiedzialny za antypolskie mordy, ponieważ był wówczas przetrzymywany przez Niemców w obozie Sachsenhausen. Natomiast Bandera oczywiście przyczynił się do tego pośrednio poprzez swój



Iwan Kłymczak „Łysy", kat Ostrówek i Woli Ostrowieckiej FOT. COMMONS WIKIMEDIA, YAROVENKO.UCOZ.UA

radykalizm, antypolonizm i wodzowski wpływ na organizację.

Latem 1941 r. Bandera został aresztowany przez Niemców. Nie był przetrzymywany w obozie na tych samych warunkach, co inni więźniowie. Niemcy zapewnili mu niezłe warunki; mógł odbierać korespondencję i był tam generalnie bezpieczny. Berlin zakładał, że Bandera może się jeszcze przydać, co zresztą okazało się słuszną kalkulacją. W 1944 r., po zawarciu porozumienia z OUN-B, Niemcy zwolnili Banderę.

A gdyby to on realnie stał w 1943 r. za działaniami UPA?

Myślę, że wszystko mogłoby się potoczyć tak, jak znamy to z historii. Przecież to z jego inicjatywy wiosną 1941 r. powstały tzw. instrukcje ukraińskich nacjonalistów. Pokazywano wtedy, co robić, gdy wybuchnie wojna niemiecko-sowiecka i gdy nastanie – jak to określano w dokumentach OUN – „ukraińska narodowa rewolucja". Zakładano w nich wyniszczenie Żydów i likwidację polskich warstw kierowniczych – to był kierunek promowany przez Banderę.

Chociaż Bandera siedział w Sachsenhausen, był zapatrzony w nazizm?

Tak. Ten niemiecki kolaborant sam zresztą uważał się za wodza narodu ukraińskiego. Przed jeszcze większym uwikłaniem we współpracę z nazistami ukraińskich nacjonalistów uratowało tylko to, że latem 1941 r. Niemcy czuli się potężni i stwierdzili, że nie muszą współpracować z Ukraińcami, internując przywództwo OUN-B.

Gdzie na tym spektrum antypolskości sytuował się Roman Szuchewycz, głównodowodzący UPA od sierpnia 1943 r. do marca 1950 r.?

Szuchewycz wywodził się ze lwowskiej, ukraińskiej inteligenckiej rodziny. Wśród bliskich miał prawników, lekarzy – elitę ówczesnego Lwowa. Szuchewycz przejął nacjonalistyczne, antypolskie myślenie OUN-B, stając się do pewnego stopnia wyrazicielem woli Bandery. W październiku 1943 r. wizytował Wołyń, przez który przetaczała się fala mordów na Polakach. Zobaczył, że OUN-B sprawuje władzę w terenie. Podjął wtedy decyzję o przeniesieniu antypolskiej akcji na teren Galicji Wschodniej, czyli na przedwojenne województwa: tarnopolskie, stanisławowskie i lwowskie, a w lutym 1944 r. – także na południowo-wschodnie rejony województwa lubelskiego

Czyli był zadowolony z efektów ludobójstwa na Wołyniu.

Jak najbardziej, choć prawdopodobnie to z jego inicjatywy ludobójstwo na Polakach prowadzone w Galicji Wschodniej miało być nieco „lżejsze", jeśli w ogóle można ująć opis tych masowych zbrodni w taki sposób. Szuchewycz prawdopodobnie zakazał mordowania kobiet i dzieci. Ginąć mieli „jedynie" mężczyźni, a reszta Polaków miała być zastraszana i wypędzana. Jednak praktyka różniła się od tych wytycznych: w Galicji Wschodniej ludobójstwo wyglądało bardzo podobnie jak na Wołyniu, a Szuchewycz, jako dowódca UPA, bezpośrednio za to odpowiadał.

Kto stanowił drugą po Polakach największą kategorię zabitych przez UPA?

Byli to... Ukraińcy. W Polsce często wspomina się, że Ukraińcy ginęli z rąk UPA za to, że ratowali Polaków. Tacy bohaterscy ludzie też byli ofiarami UPA, najprawdopodobniej były to setki osób, ale z rąk nacjonalistów ukraińskich zginęło co najmniej kilkanaście tysięcy Ukraińców zgładzonych z innych przyczyn. Mówimy tu głównie o okresie powojennym, gdy antysowiecka partyzantka bardzo brutalnie rozprawiała się z każdym, kto jakkolwiek był podejrzany o współpracę bądź tylko sympatię wobec władzy. Często dochodziło do sytuacji, gdy zabijano całe rodziny z małymi dziećmi, dlatego że ojciec był milicjantem, urzędnikiem czy nauczycielem.

eprasa.pl 318279d0bb

Myślę, że kolejną kategorię zabitych przez UPA, zbliżoną do liczby ukraińskich ofiar cywilnych, byli Sowieci. Jednak trzeba pamiętać, że zdecydowana większość zabitych – czy to funkcjonariuszy, czy żołnierzy Armii Czerwonej – stanowili Ukraińcy ze wschodu. Do tego grona ofiar zalicza się też urzędników czy nauczycieli, którzy przyjechali ze wschodniej czy z centralnej Ukrainy. Oczywiście były to osoby zsowietyzowane, które współtworzyły system, ale jednak postępowano wobec nich nieproporcjonalnie brutalnie, zważywszy na fakt, że nie byli to jednak funkcjonariusze bezpieki czy żołnierze.

Czwartą kategorię stanowili Żydzi?

Trudno powiedzieć, ponieważ nie wiemy, jakie dokładnie straty Ukraińcy zadali Niemcom. Być może UPA zabiła kilka tysięcy ich żołnierzy i funkcjonariuszy. Nie jesteśmy też w stanie oszacować, jaka była skala mordów dokonanych przez UPA na ukrywających się Żydach. Rozkazy, by mordować Żydów, którzy przetrwali Holokaust, dowództwo UPA wydawało jeszcze jesienią 1944 r.! To pokazuje rzeczywisty stosunek OUN-UPA do ludności żydowskiej, wbrew temu, co stara się lansować m.in. Wołodymyr Wjatrowycz, były szef ukraińskiego IPN. Twierdzi on, że w szeregach UPA walczącej o Ukrainę bez mniejszości narodowych chętnie służyli też Żydzi. Sęk w tym, że takie opinie ukraińscy historycy formułują na podstawie spreparowanych dzienników osób, które nigdy nie istniały!

Między bajki możemy włożyć gigantyczne straty Niemców ponoszone w walkach z UPA, o których mówią niektórzy ukraińscy historycy. To ma oczywiście na celu pokazanie, że UPA walczyła zacięcie z dwoma totalitarnymi okupantami. Jednak Wjatrowycz i inni historycy nie chcą pamiętać, że w czerwcu 1944 r. OUN i UPA zawarły z Niemcami sojusz. Na mocy tego porozumienia wypuszczeni zostali z niemieckich obozów i więzień czołowi banderowscy działacze, a Niemcy przekazali UPA ogromne ilości amunicji, broni i innego sprzętu wojskowego. UPA kolaborowała więc z Niemcami w sposób zupełnie otwarty.

Tacy ludzie jak Wjatrowycz twierdzą, że na Wołyniu i w Galicji Wschodniej trwała regularna wojna polsko-ukraińska.

To jest przekaz niezgodny z rzeczywistością. Wjatrowycz przyznaje wprawdzie, że dochodziło do zbrodni na Polakach, ale twierdzi, iż działo się to na mniejszą skalę, niż przedstawia to strona polska, a ponadto istniała „równowaga" w zbrodniach.



Ekshumacja w miejscowości Gaj

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM LEONA POPKA

O wojnie polsko-ukraińskiej możemy mówić na terenach południowo-wschodniej Lubelszczyzny w 1944 r. Tam skala ofiar wśród cywilów była po obu stronach ogromna. Polacy dokonali wówczas m.in. zbrodni w Sahryniu, gdzie zamordowano nie mniej niż 606 osób, w tym co najmniej sześciu Polaków (omyłkowo). Na zdecydowanej większości terenów, gdzie UPA prowadziła działania antypolskie, nie było żadnej wojny polsko-ukraińskiej, tylko ludobójstwo prowadzone przez UPA.

Jaka byłaby banderowska Ukraina, gdyby takie państwo powstało po drugiej wojnie światowej?

To byłoby państwo faszystowskie, wodzowskie, bez mniejszości. Te, które nie byłyby fizycznie wyniszczone, np. Czesi, zostałyby poddane ukrainizacji.

Dziś na Ukrainie słychać głosy, że OUN i UPA walczyły o demokratyczną Ukrainę. Nic z tych rzeczy. To miało być monopartyjne państwo. Działacze OUN dopiero na przełomie lat 1944 i 1945 stwierdzili, że trzeba się pokazywać jako siła demokratyczna. Chcieli się w ten sposób przypodobać zachodnim aliantom wobec nieuchronnej klęski Niemiec. To była gra propagandowa, taktyczny ruch, często podnoszony przez niektórych, bardziej nacjonalistycznie nastawionych, apologetów UPA.

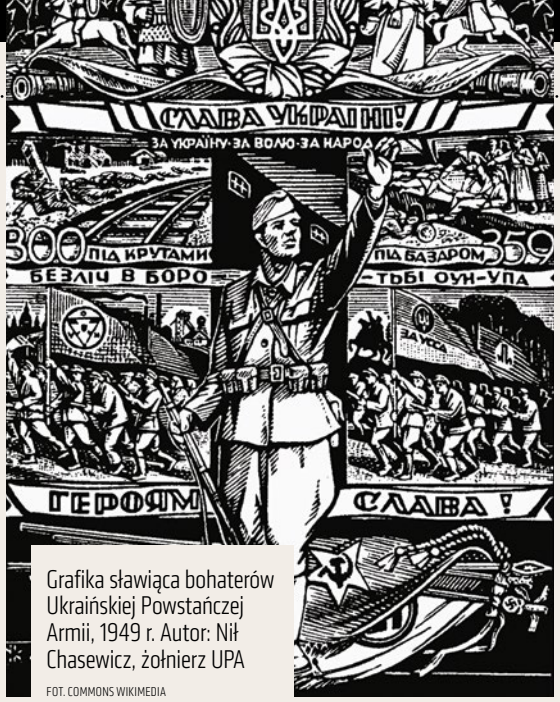
Z ich ust możemy usłyszeć jeszcze jeden argument mający rozmywać odpowiedzialność za rzeź wołyńską: to było powstanie chłopskie, do którego jedynie dołączyła się UPA.

To jest kolejna klisza OUN. Już wiosną 1943 r. pojawiły się instrukcje, które wskazywały, że należy przedstawiać antypolską akcję jako „reakcję mas ludowych". Już wtedy UPA chciała ubrudzić krwią Polaków ręce całego narodu ukraińskiego, przekonując, że masowe mordy to polityka wszystkich Ukraińców. To, że dziś niektórzy historycy ukraińscy twierdzą, iż UPA tylko się przyłączyła do buntu ukraińskich chłopów, jest wyrazem złej woli. Przecież prawdę można łatwo wyczytać z dokumentów OUN i UPA.

Jak krwawy był powojenny, antysowiecki rozdział walki UPA?

To była walka na śmierć i życie, bezwzględna, krwawa, przerażająca. Przez

eprasa.pl 318279d0bb



Grafika sławiąca bohaterów Ukraińskiej Powstańczej Armii, 1949 r. Autor: Nił Chasewicz, żołnierz UPA

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

szeregi UPA po 1944 r., gdy nastąpiła przymusowa mobilizacja do tej formacji, przewinęło się ponad 100 tys. osób. Jednak w szeregach UPA w jednym momencie nigdy nie walczyło więcej niż 20 tys. ludzi.

To była wojna partyzancka, która zawsze jest brudna. UPA zawzięcie walczyła z Sowietami, aż do całkowitego zniszczenia całej swojej struktury. Ta walka była dużo bardziej zacięta i krwawa niż w Polsce. Jej efekt był tragiczny dla ludności zachodniej Ukrainy. Tylko w ramach akcji deportacyjnych, mających pozbawić UPA zaplecza, na wschód ZSRS wywieziono co najmniej 203 tys. osób. Była to skala porównywalna z wywózkami sowieckimi z polskich Kresów, do których doszło w latach 1940–1941.

Do tego dochodziły dziesiątki tysięcy zbrodni popełnianych przez funkcjonariuszy sowieckich, gwałty na ukraińskich kobietach, krwawe pacyfikacje wsi. Ponadto, o czym już wspomniałem, UPA bardzo brutalnie rozprawiała się nie tylko z ludźmi zaangażowanymi choćby w niewielkim stopniu w budowę sowieckiego systemu. Nierzadko wyrokiem śmierci było samo podejrzenie sympatii prokomunistycznych, co oczywiście bywało wykorzystywane do przeprowadzania osobistych porachunków.

Dla Sowietów to, co się działo na Ukrainie ze strony UPA, było większym problemem niż działalność polskiego podziemia?

Bez wątpienia. Dopiero po 1946 r. problem ukraińskiej partyzantki został zepchnięty na głęboką prowincję. UPA konała przez kilka lat – rozformowano ją w 1949 r. – a ostatniego partyzanta Sowieci złapali w 1960 r.

Jak pan odebrał decyzję prezydenta Ukrainy, która wywołała w Polsce taką burzę?

Prawdę mówiąc, nie byłem tym zaskoczony. Na froncie walczy kilkadziesiąt ukraińskich brygad, wiele samodzielnych pułków. Ta decyzja to oczywiście poważne uderzenie w relacje polsko-ukraińskie, ale ona zapadła stosunkowo późno… Ja się spodziewałem tego już w 2022 r. Najpierw jednak przydzielono jednostkom nazwy, które nie budzą u nas większych kontrowersji. Niektóre wręcz odwołują się do wspólnego dziedzictwa, np. wojen Rzeczypospolitej z Moskwą.

Bardzo źle się stało, że cała ta historia wybuchła akurat teraz, wywołując skrajnie negatywny oddźwięk w mediach społecznościowych. Zdaję sobie sprawę, że emocje nakręcają boty i farmy trolli, ale takiego zalewu obustronnej nienawiści jeszcze nie było. Mam nadzieję, że to nie doprowadzi do tragicznych skutków. Tę minę trzeba jak najszybciej rozbroić.

Dlaczego na Ukrainie tak wielu ludzi nie chce słyszeć o tym, co dla nas jest oczywistością?

Ukraina stwierdziła najwyraźniej, że jest państwem na tyle silnym, że nie musi się do niczego przyznawać. Nikt nie jest odpowiedzialny za działania swoich przodków, ale jesteśmy już jak najbardziej odpowiedzialni za to, jak opowiadamy o przeszłości.

W całej tej ukraińskiej dyskusji na temat ich bohaterów bardziej nawet niż wynoszenie Bandery na piedestał szokuje mnie traktowanie w ten sposób Szuchewycza, który bezpośrednio był odpowiedzialny za decyzje dotyczące ludobójstwa dokonanego na Polakach.

Można odnieść wrażenie, że Szuchewycz to na Ukrainie ktoś taki, jak dla nas gen. Stefan Grot-Rowecki.

Coś jest na rzeczy w tym porównaniu. Zastanawia mnie też kondycja moralna ludzi, którzy nie mają problemu z gloryfikowaniem takich postaci historycznych. Życzyłbym sobie, by w kręgu ukraińskich historyków mówiło się tak o polskich ofiarach, jak w Polsce mówi się o ukraińskich pomordowanych. Przecież mamy w Polsce wielu poważnych historyków, którzy opisali zbrodnie dokonane przez polskie podziemie na ukraińskich cywilach. I bardzo dobrze, że tak się stało, ponieważ o ciemnych kartach historii trzeba rozmawiać, pisać, odcinać się od nich.

A nawet powstają na ten temat książki, które zyskują szerokie grono czytelników. Żeby nie szukać daleko, jedną z nich napisał nasz redakcyjny kolega, Piotr Zychowicz. Myślę oczywiście o „Skazach na pancerzach". Czy analogiczne książki znajdziemy na Ukrainie?

Piotr Zychowicz opisał tam m.in. zbrodnię oddziału NSZ na Ukraińcach w Wierzchowinach. Takich popularnych publikacji nie ma na Ukrainie. Gorzej – ostatnio miałem w rękach ukraiński podręcznik dla szkół średnich, gdzie wprost jest napisane: ofiary były po obu stronach, a konflikt rozpoczęła strona polska, która zaczęła mordować Ukraińców. I tak uczniowie karmieni są kłamstwami.

Jednak w całej tej dyskusji najbardziej wstrząsające są dla mnie głosy tych polskich publicystów, którzy przekonują, że musimy za wszelką cenę zrozumieć Ukraińców – UPA jest dla nich ważnym symbolem i koniec. To jest droga donikąd. Jeżeli my, Polacy, stwierdzimy, że czczenie przez Ukraińców Szuchewycza i innych masowych zbrodniarzy jest ceną, którą musimy zapłacić za spokój we wzajemnych relacjach, to będzie to oznaczało, że z naszym społeczeństwem dzieje się coś bardzo złego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Damian Karol Markowski jest historykiem, znawcą relacji polsko-ukraińskich w okresie drugiej wojny światowej, autorem wielu publikacji na ten temat, m.in. „W cieniu Wołynia. Antypolska akcja OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943–1945", „Zwrotnice. Rozstanie narodów", a także „Strybki. Z AK pod skrzydła NKWD".

eprasa.pl 318279d0bb

Ukraińskie elity o banderowcach

WIKTOR JUSZCZENKO, prezydent Ukrainy w latach 2005–2010:

Polacy powinni zrozumieć jedno. W tym samym czasie na tych samych ziemiach powstały dwa ruchy narodowe, które miały jeden cel. Oni widzieli swoje państwa jako niepodległe. Tak zrodziła się UPA i tak zrodziła się Armia Krajowa. Nie byłoby sprawiedliwie mówić, że AK to anioły, a UPA to diabły. Mamy dojść do porozumienia historycznego, a obie strony stawiały przed sobą te same cele. Tak jak dla Polaków bohaterem jest AK, tak dla Ukraińców bohaterem jest UPA […]. Nie chciałbym, żeby pouczać Ukraińców, kto ma być bohaterem. Dobrze znam historię Piłsudskiego. Co robił złego Bandera, czego nie robił Piłsudski? Wydaje mi się, że najlepszym wykładowcą dla Bandery był właśnie Piłsudski. Bandera robił to samo co Piłsudski, używał tych samych narzędzi politycznych".

Wywiad w RMF FM, październik 2017 r.

ANDRIJ SADOWY, od 2006 r. mer Lwowa:

Tej nocy wróg wziął za cele dwa obiekty pamięci narodowej we Lwowie: uniwersytet w Dublanach, gdzie 100 lat temu studiował Stepan Bandera, i muzeum Romana Szuchewycza w dzielnicy Biłohorszcza. Symboliczne i cyniczne. Wojna o naszą historię".

Wpis z 1 stycznia 2024 r. na koncie w serwisie Telegram w reakcji na rosyjski nalot

PETRO POROSZENKO, prezydent Ukrainy w latach 2014–2019:

Dziś mija 75. rocznica jej [UPA] utworzenia. Jednocześnie hołd pamięci historycznej nie powinien sprawiać, by czasy współczesne i przyszłość były zakładnikami przeszłości. Pamiętamy o wielkich czynach, nie zapominając o ciężkich stronicach w naszej historii […]. Zawsze powinniśmy pamiętać mądrą radę Jana Pawła II: przebaczać i prosić o przebaczenie, czyli odczuwać nie tylko własny, lecz i cudzy ból. Jest to ważne po to, by mieć dobre stosunki i zaufanie w relacjach z europejskimi sąsiadami […]. Dla większości naszych dziadów i pradziadów wojna zakończyła się w maju 1945 roku. Ale nie dla żołnierzy UPA. Ich walka z komunistycznym reżimem totalitarnym trwała jeszcze ponad dziesięć lat".

Fragment przemówienia wygłoszonego w Dzień Obrońcy Ukrainy, październik 2017 r.

OŁEH TIAHNYBOK, lider nacjonalistycznej partii Swoboda:

Gdy myślimy o żołnierzach, którzy bronią dziś naszych granic przed moskiewską nawałą, to wiemy, że niejeden z nich czerpał natchnienie z czynu żołnierzy UPA. Domagamy się przywrócenia Stepanowi Banderze i Romanowi Szuchewyczowi tytułów Bohaterów Ukrainy!".

Fragment przemówienia przed dorocznym marszem UPA w Kijowie (październik 2017 r.)

DR WOŁODYMYR WJATROWYCZ, historyk, w latach 2014–2019 przewodniczący Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej:

W XX wieku do przeprowadzenia ludobójstwa potrzebne było państwo z całą jego machiną. Tylko państwa mogą stworzyć warunki do masowego mordowana. Wszystkie przykłady ludobójstw w XX wieku pokazują, że przeprowadzały je wyłącznie państwa […]. Ofiary padały po polskiej stronie, ale także po ukraińskiej. Sprawy kryminalne dotyczą zarówno masowych zbrodni na polskich, jak i na ukraińskich cywilach. Dlatego uważam, że była to wojna, w której główne role odgrywały Armia Krajowa i UPA […]. Głównymi uczestnikami były AK i UPA, ale cywile również brali w tym udział i z jednej strony byli oni głównymi ofiarami tej wojny, ale z drugiej strony dochodziło wówczas do aktów, które można nazwać »żakerią« – ukraińscy cywile z jednej wioski atakowali polskich cywili i na odwrót. Są też przykłady cały ukraińskich wiosek, które zostały wymordowane…".

Fragment wywiadu w „Historii Do Rzeczy" nr 7/2018

ANDRIJ MELNYK, w latach 2014–2022 ambasador Ukrainy w Berlinie:

Powodem wrogości między Polską a Ukrainą było to, że Ukraińcy byli największą mniejszością narodową w Polsce. Ukraińcy byli uciskani w niewyobrażalny sposób i dlatego Ukraina zwróciła się przeciwko Polsce. Była dla nas jak nazistowskie Niemcy i Sowieci".

Wywiad w programie „Jung & Naiv", lipiec 2022 r.

PROF. BOHDAN HUD', wykładowca Uniwersytetu Narodowego im. Iwana Franki we Lwowie:

W społeczeństwie i wśród historyków ukraińskich nie ma jednolitych poglądów. Jedni dość jednoznacznie potępiają czyny UPA, drudzy uważają, że nie było zbrodni UPA, była natomiast w 1943 r. druga wojna polsko-ukraińska (pierwsza to wojna o Lwów i Galicję Wschodnią, 1918–1919), a na wojnie padają ofiary z obu stron. Ja osobiście powtarzam za wybitnym ukraińskim historykiem, prof. Jarosławem Daszkewyczem, że to, co się stało wtedy na Wołyniu, zasługuje na jednoznaczne i surowe potępienie ze strony Ukraińców".

Fragment wywiadu w „Historii Do Rzeczy" nr 7/2023

Wybrał: Piotr Włoczyk.

eprasa.pl 318279d0bb



Portret Stepana Bandery na Euromajdanie, Kijów, styczeń 2014 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FLICKR SPOILT.EXILE

Wieki XX–XXI / Jak historia wykuwa przyszłość

Polsko-ukraiński żmut



Piotr Semka

Oba nasze narody splecione są bolesną historią, która bardzo poważnie rzutuje na teraźniejszość i przyszłość. Czy da się jeszcze zrealizować wskazania Jana Pawła II, który jasno zabrał głos w sprawie leczenia ran Polaków i Ukraińców?

Żmut to określenie z polszczyzny używanej na Kresach, które oznacza bezwładnie poplątane sznurki, tasiemki lub włosy. To sformułowanie, spopularyzowane przez pisarza Jarosława Marka Rymkiewicza, w szerszym znaczeniu odnosi się do skomplikowanej plątaniny, kłębowiska nie do rozplątania, gmatwaniny spraw, bardzo często silnie naznaczonej trudną przeszłością.

Właśnie dlatego to dość archaiczne słowo wybrałem na tytuł dla tekstu, który powstaje w chwili dyplomatycznego konfliktu na linii Warszawa – Kijów. Dlaczego ten splot wzajemnych urazów i podejrzeń jest tak trudny do rozwiązania? Wyliczmy po kolei elementy po stronie polskiej i ukraińskiej, które czynią ten spor o przeszłość tak zagmatwany.

Pomieszanie z poplątaniem

W samym szczycie konfliktu, 7 czerwca br., ważna postać ukraińskiej wyobraźni zbiorowej, Dmytro Jarosz, ogłosił swój manifest do Polaków. Jarosz był jednym z bohaterów „prawego sektora" podczas Euromajdanu (na przełomie lat 2013 i 2014). Tamten protest wysadził z siodła prorosyjskiego premiera Wiktora Janukowycza. Gdy w lutym 2022 r. wybuchła pełnoskalowa wojna Rosji przeciw Ukrainie, Dmytro Jarosz wyruszył na front i był jednym z organizatorów oporu, który zatrzymał rosyjskie oddziały. Dzisiaj jest znaną „osobowością internetową", która ma rzeszę obserwujących na całej Ukrainie. Krótko mówiąc – jest jednym z symboli ukraińskiego oporu przeciwko najazdowi Putina.

Już po awanturze wokół „Bohaterów UPA" Jarosz opublikował bardzo głośny wpis. Zaczął go od zacytowania poematu narodowego wieszcza Ukraińców Tarasa Szewczenki pt. „Do Polaków". Jest to swego rodzaju zderzenie wyobrażenia o dawnym braterstwie Polaków i Kozaków, które zostało zniszczone przez narzucenie prawosławnym unii z Kościołem katolickim, a także aktami przemocy ze strony polskiej. Ich symbolami są „jezuici" i „zapalona chata droga", co – jak można się domyślać – jest synonimem nacisku na katolicyzację Ukraińców i przemoc polskich „królewiątek", czyli ludzi, którzy narzucali pańszczyznę chłopom przyzwyczajonym do kozackich swobód.

Tak to, tak to bracie Lasze,
Księża i panowie
Rozsiekali drużbę naszą
Mieczem po połowie.

eprasa.pl 318279d0bb



Dmytro Jarosz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PRAWY SEKTOR, WOŁODYMIR TWERDOCHLIB

Podaj-że rękę kozakowi
I szczere serce jemu daj,
Dopomóż, bracie, wygnańcowi
Odtworzyć dawny, cichy raj!

Po tym odwołaniu się do poety, który dla naszych sąsiadów ze Wschodu znaczy mniej więcej tyle samo, co dla nas Adam Mickiewicz, zaczyna się zasadniczy tekst przesłania Dmytra Jarosza:

„Nie chcę być wrogo nastawiony do Polaków... i bez tego mamy wystarczająco dużo wrogów... Jednym z moich największych marzeń jest wojskowo-polityczna unia Ukrainy, Polski, Litwy, Białorusi (bez Łukaszenki), Mołdawii itd., nuklearny status tej unii, wpływ na procesy europejskie i światowe. Ale niektórzy polscy politycy nie dają za wygraną; i próbują wbić nóż w plecy ukraińskiej państwowości i potencjalnym geopolitycznym powiązaniom... Zostawcie nas i naszych Bohaterów, którzy walczyli z rosyjską, niemiecką i polską okupacją...

Teraz walczymy o naszą i waszą wolność. My – Ukraińcy – jesteśmy tarczą Polski i całej Europy [...]. Po raz kolejny wzywam Polaków i ich przywódców, by nie żyli przeszłością... Dajcie szansę przyszłości [...]. Wzywam was do uznania, że to wy byliście okupantami na naszej ukraińskiej ziemi, tak jak teraz są nimi Erefiści... [pogardliwe określenie Rosjan od skrótu „RF" – Rossijskaja Federacja – przyp. P.S.]. A my, Ukraińcy, mieliśmy i mamy absolutne prawo zniszczyć najeźdźców i agresorów na naszej ziemi danej nam przez Boga. Jeśli to zaakceptujecie, to prawda zatriumfuje i wtedy będziemy mieli szansę razem zbudować nowe życie w nowej Europie. Jeżeli nie, to osłabi to was i nas, i możliwe, że Polska ponownie zostanie podzielona między możnych tego świata. Precz z polskim szowinizmem! Niech żyje wolna Polska i wolna Ukraina. Znów bądźmy braćmi".

Przepraszam za ten przydługi cytat, ale pokazuje on, jak w jednej wypowiedzi można połączyć dobrze brzmiące dla polskiego ucha plany stworzenia silnego bloku państw zagrożonych rosyjskim imperializmem, wyrazić życzenie pojednania polsko-ukraińskiego, z jednoczesnym stawianiem jako rzeczy oczywistej tezy, że Polacy byli na Ukrainie okupantami i że nasi wschodni sąsiedzi „mieli i mają absolutne prawo zniszczyć najeźdźców i agresorów".

Trudno nie odnieść wrażenia, że początkiem tego w swej istocie kontradyktoryjnego zestawienia tez i życzeń jest sam wiersz Tarasa Szewczenki. Przedstawia on wyśnioną wizję arkadii pojednania polsko-ukraińskiego z czasów koegzystencji Rzeczypospolitej ze wspólnotami kozackimi, które potem w opinii Szewczenki jednostronnie złamała Polska. Ci Polacy, którzy rzadko stykają się z narodową mitologią Ukraińców, nie są w stanie zrozumieć, jak możliwe jest takie współistnienie – jak się wydaje szczerej – woli braterstwa między Ukrainą i Polską, z żądaniem pełnego zaakceptowania przez nasz kraj specyficznej ukraińskiej mitologii narodowej, która tworzona jest tam od 1991 r.

Można tu wskazać podstawową antynomię. Ukraińcy, przynajmniej ci, którzy uznają bojowników UPA za bohaterów walki z Rosją, z jednej strony podkreślają, że ten kult nie ma ostrza antypolskiego, a z drugiej strony albo usprawiedliwiają przemoc przeciw Polakom, uznając ich za okupantów, albo w najlepszym wypadku naiwnie pytają: „A co takiego w ogóle Polacy robili na Wołyniu, na nieswojej ziemi?". Fakt, że część z nich żyła tu niekiedy od wielu pokoleń (nawet od ponad 500 lat), z pewnością bardzo by ich zdziwił. Dla Polaków jest to niepojęte, a wręcz głęboko obraźliwe. Dla bardzo wielu Ukraińców, jak o tym świadczy przykład manifestu Dmytra Jarosza, jest to rzecz całkowicie oczywista.



Papież Jan Paweł II podczas pielgrzymki na Ukrainie, 2001 r. FOT. G. GAŁĄZKA/SIPA/EAST NEWS

Zaniechania z przeszłości

Jak każdy naród, który stosunkowo niedawno – bo dopiero 30 lat temu – uzyskał trwałą państwowość, Ukraina musiała zlepić nową tożsamość z wielu często niegdyś przeciwstawnych trendów. Tak samo było w przypadku Litwy, Łotwy i Estonii w okresie międzywojennym czy Słowacji po 1993 r. We wszystkich tych przypadkach mieliśmy do czynienia z narodami o korzeniach chłopskich, a nie szlacheckich. W kwestii Ukrainy

eprasa.pl 318279d0bb



Tablica we Lwowie upamiętniająca Romana Szuchewycza

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUCZACZ-LWIW

dodatkowym czynnikiem była jeszcze trwająca ponad 70 lat sowietyzacja, której bardzo często towarzyszyła zwykła rusyfikacja. Oznacza to, że dopiero od trzech dekad może się tam rozwijać bardziej swobodna refleksja nad relacjami polsko-ukraińskimi.

I, co trzeba wyraźnie zaznaczyć, w jednym akurat istotnym dla nas elemencie tradycja rosyjska z czasów carskich połączyła się z ukraińską z lat 1918–1921, a także z wizją historii wykładanej w szkołach sowieckich. O co chodzi? We wszystkich tych stereotypach Polacy występowali w roli ciemiężycieli. Dla historiografii z czasów carskich był to ciemiężyciel katolicki, dla narodowców ukraińskich – polsko-narodowy, a dla dziejopisów sowieckich – klasowy. Ta wizja przeszłości nigdy nie miała okazji zderzyć się na większą skalę z polskim spojrzeniem. A jednocześnie Polska była i jest niesłychanie atrakcyjnym wzorcem sukcesu cywilizacyjnego po 1989 r. Na dodatek trwająca wojna z Rosją Władimira Putina w oczywisty sposób zachęca do myślenia o jakiegoś rodzaju sojuszu mogącym blokować zakusy Kremla, zwiększającym bezpieczeństwo Polski i Ukrainy.

Sprawę dodatkowo skomplikowała rzeczywistość trwającej już ponad cztery lata wojny z Rosją, która siłą rzeczy skupiła uwagę wielu Ukraińców na kwestii zupełnie podstawowej – na przetrwaniu. Przy czym każdy konflikt zbrojny potrzebuje wyrazistych symboli i wysuwa na czoło bohaterów walczących z bronią w ręku, a nie filozofów, intelektualistów i ludzi sztuki z przeszłości. Na dodatek zawiodły nadzieje, że rolę promotorów pojednania przyjmą na siebie z jednej strony polski Kościół katolicki, a z drugiej strony Kościół greckokatolicki. Takie nadzieje pojawiły się w połowie lat 90. pod wpływem słów Jana Pawła II o pojednaniu obu narodów. Ogromne wrażenie wywarły słowa papieża Polaka wygłoszone w trakcie jego pielgrzymki do Lwowa 26 czerwca 2001 r.:

„Odczuwamy głęboką wewnętrzną potrzebę uznania różnych przejawów niewierności ewangelicznym zasadom, jakich nierzadko dopuścili się chrześcijanie, pochodzenia zarówno polskiego, jak i ukraińskiego, zamieszkujących te ziemie. Czas już oderwać się od tej bolesnej przeszłości! [...] Niech przebaczenie – udzielone i uzyskane – rozleje się niczym dobroczynny balsam w każdym sercu. Niech dzięki oczyszczeniu pamięci historycznej wszyscy będą gotowi stawiać wyżej to, co jednoczy, niż to, co dzieli, ażeby razem budować przyszłość opartą na wzajemnym szacunku, na braterskiej wspólnocie, braterskiej współpracy i autentycznej solidarności".

Zakładano, że pojednanie przypominać będzie wymianę listów pomiędzy episkopatami Polski i RFN. Dlaczego wzorzec polsko-niemiecki nie zadział w relacjach Polaków i Ukraińców?

Po pierwsze, w wypadku Niemiec nowo powstałe po wojnie Niemiecka Republika Federalna i Niemiecka Republika Demokratyczna przyjęły na siebie bez żadnych formalnych zastrzeżeń całość odpowiedzialności moralnej za zbrodnie niemieckiego szowinizmu. W wypadku Ukrainy takie organizacje jak OUN – zarówno frakcja Andrija Melnyka, jak i Stepana Bandery, a następnie UPA – weszły do panteonu nowej państwowości ukraińskiej. Widać tu więc bardzo wyraźną różnicę między Niemcami a Ukrainą.

Po drugie, dla Polaków trudnym do pominięcia wątkiem dyskusji o rzezi wołyńskiej i późniejszych akcjach odwetowych AK i BCh oraz akcji „Wisła" jest brak symetrii między tymi wydarzeniami. Ukraina nie chce uznać tego faktu i w dużym stopniu właśnie to podejście osłabia wcielanie w życie wezwania papieskiego z 2001 r.

Ponadto rola Kościoła katolickiego w Polsce znacząco osłabła, a i sami biskupi znacznie ostrożniej wchodzą na grunt drażliwych stosunków polsko-ukraińskich. Ale i Kościół greckokatolicki na Ukrainie też nie jest zbyt aktywny w wyjaśnianiu skali mordu wołyńskiego i woli ogólnikową formułę – nasi robili złe rzeczy, wasi robili złe rzeczy, przebaczmy sobie nawzajem.

Obawy o przyszłość

Czytając opinie publicystów ukraińskich starających się spokojnie tłumaczyć Polakom, że kult UPA i Bandery nie ma charakteru antypolskiego, a zamiast tego jest raczej na dzisiejszej Ukrainie swego rodzaju sztandarem jedności narodowej wobec rosyjskiej agresji, można zrozumieć intencje stojące za tego rodzaju usprawiedliwianiem. Tacy autorzy tłumaczą aktualny splot wydarzeń, który spowodował wybór tej, a nie innej symboliki. Ale jednocześnie unikają oni odpowiedzi na pytanie, czy dzisiejsze działania władz Ukrainy nie rzucą złowrogiego cienia na przyszłość naszych wzajemnych stosunków. Bo faktem jest, że w żadnym innym europejskim kraju nie doszło do takiego wydźwignięcia w symbolice założycielskiej nowej państwowości formacji, która jest obciążona

eprasa.pl 318279d0bb

współpracą z Niemcami i zbrodniami, które przywodzą na myśl jedynie masakry dokonane na terenie dawnej Jugosławii przez chorwackich Ustaszy i to, co rumuńska Żelazna Gwardia robiła z tamtejszymi Żydami.

I tutaj wracamy do rozpoczynającego ten tekst przesłania Dmytra Jarosza skierowanego do Polaków. Jeśli jeden z najbardziej znanych organizatorów militarnego oporu przeciw atakowi Rosji z taką łatwością mówi: „Mieliśmy i mamy absolutne prawo zniszczyć najeźdźców i agresorów na naszej ziemi danej nam przez Boga", to w naszych uszach brzmi to jak zestawianie polskich mieszkańców wsi na Wołyniu z rosyjskimi oddziałami napierającymi obecnie na ukraińskie linie obronne. Jeśli takie jest myślenie przedstawiciela ukraińskich elit – łączącego politykę i kręgi wojskowe – to jakie będzie przesłanie państwowe Ukrainy w kolejnych latach, gdy elita wyłoniona w czasie wojny sięgać będzie po najwyższe stanowiska w państwie?

Tak się zresztą dzieje po każdym wielkim konflikcie wojennym. Ludzie, którzy mają poczucie, że swoimi własnymi piersiami obronili ojczyznę, zyskują przekonanie, iż mają prawo decydować o przyszłości swojego kraju. A to oznaczać będzie, że doktrynę pt. „Wołyń był okupowany przez Polaków, więc my, Ukraińcy, mieliśmy i mamy absolutne prawo zniszczyć najeźdźców i agresorów na naszej ziemi" przedstawiciele tego nurtu myślenia będą wprowadzać do nauczania szkolnego i kultury masowej.

W tym kontekście wyjaśnienia szefa ukraińskiej dyplomacji Andrija Sybihy, że decyzja o nadaniu ukraińskiej jednostce wojskowej imienia Bohaterów UPA była wyborem żołnierzy, nie uspokajają Polaków – wręcz odwrotnie. „Nasi obrońcy zasługują na bezwarunkowy szacunek. To właśnie oni dziś, kosztem własnego zdrowia, a często także życia, utrzymują linię frontu i bronią całej Europy przed rosyjskim zagrożeniem. Płacą za to najwyższą cenę" – podkreślił Sybiha.

To, że ktoś wykazuje się odwagą w walce z Rosjanami, ma oznaczać, że ma kwalifikacje do rozstrzygania historycznych sporów? Do ustalania składu panteonu bohaterów w skali całej Ukrainy?



„UPA żyje!". Plakat przed siedzibą Służby Bezpieczeństwa Ukrainy we Lwowie, 2007 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WODNIK

Czy się godzi?

Dla wielu Polaków ta metoda budowania państwowej tożsamości jest nie do zaakceptowania. Nie dlatego, że chcą innym narzucać swoją wolę, ale dlatego, że wynoszenie pewnych formacji jest w istocie upokarzaniem ich ofiar. Jak donosiła Wirtualna Polska, podczas niedawnej wizyty ukraińskiej delegacji w Polsce Kijów zaproponował zmianę nazwy jednostki wojskowej, tak by zamiast o Bohaterach UPA była mowa o członkach UPA, którzy walczyli przeciwko ZSRS. Tyle że zmiana nazwy tej jednostki armii ukraińskiej na „Bohaterów UPA walczących z Sowietami" nie załatwia problemu. Przecież Roman Szuchewycz, który zginął w walce z NKWD w 1950 r., jako dowódca UPA ponosił odpowiedzialność za mordowanie polskich cywilów w Galicji Wschodniej, gdzie przeniósł z Wołynia ludobójczą taktykę. A co z „Kłymem Sawurem", czyli Dmytrem Klaczkiwskim, który osobiście kierował rzezią wołyńską? On też zginął – w lutym 1945 r. – w walce z NKWD. Czy śmierć z rąk Sowietów rehabilituje jego nazwisko i sprawia, że nie warto pamiętać o tym, co robił przed podjęciem walki z komunistami?

Dlatego Polacy nie mogą obojętnie patrzeć, jak dobierani są bohaterowie ukraińskiego panteonu. Nie mogą zachowywać się biernie, jeżeli szanują pamięć o swoich ofiarach. Naiwna jest wiara części ukraińskich publicystów proponujących – niekiedy bardzo szczerze – by zadowolić się specyficzną formą pojednania polsko-ukraińskiego pod hasłem: „Was rżnęli nasi, nas rżnęli wasi – podajmy sobie ręce".

A przecież dodatkowo wielu członków UPA jeszcze wcześniej „czyściło" Wołyń i Lwowszczyznę z Żydów, wkupując się w łaski Niemców, aby zdobyć broń. O tym też nie trzeba mówić? Faktem jest, że Ukraina trafiła akurat na moment, kiedy oddziaływanie Izraela na pamięć zbiorową na świecie uległo znacznemu osłabieniu. Konflikt w Gazie zdewaluował rolę, którą w pamięci o Holokauście odgrywał np. Instytut Yad Vashem.

Ale od dyskusji o zachowaniu UPA w czasie wojny Ukraina nie będzie w stanie uciec. Informacje o konflikcie dyplomatycznym na linii Warszawa – Kijów przypomniały w światowych mediach o ciemnych kartach ukraińskiego nacjonalizmu, co na pewno nie polepszyło pozycji międzynarodowej naszych wschodnich sąsiadów.

W tekstach wielu ukraińskich publicystów sprzeciw wobec gloryfikowania UPA tłumaczony jest jako czysto koniunkturalny chwyt polityków, najczęściej prawicowych. Są to jednak tylko pobożne życzenia. Politycy reagują w taki, a nie inny sposób – być może niekiedy faktycznie instrumentalnie – ponieważ dostrzegają głębokie przekonanie sporej części Polaków, że gloryfikacja UPA i Bandery to groźne zjawisko.

Tego czynnika nie da się zbagatelizować lub uznać za obsesję zacietrzewionych Polaków. Wołyń i UPA to niezabliźniona rana, o której Polakom niełatwo zapomnieć. Wszelkie próby ominięcia tego problemu to droga donikąd. A jednocześnie Polacy muszą mieć świadomość, że kwestia Wołynia nie może całkowicie przesłaniać relacji polsko-ukraińskich. Nad próbą znalezienia wyjścia z tego dylematu przyjdzie nam pochylać się jeszcze długo. Jak to ma wyglądać? Na to pytanie nie sposób jeszcze dziś odpowiedzieć. Ale oba sąsiedzkie narody nie uciekną od siebie. I to też trzeba do znudzenia przypominać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb



1945 r. / Ostatni rozdział orgii mordów

Zagłada Puźnik

Pogrzeb ekshumowanych polskich ofiar zbrodni UPA w Puźnikach FOT. VLADYSLAV MUSIIENKO/PAP



Sławomir Koper

Ludobójstwo Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej wcale nie zakończyło się wraz z ponownym wkroczeniem Sowietów na te tereny. Mieli się o tym przekonać mieszkańcy wsi Puźniki

Wspomnienia polskich mieszkańców są straszliwą lekturą. To, co najbardziej przeraża, to nawet nie liczby, ale okrucieństwo, istna orgia zbrodni. Ofiary mordowano w wymyślny sposób: łamano im kości, odrąbywano kończyny, ciężarnym kobietom rozpruwano brzuchy. Dzieci nadziewane były na sztachety i krzyżowane na drzwiach (jako symbol polskiego orła), naszych rodaków przerzynano piłami, wydłubywano im oczy, palono żywcem, ofiary skrępowane drutem kolczastym topiono w studniach. Ludzie modlili się, aby zginąć od kuli i uniknąć męczeństwa. Zmasakrowane zwłoki często fotografowali Niemcy – inwencja zbrodniarzy wprawiała w osłupienie nawet hitlerowców.

Wydarzenia z lat 1943–1945 zasługują na miano prawdziwej apokalipsy. To czasy bezlitosnej eksterminacji osób mających polskich przodków – w mieszanych narodowościowo rodzinach zmuszano Ukraińców do zabijania najbliższych. W przypadku odmowy banderowcy mordowali całą rodzinę. Warto bowiem pamiętać, że na Wołyniu było dużo wsi zamieszkanych wspólnie przez Polaków i Ukraińców, a mieszane małżeństwa przed wojną stanowiły niemal 10 proc. ogółu związków. Ofiarami zbrodniarzy padali nawet ludzie, których sąsiedzi nie wiedzieli o ich polskim pochodzeniu. Wywiad UPA działał sprawnie; wołyńskim Polakom zewsząd groziła śmierć.

„W pierwszym zabudowaniu – wspominał Jerzy Krasowski – znaleźliśmy wstrząsający widok, obraz wbitego na ostry słup przy furtce kilkuletniego chłopca. Na parkanie był napis »Litak Sikorskoho« [Samolot Sikorskiego – przyp. G.M.]".

To nie był jednostkowy przypadek, ponieważ dzieci mordowano w wyjątkowo okrutny, wymyślny sposób.

„W jednej z wiosek – wspominał Wincenty Romanowski – w pobliżu Derażnego po pogromie znaleziono w chacie małe dziecko z wyprutymi wnętrznościami. Jelita były rozpięte na ścianie w jakiś nieregularny sposób, a na jednym z gwoździ wisiała kartka z napisem »Polska od morza do morza«".

W oczekiwaniu na atak

Wieś Puźniki była niemal całkowicie polską miejscowością leżącą w powiecie buczackim. Liczyła ok. 800 mieszkańców, a rodzin ukraińskich i mieszanych było zaledwie kilkanaście. W 1939 r. Puźniki

eprasa.pl 318279d0bb

zajęli Sowieci, deportując na Syberię ok. 40 osób. Po trzech latach okupacji niemieckiej, latem 1944 r., powróciła Armia Czerwona.

Rok wcześniej w Puźnikach powstała polska samoobrona oparta na miejscowych strukturach Armii Krajowej, dowodzona przez por. Mieczysława Warunka. Jej obecność zapewniała wsi bezpieczeństwo, chociaż banderowcy wciąż mordowali w okolicy. W samych Puźnikach podczas jednego z ich napadów spłonęły trzy zagrody, ale nie odnotowano żadnych strat w ludziach, podobnie jak podczas kolejnego napadu na sąsiednią miejscowość – Nagórzankę.

Samoobrona z Puźnik brała też udział w innych akcjach obronnych. Pod koniec września 1943 r. udzielono pomocy mieszkańcom pobliskiego Korościatynia, odstraszając zbrodniarzy i przerywając rzeź. Mimo interwencji banderowcom udało się zabić 156 osób, w tym kilkanaścioro dzieci, a wieś niemal całkowicie spłonęła. Natomiast w styczniu 1944 r. odbito sześciu mieszkańców aresztowanych przez policję ukraińską pod zarzutem niewywiązywania się z obowiązkowych dostaw.

Po rozpoczęciu drugiej sowieckiej okupacji wydawało się, że niebezpieczeństwo ze strony banderowców minęło. Nacjonaliści byli bowiem zajadłymi wrogami Sowietów, a ci nie zamierzali tolerować partyzantki dążącej do powstania niepodległej Ukrainy. Niekiedy zdarzało się jednak, że Sowieci nie przeszkadzali w rzeziach na Polakach. Najwyraźniej wychodzili z założenia, że im więcej naszych rodaków wymordują banderowcy, tym mniej będzie kłopotów dla władzy sowieckiej.

Latem 1944 r. Armia Czerwona opanowała okolice Puźnik i szef polskiej Samoobrony ujawnił się przed Sowietami. Skończyło się to tak, jak w wielu innych podobnych przypadkach – por. Warunek trafił na 10 lat na Syberię.

Sowieci rozpoczęli szeroką akcję propagandową, zachęcając polskich mężczyzn do wstępowania w szeregi wojska powstałego w ZSRS. Wezwania te z nieufnością traktowali szczególnie członkowie Armii Krajowej i samoobrony. Pewnym wyjściem z sytuacji okazał się nabór do Batalionów Niszczycielskich (Istriebitielne Bataliony – IB), przeznaczonych do oczyszczania terenu opanowanego przez Armię Czerwoną. Oddziały te w założeniu miały likwidować partyzantkę ukraińskich nacjonalistów, ale w rzeczywistości zwalczały wszelkiego rodzaju przejawy oporu wobec sowieckich porządków. Przy okazji stosowano odwieczną metodę „dziel i rządź", kierując ukraińskie IB przeciwko polskiej ludności, a oddziały z przewagą Polaków do akcji antyukraińskich. W efekcie podtrzymywano konflikt narodowy. Tym bardziej że wśród dowódców znajdowali się także Ukraińcy nienawidzący Polaków i wręcz sympatyzujący z UPA.



Petro Chamczuk, dowódca oddziału UPA, kat Puźnik, w mundurze Armii Czerwonej FOT. WIKIPEDIA

Dla polskich ochotników służących w IB najważniejszy był jednak fakt, że nie wysyłano ich na front, gdzie szanse przeżycia były znikome. Przynajmniej w teorii przestawało się nimi interesować NKWD, a do tego pozostając na miejscu, mogli bronić bliskich przed banderowcami. W rzeczywistości miało się jednak okazać, że nie zawsze i nie wszędzie tak było.

Gdy w nocy z 4 na 5 lutego 1945 r. banderowcy dokonali napadu na wieś Barysz, Polacy z batalionu IB w pobliskim Buczaczu usiłowali natychmiast ruszyć na pomoc. Zakazał im tego jednak dowódca, grożąc rozstrzelaniem w przypadku samowoli. Dlatego w Baryszu wymordowano 135 Polaków, a ocaleli wyłącznie broniący się w szkole i w kościele.

Ten napad nie był wyjątkiem. 8 lutego w odległym o 4 km od Puźnik Zalesiu dokonano rzezi naszych rodaków, a przy okazji zamordowano stających w ich obronie Ukraińców. Nie obyło się bez typowego dla UPA okrucieństwa, takiego jak włóczenie za saniami, przygniecenie żywego jeszcze mężczyzny kamienną płytą czy spalenie żywcem kilkorga Polaków zamkniętych w suszarni tytoniu. Nie zabrakło także rąbania ludzi siekierami.

Schwytanych mieszkańców Zalesia poddawano przesłuchaniom, stosując tortury, których celem było wydobycie informacji na temat polskiej samoobrony w Puźnikach. Banderowcy doskonale bowiem pamiętali jej skuteczne działania w poprzednich miesiącach i chcieli się odpowiednio przygotować do ataku.

Sytuacja wsi nie była łatwa. IB stacjonował w Buczaczu, natomiast w samych Puźnikach znajdowały się znikome ilości amunicji i broni. Praktycznie nie



Szczątki ofiar UPA w Puźnikach odnalezione w 2023 r. FOT. FUNDACJA WID

eprasa.pl 318279d0bb



Zdjęcie z konferencji prasowej w Puźnikach po odnalezieniu szczątków ofiar zbrodni UPA

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

istniały już lokalne struktury Armii Krajowej i pozostało niewielu mężczyzn zdolnych do skutecznej obrony. W tej sytuacji niektórzy z mieszkańców zdecydowali się na ucieczkę.

„W naszym domu – wspominał Stanisław Baraniecki – odbyła się spokojna i długa rozmowa. Oprócz naszej rodziny uczestniczyli w niej brat mamy Stach Działoszyński i brat ojca Michał Baraniecki. Przeważała opinia, że banderowcy zaatakują Puźniki, a nasza samoobrona jest zbyt słaba, aby nas obronić. W końcu zdecydowano, że dla ratowania życia musimy opuścić naszą ojcowiznę".

Uciekinierzy musieli przejść przez zniszczony przez Ukraińców Barysz. Największe wrażenie zrobił widok martwego niemowlęcia wbitego na ostrze śluzy spiętrzającej kanał przepływający przez miejscowość…

Zarąbani w rowie

Do ataku doszło w nocy z 12 na 13 lutego 1944 r., tuż przed Środą Popielcową. Pomimo obaw wielu mieszkańców, zmęczonych nocowaniem w zamaskowanych schronach, pozostało we własnych obejściach. Rozstawiono wprawdzie warty, ale do ataku doszło w momencie ich zmiany.

Zaalarmowani mieszkańcy ruszyli do schronów, a niektórzy ostrzeliwali się z posiadanej broni. To dawało czas na ucieczkę, jednak problemem szybko stał się brak amunicji. Nic zatem dziwnego, że najbardziej zdesperowani pozostawiali ostatnią kulę dla siebie – banderowcy nie oszczędzali nikogo i ci, którzy zginęli od kul, mogli uważać się za szczęściarzy. W ruch poszły siekiery i drągi, Polaków zabijano czasami bez pośpiechu, by jak najbardziej przedłużać egzekucję. W jednym z rowów znaleziono kilkadziesiąt kobiet i dzieci. Napastnicy zarąbali ich siekierami, a potem dobijali bagnetami…

Niektórzy z mieszkańców uciekali poza zabudowania, inni usiłowali dotrzeć do plebanii znajdującej się obok kościoła. Był to murowany, piętrowy budynek, z którego okien prowadzono ostrzał. Gmach został zabarykadowany, a uciekinierów wciągano przez okna.

„Chłopcy z Puźnik – wspominała Maria Kret – […] ostrzeliwali z okien pierwszego piętra podchodzących banderowców. Jedna z zakonnic, siostra Stefania, w fartuszku roznosiła obrońcom granaty. Ludzie wraz z księdzem Antonim Wawrzyńskim modlili się. Śpiewano pieśni".

Dużo szczęścia miała Honorata Dancewicz, której nie udało się przedostać do plebanii. Ukryła się w grocie-kaplicy znajdującej się za figurą Matki Boskiej i dzięki temu przeżyła. Kapliczka zachowała się zresztą do dnia dzisiejszego.

Banderowcy wycofali się o świcie, a dopiero kilka godzin później do pozostałości wsi wkroczył sowiecki batalion. Służący w nim Michał Sobków z Koropca do końca życia pamiętał tamten dzień:

„W centralnych częściach wsi makabryczne widoki. Wiele kobiet z obciętymi sutkami wyje niesamowicie. Na każdym kroku spotyka się ludzi z krwawiącymi ranami głowy zadanymi im siekierami. Zgłasza się do nas o pomoc kilkuletni chłopiec, Rudolf Łódzki, z wgniecioną czaszką. Nic jednak nie możemy mu poradzić, ponieważ nie ma wśród nas lekarza. Dziurę w czaszce ma zaklejoną chlebem. Opatrzność Boska chyba nad nim czuwała. Matka i dwie jego siostry zostały jednak zabite. Podążam śladem komisarza. Jego z kolei prowadzą na miejsce zbrodni ci, którzy przeżyli. Przed nami zwłoki mężczyzny. Miejscowi ludzie rozpoznają w nim Józefa Jasińskiego. Sztyletami zadane ciosy są jedne przy drugich. Trafiamy następnie na zwłoki małego dziecka. Otoczenie twierdzi, że to Stasio Wiśniewski liczący zaledwie półtora roku. Na widok noża wepchniętego w jego usta robi mi się jakoś dziwnie słabo".

Pościg sowiecki został skierowany w zupełnie innym kierunku, niż wskazywali ocaleni mieszkańcy. Nic zatem dziwnego, że sprawcy – kureń UPA „Szare Wilki" Petra Chamczuka „Bystrego" – uszli bez strat. Chamczuk miał też na sumieniu napad na Czerwonogród 10 dni wcześniej, gdzie jego ludzie zabili kilkudziesięciu Polaków. Zbrodniarz poległ już po zakończeniu wojny, w starciu z oddziałem NKWD.

W Puźnikach banderowcy zamordowali co najmniej 82 osoby (niektórych nigdy nie odnaleziono) i spalili ponad 170 domów. Ocaleni zdecydowali się opuścić ruiny wsi i ruszyli do Korpowca i Buczacza. Ostatecznie zostali repatriowani do Prudnika na Opolszczyźnie, a inni do Ratowic koło Wrocławia. Michał Sobków ukończył we Wrocławiu studia medyczne, a po latach napisał kilka wspomnieniowych książek. Zmarł w 2014 r.

Kościół w Puźnikach został rozebrany w latach 80. XX stulecia. Nie przetrwały też plebania i szkoła. Domy, których banderowcy nie spalili, także zostały zniszczone, a dawny cmentarz popadł w ruinę.

Ekshumacje i polityka

O Puźnikach zrobiło się ponownie głośno, gdy na przełomie kwietnia i maja 2025 r. rozpoczęły się tam ekshumacje polskich ofiar zbrodni. Dzięki wspólnym działaniom Fundacji Wolność i Demokracja, specjalistom z Uniwersytetu Pomorskiego oraz ukraińskiej Fundacji

eprasa.pl 318279d0bb

Wołyńskie Starożytności w sierpniu 2023 r. odnaleziono główną mogiłę pomordowanych.

Doszło do tego już po pełnoskalowym ataku Rosji na Ukrainę, gdy sytuacja polityczna uległa zmianie. Doskonale zdawali sobie z tego sprawę politycy obu stron, szczególnie że po inwazji wzmogły się na Ukrainie nacjonalizm i gloryfikowanie pamięci UPA i kult Stepana Bandery. W tej sytuacji przedstawiciele władz polskich i ukraińskich doszli do wniosku, że należy się skupić wyłącznie na ekshumacjach, pozostawiając na później kwestie polityczne i historyczne. Temat ten prześwietlił Zbigniew Parafianowicz w swojej książce „Kłopot z Zełenskim".

„Ukraińcy rozumieli – twierdził jeden z polskich dyplomatów – że nie da się uciec od tematu historii. Rozumieli też, że blokada ekshumacji rodzi w Polsce konsekwencje, a ludzie odwracają się od Ukrainy. Andrij Sybiha [minister spraw zagranicznych] sondował polskich polityków w tej sprawie. Badał, jaki jest stosunek Polaków do kwestii ekshumacji. Dziwił się, że to jest taki grzejący temat" – czytamy w książce Parafianowicza.

Rozmowy prowadzono już wcześniej, ale dopiero trudna sytuacja polityczna Ukrainy spowodowała „odmrożenie tematu". Nie było to jednak łatwe, chociaż strona polska bez względu na różnice pomiędzy różnymi ugrupowaniami politycznymi w kraju mówiła raczej jednym głosem. Ukraińcy musieli się ugiąć.

„Jest między nami różnica – zauważał jeden z polskich ministrów z KPRM. – My cierpimy na nadhistoryczność. Natomiast Ukraińcy z racji pewnej sowieckości mają deficyt w tej kwestii. Szczególnie gdy historia nie dotyczy ich bohaterów lub ich ofiar. Ponadto mają wielki problem z okazywaniem wdzięczności. No i wielki problem z przepraszaniem" – pisze Parafianowicz.

Miejsc, gdzie powinny być prowadzone prace ekshumacyjne na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, jest tak wiele, że nie sposób zrealizować tego zadania w krótkim czasie. Specjaliści obliczyli, że w ciągu roku można przeprowadzić zaledwie kilka ekshumacji. Jeżeli utrzymane zostanie obecne tempo prac, to zostaną one zakończone za... 20 lat.

Chociaż strona ukraińska starała się okazywać pomoc, to w Puźnikach pojawił się znany wróg Polaków i polskości, Światosław Szeremeta. W czerwono-czarnej koszulce z symboliką UPA „stał nad grobem i obserwował". Być może liczył na „medialny show" i skandal, co zapewne zakończyłoby ekshumacje.

Polscy decydenci uznawali Szeremetę za „szmaciarza", ale nie mogli go ignorować. Jak pisze Parafianowicz, uznali, że „lepiej go mieć pod kontrolą, niż puścić na żywioł". Natomiast w kraju więcej emocji wzbudziła decyzja Pawła Kowala – przewodniczącego Rady do spraw Współpracy z Ukrainą. Zadecydował o ograniczeniu dostępu dziennikarzy do prac ekshumacyjnych i utajnieniu materiałów fotograficznych. Polityk twierdził, że „wszystko wymaga jawności, ale też pewnej delikatności". Nie chciał zatem „internetowych dyskusji na temat tego, ile gwoździ odnaleziono w głowie zamordowanego dziecka". Tym bardziej że niektórzy z przedstawicieli ukraińskich mediów „z uporem maniaka powtarzali, że w Puźnikach ludzie ginęli za sprawą NKWD". W tej sytuacji ujawnienie dokumentacji przez prasę spowodowałoby ogromne zamieszanie, co było zupełnie niepotrzebne.

Oddzielnym tematem była sprawa podejścia do tematu samego prezydenta Zełenskiego i jego otoczenia. W grudniu 2024 r., czyli jeszcze przed rozpoczęciem prac ekshumacyjnych w Puźnikach, Donald Tusk wraz z otoczeniem pojawił się we Lwowie, gdzie spotkało go ogromne zaskoczenie.

„Zełenski powtarzał – wspominał jeden z polskich dyplomatów – najpierw zwycięstwo, potem historia. Dorzucał do tego banały w stylu – »priorytetem jest przyszłość«. Podśmiewał się pod nosem. Do tego Ukraińcy napuścili na Tuska dziennikarkę Radia Swoboda. Zapytała go, ile razy Ukraińcy mają przepraszać, by Polska poczuła się usatysfakcjonowana. Tusk nie był przygotowany na takie pytanie. Zełenski naprawdę śmiał się pod nosem. Tusk myślał, że będzie miękka jazda, a dostał podkręconą piłkę" (Parafianowicz Z., „Kłopot z Zełenskim").

Powyższa relacja być może wyjaśnia ostatnie posunięcia prezydenta Ukrainy w sprawie honorowania banderowców...

W Puźnikach ekshumowano szczątki co najmniej 42 osób. Mężczyzn, kobiet i dzieci. Pobrano materiał do identyfikacji ofiar, a we wrześniu 2025 r. odbył się ich uroczysty pogrzeb. Brali w nim udział przedstawiciele władz Polski i Ukrainy oraz rodziny pomordowanych.



Uroczystość przed Pomnikiem Petra Chamczuka w Czortkowie

FOT. CHORTKIV.CITY/TETIANA LJAKUSZ

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Baraniecki A., ***„Czas wojny w Puźnikach"*** *– wspomnienia Bogusława Krowickiego, https://puzniki.pl/1352/czas-wojny-w-puznikach-wspomnienia-boguslawa-krowickiego/; Kubów W.,* ***„Terroryzm na Podolu Zachodnim"****, Warszawa 2008; Motyka G.,* ***„Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«. Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947"****, Kraków 2011; Parafianowicz Z.,* ***„Kłopot z Zełenskim"****, Warszawa 2026;* ***„Pogrzeb ofiar Zbrodni Wołyńskiej w Puźnikach"****, https://ipn.gov.pl/pl/aktualnosci/229098,Pogrzeb-ofiar-Zbrodni-Wolynskiej-w-Puznikach.html; Sobków M.,* ***„Koropiec nad Dniestrem"****, Poznań 1999;* ***„Zagłada Puźnik"****, http://www.rp.pl/artykul/160979.html.*

eprasa.pl 318279d0bb



Arkadiusz Karbowiak

Dowódca UPA Roman Szuchewycz pozytywnie ocenił morderczą taktykę zastosowaną przez „Kłyma Sawura” na Wołyniu wobec Polaków. Szuchewycz stwierdził, że należy ją przenieść do Galicji Wschodniej



Uroczystość pod pomnikiem Dmytra Klaczkiwskiego, „Kłyma Sawura”, na trakcie Lisnycziwka koło Orżewa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GOLBE.UA

1911–1945 / Krwawy ślad „Kłyma Sawura”

Taktyka rzeźnika Wołynia

Dmytro Klaczkiwski („Kłym Sawur”, „Ochrym”) na dzisiejszej Ukrainie upamiętniany jest jako bohater, który był organizatorem i pierwszym dowódcą Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Na centralnym placu w Równem, gdzie „Kłym Sawur” mieszkał podczas okupacji i gdzie Sowieci przywieźli jego zwłoki po przeprowadzeniu udanej zasadzki, wzniesiono ku jego pamięci pomnik. Również w Zbarażu, niedaleko Tarnopola, gdzie się urodził, znajduje się poświęcony mu monument. Przy tzw. trakcie Lisnycziwka, niedaleko Orżewa, gdzie zginął Klaczkiwski, do 2015 r. stał jedynie drewniany krzyż. Teraz zobaczymy już w tym miejscu pomnik.

Urodzony w 1911 r. Klaczkiwski uczył się w Stanisławowie i we Lwowie. W latach 1934–1935 służył w Wojsku Polskim jako starszy strzelec. Klaczkiwski został członkiem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) jeszcze jako uczeń szkoły średniej. Zawodowo pracował jako sprzedawca w sklepie ukraińskiego stowarzyszenia Handel Ludowy. W październiku 1937 r. polskie władze aresztowały go pod zarzutem przynależności do OUN, ale ze względu na brak dowodów został zwolniony.

W 1940 r., w czasie sowieckiej okupacji, Klaczkiwski stanął na czele junactwa (młodzieżówka OUN) w obwodzie stanisławowskim OUN. W październiku

eprasa.pl 318279d0bb



Dmytro Klaczkiwski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KIVERTSI.IN.UA

1940 r. został aresztowany przez NKWD. Podczas śledztwa nie przyznawał się do członkostwa w OUN. Na tzw. procesie 59 (tylu członków OUN stanęło przed sądem), który w dniach 17–19 stycznia 1941 r. odbył się we Lwowie, znalazł się w grupie 42 więźniów skazanych na karę śmierci. Ostatecznie Klaczkiwskiemu wyrok złagodzono, zmniejszając karę do 10 lat więzienia i pięciu lat zsyłki. Z więzienia w Berdyczowie wydostał się dzięki wybuchowi wojny niemiecko-sowieckiej.

Na początku 1942 r. (prawdopodobnie w styczniu) Dmytra Klaczkiwskiego mianowano prowidnykiem OUN na Północno-Zachodnich Ziemiach Ukraińskich (PZUZ), obejmujących obszar Wołynia i Polesia. Już w kwietniu 1942 r. brał on udział w II konferencji OUN-B, która odbyła się w okolicach Lwowa. Postanowiono na niej rozwijać działalność propagandową i przygotować organizacyjne kadry do walki o „samostijną Ukrajinę". Miała to być walka prowadzona na dwa fronty – przeciwko III Rzeszy i ZSRS (z Polakami zamierzano się porozumieć pod warunkiem uznania Kresów Wschodnich jako ziem ukraińskich). Po powrocie „Kłym Sawur" przemierzał Wołyń, dokonując przeglądu posiadanych zasobów kadrowych. Mieszkał przez pewien czas w Równem przy ul. Szewczenki 36/3 w mieszkaniu Juliany Łuckiej „Uliany", która na Wołyniu kierowała kobiecą organizacja OUN-B. Prowadzone w mieście aresztowania zmusiły jednak „Kłyma Sawura" do zmiany miejsca pobytu.

W gremiach kierowniczych OUN-B pod koniec 1942 r. tlił się konflikt wokół kwestii ewentualnego rozpoczęcia przez OUN-B partyzanckiej walki zbrojnej przeciw Niemcom. U podstaw tej inicjatywy leżały coraz większe niemieckie represje oraz obawa przed przejęciem poparcia ludności Wołynia przez rosnącą w siłę partyzantkę sowiecką. Na konferencji referentów wojskowych OUN-B we Lwowie w grudniu 1942 r. (wcześniej podobne spotkanie odbyło się w październiku) podjęto decyzję o zmuszeniu Polaków do wyjazdu z Ukrainy i zniszczeniu tych, którzy nie chcieliby tego zrobić. „Kłym Sawur" zdecydowanie identyfikował się z frakcją dążącą do wywołania partyzanckiej, antyniemieckiej rebelii i „oczyszczenia" Wołynia z polskiej społeczności. Zanim Centralny Prowyd OUN-B podjął decyzję o zainicjowaniu walki partyzanckiej na Wołyniu, 22 stycznia 1943 r. działalność rozpoczęła pierwsza sotnia oddziałów zbrojnych OUN-B, której dowódcą został Hryhorij Perehijniak „Dowbeszka-Korobka". Jego sotnia dokonała 9 lutego 1943 r. mordu na 21 polskich rodzinach w Parośli.

Na początku lutego 1943 r. „Kłym Sawur" poinformował swego podwładnego, Iwana Łytwynczuka „Dubowego", o powierzeniu dowództwa nad oddziałami zbrojnymi Sehrijowi Kaczynskiemu „Ostapowi" (w piśmie określony jest on drugim pseudonimem Iwan). Tym samym Klaczkiwski pokazał, że nie zamierza czekać na decyzje kierownictwa OUN-B i że będzie działać metodą faktów dokonanych.

Upowska przysięga

W marcu 1943 r. doszło do – jak twierdził jeden z urzędników niemieckich – wybuchu ukraińskiego narodowego powstania. Zaatakowane zostały instytucje administracyjno-gospodarcze i policyjne. Między innymi za sprawą sowieckiej prowokacji doszło do częściowej dezercji ukraińskiej policji. Rebelianci mieli na uwadze „sprawę polską". Porucznik Lech Łada „Żagiew", działający w strukturach ukraińskiego podziemia informator AK, cytował słowa jednego z liderów OUN-B: „Z dniem 1 marca [19]43 [r.] Ukraińcy przystąpili do powstania zbrojnego [...]. Jeśli chodzi o sprawę polską, to jest to zagadnienie nie wojskowe, lecz mniejszościowe, rozwiążemy je więc tak, jak Niemcy sprawę żydowską. Chyba żeby [Polacy] usłuchali wezwania i zbiegli za Bug" (relację przywołał po wojnie oficer Inspektoratu AK Równe mjr Tadeusz Klimowski „Ostoja").

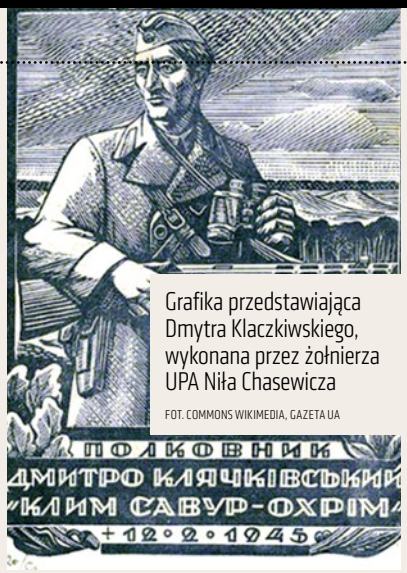
Nie ulega wątpliwości, że OUN-B uważała Polaków en bloc za wrogą mniejszość. Przy czym nie była to błędna ocena. Wszystkie polskie ugrupowania polityczne (poza komunistami) dążyły do odbudowy II RP w granicach przedwojennych. Wykluczało to stworzenie na terenach Galicji i Wołynia niepodległej Ukrainy. Dlatego relacje polsko-ukraińskie nie mogły się kształtować bezkonfliktowo. Nieuchronna konfrontacja mogła jednak przybrać bardziej cywilizowany, a nie eksterminacyjny charakter. O tym, że tak się nie stało, zadecydowały metody walki zastosowane przez stronę ukraińską.

Wydaje się, że początkowe, trwające od wiosny 1943 r., ataki na polską



Rodzina Jasionczaków zamordowana w Woli Ostrowieckiej FOT. IPN

eprasa.pl 318279d0bb



Grafika przedstawiająca Dmytra Klaczkiwskiego, wykonana przez żołnierza UPA Niła Chasewicza

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GAZETA UA

ludność stanowiły rodzaj sygnału, mającego skłonić ją do wyjazdu z Wołynia. Część Polaków zdecydowała się to uczynić, inni postanowili schronić się w miastach pod „opiekuńczymi" skrzydłami niemieckich i węgierskich garnizonów. Reszta zachęcana przez polskie podziemie, mające skromne możliwości pomocy, próbowała utrzymać się na terenie Wołynia, tworząc samoobrony.

Wiosną 1943 r. miały miejsce na Wołyniu rozmowy OUN-B z przedstawicielami „pierwszej" UPA – tą nazwą posługiwali się już od ponad roku partyzanci Tarasa Borowcia „Bulby". Nie doprowadziły one do porozumienia obu organizacji, ponieważ na przeszkodzie stanęły kwestie eksterminacji Polaków, czemu „Bulba" się sprzeciwiał. Ustalono jednak, że oddziały banderowskie będą mogły używać nazwy UPA. 25 kwietnia 1943 r. w okolicach wsi Trościanic miała miejsce pierwsza przysięga oddziałów UPA podporządkowanych OUN-B. Przemówienie wygłosił wówczas obecny na uroczystości „Kłym Sawur".

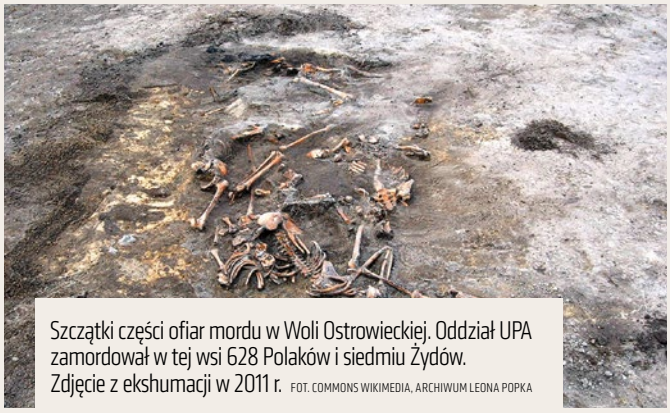
Wszyscy wrogami

Czerwiec 1943 r. był na Wołyniu miesiącem obfitującym w rozliczne wydarzenia. Pojawił się tam wówczas Ołeksandr Łucki „Andrijenko", który przybył tam z polecenia Romana Szuchewycza „Tura", jednego z członków „triumwiratu" kierującego ówczesnym Centralnym Prowydem OUN-B. Podczas miesięcznego pobytu wyrobił on sobie dość krytyczną opinię o działaniach „Kłyma Sawura", który jego zdaniem awansował na stanowiska dowódcze osoby niekompetentne, nieposiadające doświadczenia wojskowego. Wątpliwości budziła w nim przyjęta na Wołyniu strategia walki ze wszystkimi wrogami naraz (Polakami, Sowietami, Niemcami i Węgrami). Ostatecznie zasugerował on usunięcie Dmytra Klaczkiwskiego, na co jednak „Tur" nie wyraził zgody. W czerwcu „Kłym Sawur" rozpoczął kampanię propagandową mającą uzasadniać planowaną eskalację walk z polskimi samoobronami i eksterminację polskiej ludności cywilnej (być może był to efekt wdrożenia w wymiarze praktycznym wojennej doktryny autorstwa Mychajła Kołodzinskiego). W związku z tym wydał on odezwę do Polaków (podobną odezwę opublikował w maju, gdzie krytycznie odniósł się do współpracy Polaków z Niemcami): „Jeśli więc na ukraińskich ziemiach wybuchnie nowa hajdamaczyzna lub koliwszczyzna, to odpowiedzialność za to spadnie tylko i wyłącznie na te kręgi, które zaprowadziły polską politykę wyzwoleńczą do antyukraińskiego obozu imperializmu moskiewskiego i niemieckiego i działają dziś na ukraińskim terytorium przeciwko narodowi ukraińskiemu. Lecz niech nie zapominają sługusy Moskwy i Berlina, że naród ukraiński potrafi się zemścić".

Czytając ten tekst, można odnieść wrażenie, że „Kłym Sawur", który prowadząc antypolską akcję UPA, sam popchnął Polaków do współpracy z Niemcami i Sowietami, postanowił wyrazić irytację z powodu tego jak najbardziej racjonalnego zachowania swoich wrogów. Polacy, którzy pozostali na terenach wiejskich Wołynia, mieli do wyboru albo służbę w niemieckiej policji Orpo, gdzie niejednokrotnie byli angażowani do pacyfikowania ukraińskich wsi (a czasami sami owe pacyfikacje inspirowali), albo wstąpienie do samoobron, nierzadko wspieranych bronią i amunicją lub bezpośrednio w walce przez władze i formacje niemieckie, siły węgierskie, a także Sowietów, albo – dopiero od połowy 1943 r. – przystąpienie do oddziałów AK. Czwartą opcją był akces do oddziałów sowieckiej (lub podległej im komunistycznej) partyzantki. Innych opcji nie było. Brutalne metody walki narzucone przez UPA, masowe i często okrutne zabijanie polskich cywilów budziły chęć zemsty. Nie ulega wątpliwości, że Polacy służąc we wspomnianych formacjach, dopuszczali się zbrodni na Ukraińcach, ale w skali znacząco mniejszej niż UPA.

W lipcu 1943 r. zapowiedzi Klaczkiwskiego stały się rzeczywistością i sotnie UPA rozpoczęły zmasowane ataki na polskie wsie. Pomimo zadawanych strat wyniki akcji nie wzbudzały aprobaty np. w strukturach OUN-B Włodzimierz-Horochów, które uważały ją za nieudaną. W sprawozdaniu za lipiec możemy przeczytać następujące zarzuty: „[...] padali niepotrzebni, a aktywny element antyukraiński, oczywiście zorganizowany i uzbrojony, albo uciekł, albo stawił zbrojny opór, zadając nam straty".

Kolejna fala ataków przeprowadzona została w sierpniu 1943 r. Wtedy też Klaczkiwski wydał dekret o reformie rolnej. Dotyczył on gruntów, jakie pozostały po wymordowanych Polakach. Jego celem było zapewne ściślejsze związanie z podziemiem OUN-UPA ukraińskiej społeczności chłopskiej. Należy pamiętać, że UPA mobilizowała ukraińskich chłopów, tworząc grupy tzw. siekierników, którzy uczestniczyli dobrowolnie (czasami podejmowali samodzielne działania przeciw Polakom), a także pod przymusem w antypolskich akcjach. Dekret o reformie rolnej zbiegł się w czasie z decyzją o utworzeniu w każdej wsi samoobrony ukraińskiej. W rozkazie z 15 sierpnia 1943 r. „Kłym Sawur" nawo-



Szczątki części ofiar mordu w Woli Ostrowieckiej. Oddział UPA zamordował w tej wsi 628 Polaków i siedmiu Żydów. Zdjęcie z ekshumacji w 2011 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM LEONA POPKA

eprasa.pl 318279d0bb



Ukraiński znaczek z 2007 r. upamiętniający Romana Szuchewycza, dowódcę UPA

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, POCZTA UKRAINY

ływał: „Przeprowadzić szeroką i masową pracę wśród społeczeństwa ukraińskiego. Zaprząc jak najszersze kręgi ukraińskich obywateli do czynnej i rewolucyjnej pracy, do akcji, które prowadzimy".

Powrót Sowietów

Zwiększona aktywność UPA sprawiała, że Niemcy przesunęli na obszar okręgu Wołyń-Podole więcej sił policyjno-wojskowych (w celu ochrony zbiorów pojawiła się m.in. 8. Dywizja Kawalerii SS „Florian Geyer"). Rozpoczęły one intensywne operacje bojowe przeciw UPA, czego efektem była m.in. likwidacja upowskiej Republiki Kołkowskiej. W październiku UPA rozpoczęła operacje bojowe na Polesiu przeciwko sowieckiemu zgrupowaniu partyzanckiemu Aleksieja Fiodorowa (UPA od początku powstania toczyła ze zmiennym natężeniem walki z sowiecką partyzantką).

Wcześniej, w sierpniu 1943 r., sotnie wołyńskiej UPA rozbroiły oddziały melnykowskiej i bulbowskiej partyzantki, rozprawiając się ostatecznie ze znacznie słabszą konkurencją. Na odbywającym się w Słobodzie Złotej w dniach 21–25 sierpnia 1943 r. III Nadzwyczajnym Zjeździe OUN-B Mykoła Łebed i Mychajło Stepaniak skrytykowali zainicjowane przez „Kłyma Sawura" eksterminacyjne antypolskie akcje sotni UPA, nazywając je „bandyckimi" i „kompromitującymi". Jednak frakcja, której patronował dowódca UPA gen. Roman Szuchewycz „Taras Czuprynka", zdecydowanie poparła Klaczkiwskiego.

Szuchewycz, po powrocie ze swego listopadowego objazdu Wołynia, pozytywnie ocenił taktykę zastosowaną przez „Kłyma Sawura" (w sumie na Wołyniu zginęło ok. 40 tys. Polaków). Uznał ją zresztą za wartą wdrożenia na terenach Galicji Wschodniej, gdzie wraz z nadejściem 1944 r. zaczęto ją (teoretycznie w nieco złagodzonej wersji) realizować. W grudniu 1943 r. nastąpiły zmiany organizacyjne w strukturach UPA. Dmytro Klaczkiwski został mianowany dowódcą UPA-Północ, czyli terenów obejmujących Wołyń i Polesie. Jeszcze pod koniec 1943 r. „Kłym Sawur" nawiązał kontakty z przedstawicielami okupacyjnych wojsk węgierskich, czego efektem był układ o neutralności. W grudniu 1943 r. w wołyńskim sztabie UPA gościła delegacja węgierska (a następnie do Budapesztu wybrała się delegacja OUN-B). W październiku Klaczkiwski wystosował rozkaz nr 17, w którym zakazał dowódcom UPA atakowania nie tylko Węgrów, lecz także innych niemieckich sojuszników: Słowaków, Rumunów i Łotyszów. Próby nawiązania kontaktów miały miejsce również w przypadku Niemców. Świadczy o tym list z 2 kwietnia 1944 r., wysłany przez „Kłyma Sawura" i Dmytra Majiwskiego, który jednak pozostał bez odpowiedzi (kontakty z Niemcami nawiązywały głównie struktury UPA-Zachód).

Armia Czerwona na początku 1944 r. przekroczyła dawną granicę polsko-sowiecką. Na Wołyniu dochodziło wtedy do zaciętych walk z Wehrmachtem. Pomimo że Wołyń zajmowany był przez wypierające Niemców oddziały sowieckie, „Kłym Sawur" nie czekał tam na przejście frontu, ale w czerwcu 1944 r. udał się na Chełmszczyznę ogarniętą, już wtedy dogasającą, wojną partyzancką pomiędzy AK a UPA. Dołączył do stacjonującego niedaleko miejscowości Bełz kurenia z zagonu UPA im. Bohuna, dowodzonego przez Ołeksandra Hromadiuka „Ostrіżskiego", który przybył na Lubelszczyznę w kwietniu 1944 r.

Działalność UPA w okresie sowieckiej okupacji nie była już tak swobodna. Sowieci posiadali wystarczające siły, by zdusić antykomunistyczną partyzantkę. Straty UPA-Północ w postaci zabitych, rannych, dezerterów i jeńców rosły z miesiąca na miesiąc. W kwietniu 1944 r. na terenie Wołynia UPA dysponowała 6960 partyzantami, a we wrześniu 1944 r. było już ich tylko 2600. Straty wynosiły więc ok. 60 proc. Nowe realia walki wymagały reorganizacji struktury, na co się zresztą „Kłym Sawur" zdecydował.

Order od Kuka

Początek roku 1945 był tragiczny dla podziemia ukraińskiego na Wołyniu. Nocą 26 stycznia 1945 r. w miejscowości Jajno 9. kompania z 3. batalionu 169. pułku Wojsk Wewnętrznych NKWD zlikwidowała w walce 17 partyzantów UPA i ujęła rannego w nogę, a także chorego na tyfus chor. Jurija Stelmaszczuka „Rudego" (nosił on wtedy pseudonim Kajkdasz), dowódcę Grupy UPA „Zawichost".

„Rudego" objęto opieką medyczną, a przesłuchiwał go sam zastępca Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Ukraińskiej SRS, gen. Timofiej Strokacz. Podczas przesłuchania Stelmaszczuk przekazał informację o prawdopodobnym miejscu pobytu „Kłyma Sawura" – miał się on znajdować w chutorach w Orżewie. Dzięki tej informacji NWKD przygotowało operację mającą na celu ujęcie lub likwidację „Kłyma Sawura". Do działań skierowano 20. i 24. Brygadę WW NKWD. 10 lutego rozbity został stanowiący ochronę „Kłyma Sawura" oddział Wasilija Pawłoniuka „Uzbeka". Klaczkiwski opuścił Orżew 10 lutego i dzień później przebywał już poza obszarem obławy, w rejonie dereżańskim. Ponieważ nie nawiązał kontaktu ze Stepanem Janiszewskim „Dalekim", kierownikiem Służby Bezpieczeństwa OUN, wrócił do lasu suskiego.

12 lutego oddział 3. kompanii z 233. Samodzielnego Strzeleckiego Batalionu NKWD, pod wodzą starszego lejtnanta Chamaja Chabibulina, przeszukując obszar położony na północ od Orżewa, namierzył w lesie niedaleko wsi Susk trzech podejrzanych mężczyzn. W trakcie próby ucieczki zostali oni przez Sowietów zabici. W gronie poległych znalazł się Dmytro Klaczkiwski. Jego zwłoki zidentyfikował Jurij Stelmaszczuk „Kajdasz". Klaczkiwski pośmiertnie awansowany został do stopnia pułkownika, a dowódca UPA Wasyl Kuk odznaczył go Złotym Krzyżem Zasługi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Марчук І., ***„Командир УПА-Північ Дмитро Клячківський-»Клим Савур«";*** *Motyka G.,* ***„Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«";*** *Пагіря О.,* ***„Протистояння і переговори між УПА та угорськими окупаційними військами на Волині та Південному Поліссі в 1943 р";*** *Zajączkowski M.,* ***„Zagadnienie polskie w działalności ukraińskiego podziemia w przełomowym i końcowym okresie II wojny światowej (1943–1945)".***

eprasa.pl 318279d0bb



John Trumbull, „Deklaracja Niepodległości”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KAPITOL USA, AOC.GOV

Wywiad / Z prof. Davidem Jacksonem, politologiem, wykładowcą Bowling Green State University w Ohio

rozmawia Piotr Włoczyk

Rewolucja po amerykańsku

– John Adams, który osobiście „pilotował” głosowanie w sprawie niepodległości, uważał, że to 2 lipca będzie świętem narodowym – mówi amerykański politolog

PIOTR WŁOCZYK: Panie profesorze, wszystkiego najlepszego z okazji 250-lecia!

PROF. DAVID JACKSON: Dziękuję, tylko pytanie, czy to aby na pewno teraz powinniśmy obchodzić te „urodziny”.

Jak to? Przecież ta data nie budzi chyba wątpliwości: dokładnie 4 lipca 2026 r. minie 250 lat od ogłoszenia Deklaracji Niepodległości.

Ogłoszenie niepodległości to tylko jeden z momentów, które możemy uważać za początek USA. Przecież musieliśmy jeszcze zwyciężyć w wojnie rewolucyjnej.

W Polsce zwykle nazywa się ten rozdział historii wojną o niepodległość USA, a nie – jak w Ameryce – wojną rewolucyjną czy też, co jest jednak pojęciem szerszym, rewolucją amerykańską.

Cóż, faktem jest, że zrewoltowaliśmy się przeciw brytyjskiej władzy kolonialnej, i to skutecznie. Jest co najmniej kilka dat, po które moglibyśmy sięgnąć, by świętować niepodległość. Kongres Kontynentalny zagłosował za niepodległością już 2 lipca 1776 r. Pokój paryski z 1783 r. oficjalnie zakończył naszą walkę o niepodległość (rewolucję). Konstytucja została podpisana w 1787 r., a proces jej ratyfikacji zakończył się rok później. Jak widać, nie brakuje dat, które można byłoby świętować.

Nawiasem mówiąc, wydarzenia z lipca 1776 r. sprawiły, że doszło do dużego konfliktu między Johnem Adamsem i Thomasem Jeffersonem.

Dwaj ojcowie niepodległości, którzy wadzą się ze sobą? Skąd my to znamy...

John Adams, który osobiście „pilotował” głosowanie w sprawie niepodległości, uważał, że to 2 lipca będzie świętem narodowym. Jak pisał do swojej żony Abigail: „Drugi dzień lipca 1776 r. będzie najsłynniejszą datą w dziejach Ameryki. Wierzę, że będzie ona obchodzona przez kolejne pokolenia jako największa rocznica”. Zamiast tego USA wybrały jednak 4 lipca jako święto narodowe, a musimy pamiętać, że to Jefferson był głównym autorem Deklaracji Niepodległości.

Głęboka różnica zdań na temat natury rządu i rywalizacja o prezydenturę doprowadziły w końcu do zerwania kontaktów między tymi dwoma przyjaciółmi. Jednak wiele lat później wrócili oni do wymiany listów i – co znamienne – obaj zmarli tego samego dnia: 4 lipca 1826 r.

W Polsce jednym z największych świąt państwowych jest rocznica uchwalenia Konstytucji 3 maja.

Część amerykańskich historyków podkreśla, że Konwencja Konstytucyjna (maj–wrzesień 1787 r. w Filadelfii), podczas której powstała ustawa zasadnicza Stanów Zjednoczonych, była kolejnym kluczowym krokiem, który możemy uznać za założenie

eprasa.pl 318279d0bb



Thomas Jefferson. Oficjalny potret prezydencki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WHITEHOUSEHISTORY.ORG

USA, ale… Raczej nikt nie chce czekać kolejnych 11 lat na okrągłą rocznicę (śmiech).

Przy okazji kolejnych rocznic zawsze padają słowa, które nas, politologów, a także historyków, bardzo denerwują. Słynnej frazy „My, naród…" (ang. „We the People…") używa się przy okazji rocznic związanych z Deklaracją Niepodległości, a to przecież preambuła konstytucji! Sęk w tym, że pierwsze słowa Deklaracji Niepodległości to: „Ilekroć wskutek biegu wypadków…", które oczywiście nie są aż tak inspirujące jak preambuła konstytucji…

Pierwsze dekady istnienia Stanów Zjednoczonych były naznaczone głębokim sporem między zwolennikami Thomasa Jeffersona a obozem Alexandra Hamiltona. W jaki sposób ten konflikt ukształtował konkurencyjne wizje roli Ameryki w świecie?

Hamilton wierzył w silny rząd federalny, silną władzę wykonawczą oraz państwowe wsparcie dla bankowości, kredytu i przemysłu. Jeffersonowski ideał agrarny zakładał, że Stany Zjednoczone mogą pozostać wolne tylko wtedy, gdy obywatele będą indywidualnie wolni, żyjąc jako niezależni farmerzy, a nie ludzie kontrolowani przez silny rząd federalny i instytucje finansowe, na które oni sami mają niewielki lub żaden wpływ. Władza powinna pozostawać poza rządem federalnym i znajdować się w rękach poszczególnych stanów.

Zwyciężyła wizja Hamiltona, ponieważ władza rządu federalnego i prezydentury stale rosła, a Stany Zjednoczone stały się dominującym na świecie centrum przemysłowym i finansowym. Prawa stanowe jako filozofia polityczna zostały skompromitowane przez wykorzystywanie ich przez zwolenników niewolnictwa, a później segregacji rasowej.

Pod względem kulturowym ideały Jeffersona mają się jednak świetnie. Większość Amerykanów mieszka w miastach lub na przedmieściach, lecz filmy, muzyka i programy telewizyjne często gloryfikują rzekomą wolność życia w małych miasteczkach i na obszarach wiejskich.

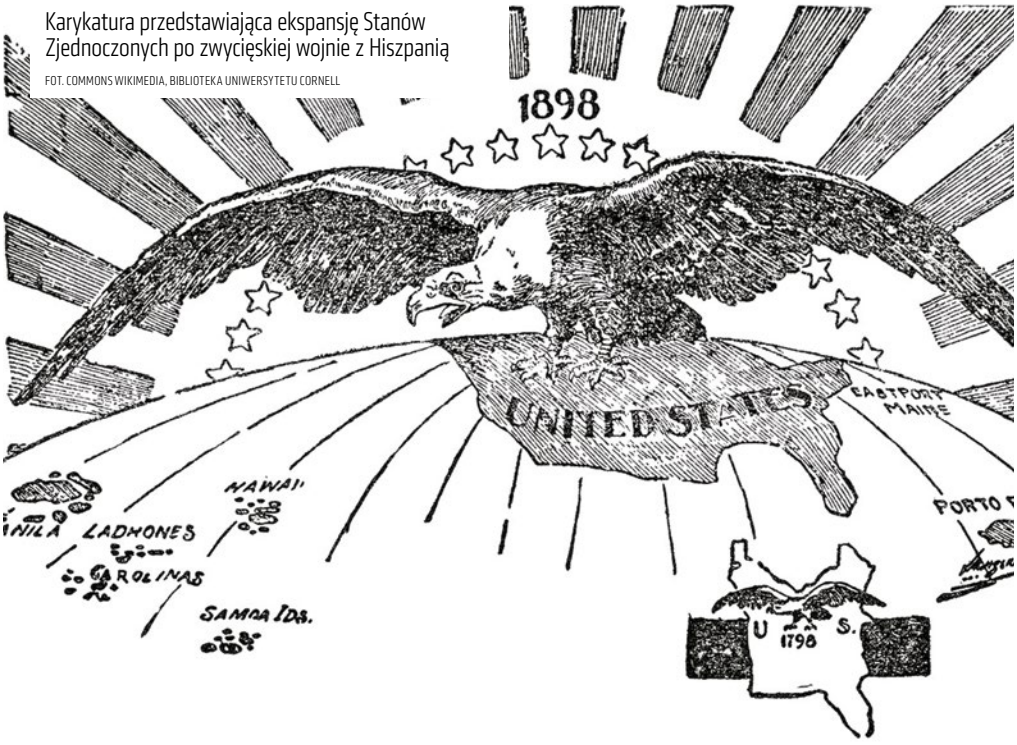
Wiemy już – przynajmniej mniej więcej – kiedy narodziła się Ameryka. A czy jesteśmy w stanie wskazać datę, gdy USA stały się globalnym mocarstwem? Wielu badaczy wymienia tu 1898 r., gdy Stany Zjednoczone wygrały wojnę z Hiszpanią i przejęły jej posiadłości na Karaibach, a także Filipiny i Guam.

Moim zdaniem trudno mówić tu o konkretnej dacie. To trochę jak z rewolucją amerykańską. Tak naprawdę był to cały okres od wojny francusko-indiańskiej (1754–1763), do wojny 1812 r., gdy Brytyjczycy w końcu pogodzili się z tym, że Ameryka jest niepodległym państwem. Można więc powiedzieć, że Stany Zjednoczone „rodziły się" przez ok. 60 lat.

Jeżeli natomiast chodzi o początek ery amerykańskiej potęgi na skalę światową, to powinniśmy przyjrzeć się kilku dekadom po wojnie domowej, gdy Ameryka przechodziła bardzo dynamiczną industrializację, budując swój potencjał gospodarczy. To w ciągu ostatnich trzech dekad XIX w. powstały w USA wielkie sektory przemysłowe: głównie naftowy i stalowy.

Potencjał gospodarczy, który był wtedy budowany, pozwolił Ameryce w ciągu kilku dekad rozciągnąć swoje wpływy na morza i oceany, a także na inne kontynenty, sprawiając, że zwycięstwo w wojnie z Hiszpanią było możliwe. A w konsekwencji Amerykanie byli w stanie przeważyć szalę w pierwszej wojnie światowej i w końcu wygrać drugą wojnę światową.

Omawiając okres industrializacji, który nastąpił po wojnie domowej, musimy też wspomnieć o wielkiej fali imigrantów, która przybyła z Europy i dała USA zastrzyk energii, pozwalającej w pełni rozwinąć swój potencjał przemysłowy. Rzesze imigrantów pracowały w fabrykach, w kopalniach, budowały amerykańskie miasta. I to wtedy tworzył się ruch związkowy, który tak wpłynął na życie milionów zwykłych Amerykanów. Bez rzesz imigrantów, którzy wtedy dobijali do brzegów Ameryki, nasz kraj nie wszedłby na drogę



Karykatura przedstawiająca ekspansję Stanów Zjednoczonych po zwycięskiej wojnie z Hiszpanią

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU CORNELL

eprasa.pl 318279d0bb



Ilustracja z książki „Chata wuja Toma”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

wiodącą do światowej potęgi. A wśród nich nie brakowało oczywiście Polaków.

Wtedy też do USA dotarli pańscy przodkowie.

Mój pradziadek ze strony matki, Jan Łazowski, przybył na Ellis Island ze Starego Wiśnicza w 1910 r. Natomiast moja prababcia, Józefa Łazowska, przebyła tę samą trasę dwa lata później. W tamtych czasach procedury imigracyjne były absolutnie minimalne. Imigrant musiał wysupłać pieniądze na bilet na statek, przejść podstawowe testy zdrowotne na Ellis Island, pokazać, że ma trochę pieniędzy – prababcia miała w kieszeni 20 dol.; co ciekawe, wszyscy jej znajomi ze Starego Wiśnicza też mieli po 20 dol. na głowę, więc chyba było to niezbędne minimum – i wreszcie trzeba było podać nazwisko kogoś żyjącego w USA, kto pomógłby się urządzić na początku.

Polski historyk Paweł Zaremba, który specjalizował się w dziejach USA, napisał w swojej wydanej w 1957 r. książce „Historia Stanów Zjednoczonych”, że po wojnie domowej Ameryka narodziła się na nowo. Zgodziłby się pan z tą tezą?

Tak, przemawia do mnie takie opowiadanie o naszych dziejach. Niedawno miałem zajęcia z nauczycielami. Rozmawialiśmy o procesie krzepnięcia amerykańskiej państwowości. Warto patrzeć na to jak na powstawanie kraju w kolejnych krokach. Najpierw mieliśmy Artykuły Konfederacji, które nie zdały egzaminu. Potem uchwaliliśmy konstytucję i Kartę Praw. Następnie musieliśmy się pozbyć niewolnictwa i stoczyliśmy wojnę domową. Abraham Lincoln mówił o tym w swoim przemówieniu w Gettysburgu jako o „nowych narodzinach wolności”, więc był to właśnie jeden z tych kroków – w pewnym sensie założenie USA na nowo. Chociaż faktem jest, że ten proces został przerwany, bo przecież Północ zrezygnowała z głębokiego zreformowania Południa. W ten sposób ostały się tam rasistowskie praktyki, jak choćby segregacyjne prawa Jima Crowa.

Dlaczego tak się stało?

Wynikało to ze skomplikowanej sytuacji politycznej w kraju. W skrócie: radykalni republikanie nie mieli takiej mocy, żeby przeforsować politykę narzucenia Południu nowych standardów. Czarni ludzie na Południu zostali po prostu „sprzedani”. W czasie rekonstrukcji czarni Amerykanie byli tam wybierani na urzędy, ale wraz z wycofaniem ostatnich żołnierzy Unii Południe mogło wrócić do sytuacji, która miejscami niewiele odbiegała od czasów niewolnictwa. Nawiasem mówiąc, Sąd Najwyższy USA pomógł w tym, stwierdzając, że rząd federalny nie może zakazywać dyskryminacji przez prywatnych „przedsiębiorców”.

Ale – jak już wspomniałem – wojna domowa sprawiła, że staliśmy się fabryką świata, co pozwoliło m.in. na wielką rozbudowę floty – narzędzia budowania wpływów na świecie. Rozwinięto wtedy na wielką skalę sieć kolejową, a także – co ciekawe – na dobrą sprawę powstała narodowa waluta. Przecież dopiero w drugiej połowie XIX w. dolar stał się powszechnie używaną w USA walutą.

Jak mogłyby wyglądać Stany Zjednoczone w alternatywnej wersji historii, gdyby to Południe wygrało wojnę domową?

Historia alternatywna jest fascynująca, ale to trudne zajęcie. Załóżmy, że po zwycięstwie Konfederacji zrealizowałby się najlepszy możliwy scenariusz dla pokonanych i Południe nie okupowałoby ani nie zdominowałoby Północy, lecz zamiast tego nadal istniałyby dwa odrębne państwa.

Niewolnictwo pozostałoby problemem dla obu krajów, ponieważ abolicjoniści nadal pomagaliby zniewolonym ludziom uciekać z Południa na Północ. Potyczki w regionach przygranicznych prawdopodobnie byłyby częste i mogłyby w każdej chwili przerodzić się w wojnę. Ponadto, ponieważ rozszerzanie niewolnictwa stanowiło kluczowy element ideologii Południa, napięcia między tymi dwoma państwami prawdopodobnie przeniosłyby się również na terytoria zachodnie, ponownie grożąc wybuchem wojny. Wydaje mi się mało prawdopodobne, aby oba kraje mogły przez dłuższy czas pokojowo współistnieć.



Migranci z Europy na Ellis Island
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

Prezydentura i Kongres są instytucjami, które ewoluowały przez dziesięciolecia. Wiele zależało od ludzi, którzy je kształtowali i nadawali im praktyczne znaczenie. Chyba dla każdego jasne jest, że Donald Trump dominuje dziś nad republikańską większością w Kongresie. A jak wyglądały relacje między Kongresem a prezydenturą w XIX stuleciu?

Ojcowie założyciele chcieli, aby Kongres miał większą władzę niż prezydent, dlatego to właśnie ta instytucja została wymieniona jako pierwsza w konstytucji. Dopiero na drugim miejscu przedstawiono bardziej ograniczone kompetencje prezydenta. Ojcowie założyciele odnosili się sceptycznie do władzy wykonawczej, częściowo z powodu swoich negatywnych doświadczeń z monarchią brytyjską. Ogólnie rzecz biorąc, w XIX w. Kongres dominował w federalnych władzach Stanów Zjednoczonych, choć byli też tacy prezydenci jak Jefferson, Jackson i Lincoln, którzy skupili znaczną władzę w kierowanej przez siebie instytucji i osiągnęli wielkie rezultaty. Prezydent Franklin D. Roosevelt, wybierany w latach 1932, 1936, 1940 i 1944, przeprowadził Stany Zjednoczone przez wielki kryzys i drugą wojnę światową oraz skoncentrował w swoich rękach ogromną władzę, przy czym Kongres przekazał wtedy Białemu

eprasa.pl 318279d0bb

Domowi znaczną część swoich uprawnień.

Sędzia Sądu Najwyższego Robert Jackson powiedział kiedyś słynne słowa: „Nie jesteśmy ostateczni dlatego, że jesteśmy nieomylni, lecz jesteśmy nieomylni tylko dlatego, że jesteśmy ostateczni". Dziś orzeczenia Sądu Najwyższego są w Stanach Zjednoczonych na ogół respektowane i wykonywane. Czy tak było od samego początku?

„The Federalist Papers" zawierały argumenty broniące konstytucji; napisano je w trakcie procesu ratyfikacji ustawy zasadniczej. W Federaliście nr 78 Alexander Hamilton stwierdził, że sądownictwo będzie „najmniej niebezpieczną" gałęzią dla politycznych praw gwarantowanych w konstytucji, ponieważ będzie ono miało najmniejsze możliwości naruszania ich. Wynikać to miało z faktu, że sądownictwo nie będzie miało „wpływu ani na miecz, ani na sakiewkę", czyli na wydatki państwa i użycie siły.

Do dziś autorytet Sądu Najwyższego opiera się na tym, że strony postępowania, rząd i społeczeństwo respektują jego decyzje. A dzieje się tak dlatego, ponieważ właściwie każdy uważa, że… właśnie tak należy postępować. Najsłynniejsze wyzwanie rzucił tej zasadzie prezydent Andrew Jackson, który nie zgadzał się z decyzją prezesa Sądu Najwyższego Johna Marshalla dotyczącą praw rdzennych Amerykanów w okresie ich przymusowego przesiedlenia na zachód na mocy ustawy z 1830 r. Jednak mimo to norma sprawiająca, że ludzie podporządkowują się orzeczeniom Sądu Najwyższego, jest w USA bardzo silna. Tak silna, że gdy Sąd Najwyższy zakończył ponowne liczenie głosów na Florydzie w 2000 r., co mogło kosztować Ala Gore'a prezydenturę, zaakceptował on tę decyzję i zachęcił swoich zwolenników do tego samego.

Jak ważna była idea Objawionego Przeznaczenia (ang. Manifest Destiny) dla amerykańskiej ekspansji w kierunku światowego mocarstwa?

Objawione Przeznaczenie to przekonanie, że rzeczą naturalną i słuszną jest nieustanne rozszerzanie się Stanów Zjednoczonych na zachód aż do Oceanu Spokojnego i jeszcze dalej. Stanowiło ono część ideologii Amerykańskiej Wyjątkowości (ang. American Exceptionalism), czyli poglądu, że Stany Zjednoczone są narodem wybranym przez Boga, aby być dla reszty świata przykładem wolności i właściwego sposobu życia. Manifest Destiny służyło jako uzasadnienie dla amerykańskiej ekspansji na zachód oraz dla amerykańskich przedsięwzięć kolonialnych w XIX stuleciu. Ideologia ta, połączona z realistycznymi kalkulacjami politycznymi dotyczącymi handlu i posiadania własnej strefy wpływów, była potężną siłą napędową rozwoju Stanów Zjednoczonych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor David Jackson
jest amerykańskim politologiem, wykładowcą Bowling Green State University w Ohio, znawcą początków amerykańskiej państwowości.

REKLAMA

REBIS

Justine Firnhaber-Baker
KAPETYNGOWIE
Dynastia, która stworzyła średniowieczną Francję

Opowieść o najpotężniejszym królestwie chrześcijańskiego świata

SZYMON ZDZIEBŁOWSKI
BOGOWIE POLSKI
SZAMANI, MEGALITY I ZAPOMNIANE SŁOWIAŃSKIE BÓSTWA

Podróż po świecie dawnych rytuałów, wierzeń i bóstw

ANTHONY EVERITT
CHWAŁA RZYMU
JAK TWORZYŁO SIĘ IMPERIUM

Pasjonująca opowieść o tym, jak z małej osady Rzym przekształcił się w imperium

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
www.rebis.com.pl FB/REBIS

eprasa.pl 318279d0bb

XX w. / Polacy poza mistrzostwami świata



Reprezentacja Polski przed meczem z Czechosłowacją, Warszawa, październik 1933 r. FOT. NAC

Na politycznym spalonym



Tomasz Zbigniew Zapert

Czterokrotnie o mundialowej absencji reprezentacji Polski nie zadecydowało boisko, lecz kwestie pozasportowe

W pierwszym mundialu mogliśmy uczestniczyć bez eliminacji. Regulamin przewidywał bowiem rozgrywanie ich wyłącznie w przypadku zgłoszenia się co najmniej 32 kandydatów. Ostatecznie aplikacje złożyło jedynie 13 państw, ale Polacy i tak nie dojechali do Urugwaju. Czemu zatem zabrakło nas na tych pionierskich zawodach? To ciągle nierozwiązana zagadka, ponieważ archiwum PZPN z lat międzywojennych zaginęło.

Snop światła na zagadkowe kulisy polskiej nieobecności na urugwajskich boiskach rzucają słowa czołowego dziennikarza sportowego tamtej epoki, Jana Erdmana: „Wyjazd polskich piłkarzy do Urugwaju nie doszedł do skutku z przyczyn ekonomicznych. Dopadł nas światowy kryzys gospodarczy i bacznie oglądano każdą złotówkę. A na przygotowania oraz podróż potrzeba ich było bardzo, ale to bardzo wiele". W podobnym tonie utrzymana jest relacja publicysty i pisarza Karola Zbyszewskiego: „W inauguracyjnym czempionacie globu nie wystąpiliśmy na własne życzenie. Wprawdzie kasa Polskiego Związku Piłki Nożnej świeciła pustkami, lecz sanacja zignorowała potencjał propagandowy płynący z udziału (a może i sukcesu?) Polski w mistrzostwach i nie zaoferowała żadnego wsparcia finansowego".

Inna kwestia, że mistrzostwa nie mogły przykuć uwagi naszych kibiców. Raczkujące Polskie Radio podawało tylko wyniki meczów, a gazety zamieszczały jedynie lapidarne komunikaty agencji prasowych. Najobszerniejsza była „korespondencja własna" podsumowująca zawody, opublikowana na łamach tygodnika „Stadjon", sygnowana: M. Książelnicki. Nieodżałowany kronikarz futbolu, redaktor Leszek Jarosz, ustalił, że autorem był Mosze Książelnicki, nasz krajan wyznania mojżeszowego, emigrant przybyły do Ameryki Południowej wraz z żoną, Malką, kilka miesięcy przed pierwszym gwizdkiem urugwajskiego mundialu.

Polityczny walkower

Cztery lata później nasza drużyna narodowa została zmuszona do rezygnacji z uczestnictwa w imprezie, której gospodarzami byli Włosi. Zarazem jednak

eprasa.pl 318279d0bb

zapisaliśmy się w sportowych annałach – walkowerem politycznym. Pionierskim w dziejach futbolowych mistrzostw świata!

W kwalifikacyjnej grupie piątej obok nas figurowała jedynie Czechosłowacja. Awans gwarantował bilans tzw. dwumeczu. W październiku 1933 r., na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie, ulegliśmy konkurentom 1:2. Pierwszą bramkę w dziejach naszej rywalizacji na najwyższym poziomie reprezentacyjnym strzelił Henryk Martyna, egzekwując rzut karny.

Rewanż zaplanowano na obiekcie praskiej Sparty w kwietniu roku następnego. Trzy dni przed wyjazdem do nadwełtawskiej metropolii Ministerstwo Spraw Zagranicznych zablokowało jednak ekipie Biało-Czerwonych paszporty! Stosowny komunikat, firmowany przez ministra Józefa Becka, głosił: „Konfrontacja nie służyłaby dobrze stosunkom bilateralnym". Przyczyną tej decyzji był zatarg terytorialny o Śląsk Cieszyński.

Przypomnijmy, że władze czechosłowackie zdyskontowały chwilę, kiedy Polska desperacko broniła się latem 1920 r. przed bolszewicką nawałą. Praga przekonała Londyn, Paryż i Rzym, aby to one – a nie plebiscyt (jak planowano wcześniej) – zadecydowały o podziale spornego obszaru. W efekcie podczas konferencji w Spa mocarstwa Starego Kontynentu, słabo rozeznane w aspektach geografii środkowoeuropejskiej, arbitralnie przyznały Czechosłowakom teren w zdecydowanej większości zamieszkany przez Polaków. Eskalowało to zadrażnienia pomiędzy oboma państwami. I rzutowało na sport, więc w dwudziestoleciu międzywojennym rozegraliśmy z południowym sąsiadem zaledwie dwa oficjalne spotkania (reszta jest nieuznawana przez PZPN, ponieważ konkurowaliśmy z amatorami).

Temat Zaolzia eksponowano w krajowych mediach, zwłaszcza po puczu Piłsudskiego, akcentując niesprawiedliwość dziejową. Kiedy postanowiono zbojkotować mecz, dziennikarze podkreślali, że konflikt graniczny wreszcie rezonował międzynarodowo. „Polskie piłkarstwo stało się potężnym rzecznikiem propagandy. Jak bowiem oburzona musi być Polska [...], skoro decyduje się na zapłacenie kary finansowej, byle tylko



Henryk Martyna strzela bramkę w meczu z Czechosłowacją FOT. NAC

nie jechać do Pragi [...]. Dopiero decyzja M.S.Z. znalazła drogę do mózgów mas czeskich, które muszą się zastanowić, że przecież gdyby Polsce nie działa się krzywda, nie chwytałaby się ona w walce o prawa swych obywateli środków aż tak radykalnych" – przekonywał „Przegląd Sportowy". Zwracał przy tym uwagę na zainteresowanie światowych mediów incydentami, a co za tym idzie – umiędzynarodowieniem problemu polskiej mniejszości w ČSR. Uwypuklał też z dumą „znaczenie rezygnacji przez PZPN z jednego z najcenniejszych klejnotów



Oficjalny plakat mistrzostw świata w Urugwaju w 1930 r. Autor: Guillermo Laborde

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

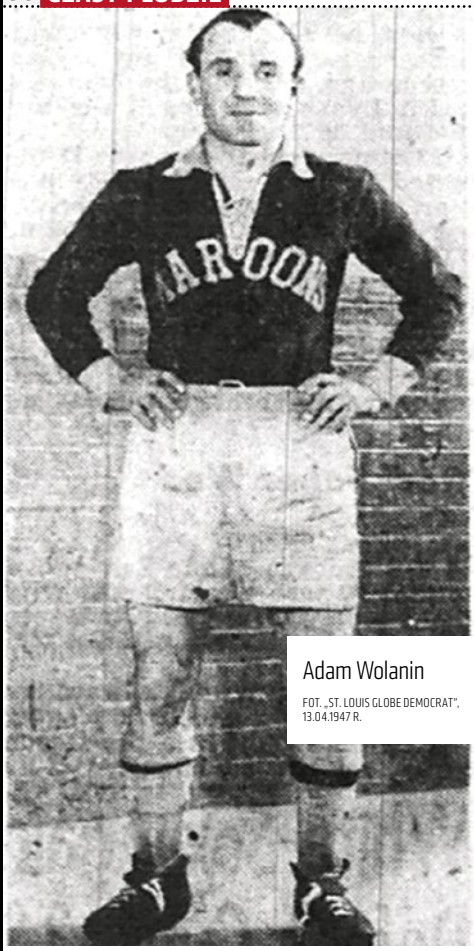
sportu – jego apolityczności" oraz „poświęcenie interesów środowiskowych sprawom wyższej rangi". Natomiast tygodnik sportowy „Raz, Dwa, Trzy" tak oceniał tę sprawę: „Powinno to nawet cieszyć, że właśnie w sporcie znalazł nasz rząd możliwość do wzbudzenia największego rozgłosu światowego".

Nagłaśniano również wiadomość o tajemniczym pożarze trybuny stadionu Sparty. Aczkolwiek teza dotycząca tej kwestii, przedstawiona na łamach rządowej „Gazety Polskiej": „Pośród akredytowanych na Wełtawą korespondentów pism zagranicznych panuje powszechnie przekonanie, iż pożar ten jest dziełem szowinistów czeskich, którzy w ten sposób chcieli uniemożliwić występ drużyny polskiej na terenie Pragi", wydaje się dęta. Zresztą śledztwo wykazało, że przyczyną nieszczęścia było spięcie instalacji elektrycznej.

Wyrazicielem piłsudczykowskiej propagandy była oczywiście także Polska Agencja Telegraficzna. Dowodami mogą być tytuł jednej z depesz: „Perfidne wykręty Czechosłowackiego Związku Piłkarskiego" albo opinia o dziennikarstwie południowego sąsiada, mająca służyć „odwróceniu uwagi opinii publicznej od jedynie prawdziwej przyczyny naprężenia pomiędzy obydwoma państwami, jaką jest prześladowanie i tępienie polskości na Śląsku Cieszyńskim pod zaborem czeskim".

Całkowicie inaczej rzecz postrzegała prasa opozycyjna. „Robotnik", organ Polskiej Partii Socjalistycznej, ubolewał:

eprasa.pl 318279d0bb



Adam Wolanin

FOT. „ST. LOUIS GLOBE DEMOCRAT", 13.04.1947 R.

„Naruszyliśmy sportową świętość, jaką była, jest i będzie apolityczność". Chadecki „Głosu Narodu" głosił natomiast: „Stanowisko polskiej dyplomacji to wyraźny dowód na rozszerzanie się konfliktu między obydwoma państwami". Jednak najbardziej zjadliwie wydarzenia te komentował, kąśliwym piórem Stanisława Strzetelskiego, dziennik „ABC", bliski Narodowej Demokracji: „Zamiast szukać, także poprzez sport, szansy rozładowania napięcia na linii Praga – Warszawa, minister Józef Beck swym wysoce nierozważnym, by nie rzec szkodliwym, postępowaniem zwielokrotnił skalę emocji. Nasuwa się pytanie: Czy wykonywał tylko dyrektywy swego wąsatego pryncypała?".

Ale może istniała też druga, bardziej prozaiczna, przesłanka stojąca za walkowerem? Wprawdzie zapowiadano reprezentacyjny debiut Ernesta Wilimowskiego, naszego najwybitniejszego piłkarza międzywojnia, lecz – per saldo – przeciwnik dysponował znacznie silniejszym zespołem. Dość przypomnieć bramkarza Františka Pláničkę i napastnika Oldřicha Nejedlý'ego – wybranych do jedenastki all stars mundialu A.D. 1934, gdzie Czechosłowacy zagrali w finale. Podobno tamtejszy związek futbolowy po tym spektakularnym osiągnięciu przesłał na adres PZPN elegancko oprawioną fotografię swojej reprezentacji z podpisami zawodników i trenerów oraz z serdecznym podziękowaniem za „wydatne skrócenie szlaku prowadzącego ku wicemistrzostwu świata".

Co ciekawe, Czechosłowacy monitowali FIFA, żądając odszkodowania za odwołanie meczu. Kwestia stanęła na porządku obrad w trakcie rzymskiego kongresu tej organizacji. „Praga oczekiwała rekompensaty wysokości 30 tysięcy złotych (dochód z warszawskiego meczu Polska – Czechosłowacja stanowił zaledwie jedną szóstą owej kwoty), sugerując także – w przypadku brak zapłaty – czasowe wykluczenie Polski z rozrywek międzypaństwowych. Sprawa wywołała hałas w Europie, która en bloc kibicowała w niej Czechosłowacji. I miała rację, ponieważ sport powinien być trwale oddzielony od polityki" – wspominał Wojciech Trojanowski, redaktor sportowy Polskiego Radia (następnie sekcji polskiej Radia Wolna Europa).

Ostatecznie – po kuluarowych negocjacjach – obciążono nas sumą trzykrotnie mniejszą. Referent zagraniczny PZPN, ppłk Kazimierz Glabisz, relacjonował: „Ta przykra historia znalazła rozwiązanie satysfakcjonujące nas dopiero po mojej – toczonej w dyskrecji – rozmowie z prezydentem FIFA, Julesem Rimetem".

Rozkaz z Moskwy

Polecenie zignorowania przez Polskę pierwszego mundialu po drugiej wojnie światowej zapadło na Kremlu. Gry w eliminacjach odmówiła sowiecka federacja futbolowa, a pod jej naciskiem do tego samego zmuszono stowarzyszenia piłkarskie wszystkich „bratnich państw bloku wschodniego". Wyjątkiem była tu Jugosławia, która podążała już, pod przywództwem Josipa Broza-Tita, zwanego wtedy w Moskwie „łańcuchowym psem imperializmu", własną drogą ku komunistycznej utopii.

W Polsce Ludowej pierwszy brazylijski mundial praktycznie przemilczano. Sprawozdanie z finału na łamach „Przeglądu Sportowego" zatytułowano wielce wymownie: „Ostatni akt parodii". W tekście znalazła się też fraza o „małości sportu kapitalistycznego i jego amoralnym obliczu".

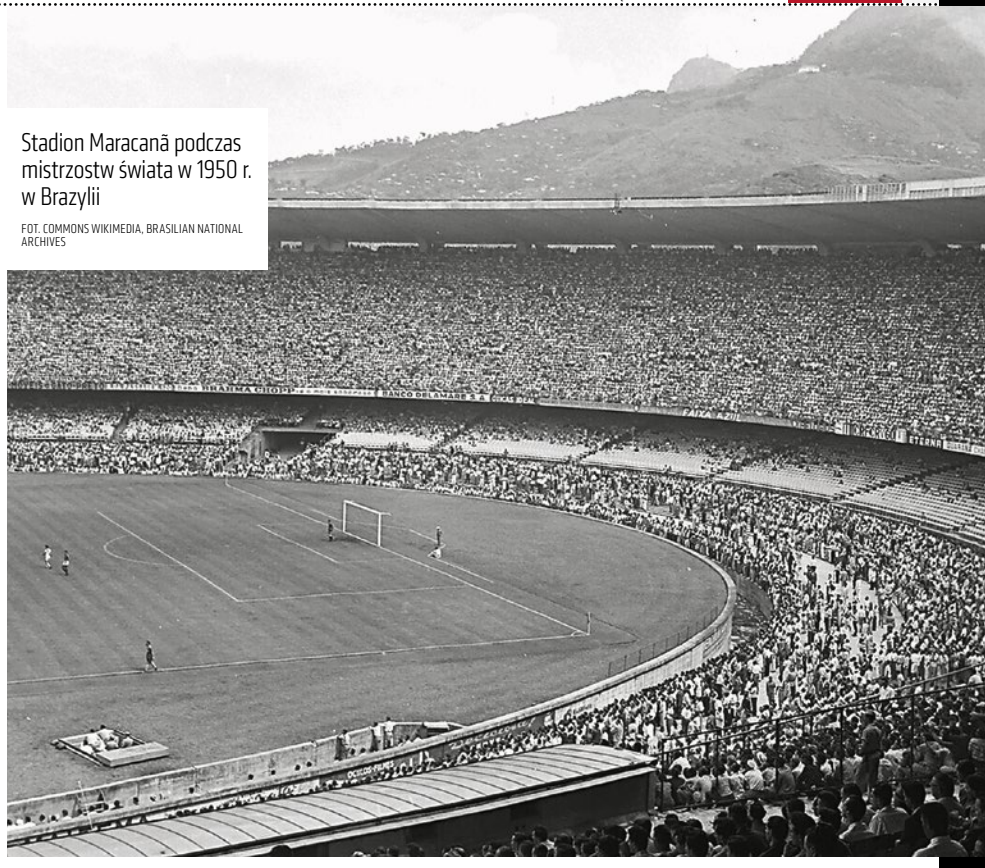
Jedyny (?) polski akcent tego turnieju odkrył w roku 1987 r. dziennikarz sportowy Andrzej Gowarzewski. Ustalił on mianowicie, że w składzie reprezentacji Stanów Zjednoczonych znalazł się Adam Wolanin, któremu biografię wytyczyło koło historii. Rocznik 1920, Lwowiak, od 15. roku życia trenujący w tamtejszej Pogoni. Uczestnik kampanii wrześniowej, uniknął niewoli. Za „pierwszego Sowieta" występował w czerwonych klubach (zapewne znał Kazimierza Górskiego). W czerwcu 1941 r. deportowany na Syberię. Niespełna trzy miesiące później zasilił szeregi wojska tworzonego przez gen. Władysława Andersa. Przebył z nim szlak bojowy. Ukończył szkolenie saperskie. Rozbrajał miny pod Ankoną, gdzie był świadkiem śmierci kolegi po fachu, profetycznego publicysty, Adolfa Bocheńskiego. Spotkał też Melchiora Wańkowicza.



Oficjalny plakat mistrzostw świata w Brazylii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, INTERWEB

eprasa.pl 318279d0bb



Stadion Maracanã podczas mistrzostw świata w 1950 r. w Brazylii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRASILIAN NATIONAL ARCHIVES

Po zakończeniu działań wojennych półtora roku spędził w Wielkiej Brytanii. Zdemobilizowany przeniósł się – za chlebem – do USA. Zatrudniony w warsztacie mechanicznym grał w polonijnym klubie piłkarskim Orły Chicago. Z początkiem roku 1950 uzyskał obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Zadecydowały o tym umiejętności piłkarskie (sic!), ponieważ Amerykanie chcieli go powołać do swojej kadry mundialowej. Wystąpił tylko w pierwszym meczu. Zawiódł, więc w kolejnych dwóch potyczkach siedział na ławce rezerwowych, a Amerykanie – mimo sensacyjnej wygranej z Anglią 1:0 – odpadli już w fazie grupowej.

Wolanin do śmierci (1987) mieszkał za Atlantykiem. Aktywnie działał w Kongresie Polonii amerykańskiej, przyjaźnił się z jego sternikami, Alojzym Mazewskim i Edwardem Moskalem. Pilnie śledził wydarzenia piłkarskie. Pomagał w aklimatyzacji za oceanem Ryszardowi Skurzyńskiemu, byłemu graczowi Gwardii, Legii i Polonii Warszawa. Polski nigdy już nie odwiedził. Z rodziną w kraju – m.in. pianistą Edwardem Wolaninem – utrzymywał kontakt korespondencyjny.

Lęk przed blamażem

W latach 50. uwidoczniła się w krajowym sporcie progresja. Władze polityczne szybko zaczęły to doceniać, a rzesze kibiców systematycznie rosły. Sukcesy odnosili pięściarze, lekkoatleci, szermierze, kolarze, koszykarze, pływacy, wioślarze, gimnastyczki, siatkarki… Lecz nie futboliści.

Kolejny globalny czempionat piłkarski gościła Szwajcaria. Biało-Czerwoni zamierzali w nim uczestniczyć do momentu, kiedy los skonfrontował nas w kwalifikacjach z Węgrami, dysponującymi wówczas najsilniejszą reprezentacją w dziejach. I to nie tylko własnych, ale – być może – całej piłki nożnej.

To od Madziarów uczyliśmy się futbolu. Właśnie z nimi rozegraliśmy (w roku 1921) pierwszy mecz. Węgierskich trenerów zatrudniały też nasze kluby. Imre Pozsonyi z Cracovią, Béla Fűrst z Wartą, a Ferenc Fogl z Ruchem i Wartą zdobywali mistrzostwo Polski. Węgry już u schyłku interbellum dołączyły do światowej elity, o czym dobitnie przekonywało wicemistrzostwo globu wywalczone w roku 1938 na stadionach Francji. Wprawdzie 27 sierpnia 1939 r. pokonaliśmy ich 4:2 (obecny na trybunach nastoletni Bohdan Tomaszewski określił widowisko „ostatnią radością przedwojennej Warszawy"), lecz kilkanaście lat później Węgrzy ciągle brylowali. Niczym burza przeszli przez igrzyska olimpijskie w Helsinkach (1952), rozbijając kolejno: Włochy (3:0), Turcję (7:1), Szwecję (6:0) oraz Jugosławię (2:0). Tak narodziła się legenda Złotej Jedenastki. Wkrótce umocniły ją bezdyskusyjne triumfy nad Anglią: 6:3 na Wembley oraz 7:1 w Budapeszcie.

W kierowniczych gremiach piłkarskich panował pogląd, że nie należy rozgrywać meczów z reprezentacją Węgier, gdyż jest ona za silna

Jak przebiegał proces decyzyjny dotyczący wycofania Polski z eliminacji do szwajcarskiego czempionatu? Niestety, dokumentacja się nie zachowała, świadkowie umarli i generalnie nie mamy na ten temat relacji. W kierowniczych gremiach piłkarskich panował pogląd, że nie należy rozgrywać z reprezentacją Węgier spotkań międzypaństwowych. Uzasadniano to faktem, że przeciwnik jest zanadto silny i spotkania z nim są deprymujące dla polskich piłkarzy. Rezultaty powojennych zmagań z bratankami (2:6, 2:8, 2:5, 2:5, 0:6, 1:5) mówiły same za siebie. „Najpewniej porażeni panicznym strachem działacze z obawy przed kolejną kompromitacją postanowili zatem skapitulować bez wychodzenia na boisko" – wyjaśniał po latach Maciej Biega na łamach tygodnika „Sportowiec".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Za pomoc w przygotowaniu tekstu dziękuję redaktorowi Dariuszowi Kurowskiemu.

BIBLIOGRAFIA:

Gowarzewski A., ***„Encyklopedia piłkarska Fuji"***; *Jarosz L.*, ***„Historia mundiali"***; *Roman A.*, ***„Tak to widzę"***; *Tomaszewski B.*, ***„Pożegnalna defilada"***; *Zbyszewski K.*, ***„Nogami do sławy"***.

eprasa.pl 318279d0bb



Główne wejście do fabryki GAZ (Gorkowska Fabryka Samochodów)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALEKSIEJ TREFIŁOW

Wieki XX–XXI / Samochody w państwie carów i pierwszych sekretarzy

Russo-Bałtem i czerwonym Fordem



Mikołaj Iwanow

Wbrew pozorom Rosja – zarówno biała, jak i czerwona – odnosiła pewne sukcesy na polu motoryzacyjnym. W czasach sowieckich Kreml stawał na głowie, by auto w końcu przestało być dobrem luksusowym

Dziś, w dobie otwartej agresji Federacji Rosyjskiej przeciwko Ukrainie, kiedy nękana zachodnimi sankcjami gospodarka rosyjska znajduje się w permanentnym kryzysie, rozmowa o nowoczesnym przemyśle samochodowym w tym kraju nie ma już sensu. Odcięte od zachodnich know-how rosyjskie fabryki coraz bardziej przypominają zakłady schyłkowego Związku Sowieckiego, kiedy masowo produkowano tam auta na licencjach zachodnich (przeważnie włoskich).

Sowietom sprzedawano jednak nie najnowsze technologie, lecz te, od których Zachód już odszedł. Historia produkcji samochodu Łada (znanego również pod nazwą Żyguli) stanowi wymowny przykład podobnej strategii. Moskwa kupiła wtedy licencję na produkcję Fiata 124, z którego Włosi w tym czasie już zrezygnowali. Dziś miejsce Włochów i innych zachodnich producentów aut z przytupem zajmują Chińczycy. Dlatego rosyjski przemysł samochodowy coraz bardziej przypomina biednego chińskiego kuzyna. Ale przecież nie zawsze tak było.

Powóz autem

Rosja carska była u zarania dziejów motoryzacji jednym z pierwszych na świecie krajów produkujących samochody. Rosyjskie samochody uznawane były za unikatowe konstrukcje, dość często były one w stanie nawiązać konkurencję z renomowanymi zachodnimi firmami.

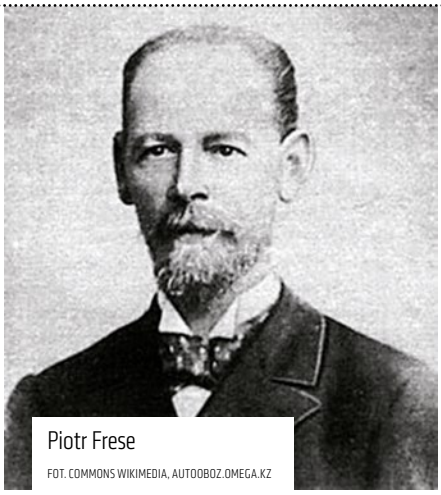
Pierwszy rosyjski samochód został wyprodukowany 1896 r. w Petersburgu. W tym samym roku zaprezentowano go na wystawie w Niżnym Nowogrodzie. Silnik i skrzynię biegów wyprodukowała fabryka Jakowlewa, natomiast nadwozie, podwozie i koła – fabryka z Sankt Petersburga należąca do Piotra Frese, który był głównym konstruktorem samochodu. Był to samochód produkowany masowo. Dziś nie da się już określić, ile dokładnie egzemplarzy wyprodukowano. Jedno jest jednak pewne: konstrukcja Jakowlewa-Frese powstała specjalnie z myślą o masowym transporcie. Eksperci szacują, że wyprodukowano kilkaset sztuk tego samochodu. Rosyjski producent wprowadził wiele istotnych ulepszeń w konstrukcji podwozia, skrzyni biegów i nadwozia tego auta w porównaniu z samochodami innych firm. Zapas paliwa wystarczał na 10 godzin pracy. Dwa mosiężne zbiorniki umieszczono z tyłu

eprasa.pl 318279d0bb

po bokach, służyły jako chłodnice. Pojazd miał dwa biegi: do przodu i bieg jałowy, a także dwa hamulce. Główny hamulec – nożny – działał na wał napędowy skrzyni biegów. Drugi – ręczny – dociskał gumowe klocki do tylnych opon. Koła były drewniane, tylne większe od przednich, z pełnymi gumowymi oponami. Z zewnątrz cała konstrukcja bardzo przypominała powóz. Silnik był czterosuwowy i generował moc 2 KM.

Rozkwit rosyjskiego przedrewolucyjnego przemysłu samochodowego nastąpił po 1910 r., kiedy Piotr Frese sprzedał swoją firmę Rosyjsko-Bałtyckiej Fabryce Wagonów (znanej też jako Russo-Bałt) działającej w Rydze. Ten rozkwit był związany z Polakiem – Michałem Szydłowskim, który nie bez podstaw nazywany bywa ojcem chrzestnym rosyjskiego przemysłu samochodowego. Szydłowski był przewodniczącym zarządu ryskiej fabryki.

W 1908 r. zdecydował o znaczącym poszerzeniu działalności produkcyjnej zakładów i otwarciu działów samochodowego i samolotowego. Polak ściągnął wtedy na stanowisko głównego konstruktora samochodów 26-letniego, niezwykle utalentowanego francuskiego inżyniera Juliena Potterata. Śmiało można stwierdzić, że był to strzał w dziesiątkę. To jemu Rosja zawdzięcza pojawienie się na rynku samochodowym kilku naprawdę unikatowych modeli. Co ciekawe, głównym konstruktorem samolotów w tej firmie został inny Polak, słynny po latach twórca amerykańskich helikopterów – Igor Sikorski.



Piotr Frese

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AUTOOBOZ.OMEGA.KZ

Auto Nobla

Pierwszym i najpopularniejszym modelem działu samochodowego Rosyjsko-Bałtyckiej Fabryki Wagonów był model C. Jego produkcja rozpoczęła się w 1909 r. Miał on silnik o mocy 30 KM, a pojemność skokowa wynosiła 4501 cm sześc. Późniejsze warianty miały silniki o mocy 35 i 40 KM, co w tym czasie było nie lada osiągnięciem. Na podwoziach samochodów tego modelu montowano następujące typy nadwozi: podwójny faeton, torpeda, limuzyna, landaulet, a także dwumiejscowe wersje sportowe. Oprócz nadwozi pasażerskich C był także swyposażany w nadwozia specjalistyczne – ambulanse, agregaty prądotwórcze i platformy towarowe. Później rozpoczęto produkcję innych modeli osobowych – K oraz E – a także ciężarówek.

W 1913 r. wyprodukowano pierwszy pojazd wyposażony w napęd półgąsienicowy. Zaprojektował go francuski wynalazca Adolphe Kégresse, który pracował wówczas w Rosji.

Do znanych właścicieli samochodów Russo-Bałt należeli wielki książę Konstanty i były premier, hrabia Siergiej Witte. O jakości i komforcie tych samochodów świadczy fakt, że jednym z posiadaczy Russo-Bałtu był Alfred Nobel, mający w tym czasie wiele biznesowych kontraktów w Rosji.

W latach 1909–1914 fabryka w Rydze wyprodukowała ok. 500 samochodów. Produkcję przerwała jednak pierwsza wojna światowa. Jesienią 1915 r. car Mikołaj II podjął decyzję o ewakuacji zakładu do Moskwy, gdzie fabryka produkowała już niemal wyłącznie samochody na potrzeby wojska.

Rewolucja bolszewicka 1917 r. doprowadziła kraj do zupełnej zapaści. O produkcji samochodów w czasie wojny domowej i tuż po jej zakończeniu nikt w tym kraju nawet nie myślał. W Rosji ogarniętej chaosem szalał głód, a bolszewicy rozpętali czerwony terror.

Wszystko zmieniło się, kiedy partia ogłosiła politykę powszechnej industrializacji. Paradoksalnie największą pomoc udzielili państwu bolszewickiemu Amerykanie, którzy jednocześnie najdłużej zwlekali z dyplomatycznym uznaniem Związku Sowieckiego. Brak oficjalnych stosunków nie przeszkadzał jednak amerykańskim przedsiębiorcom zarabiać ogromnych pieniędzy w ZSRS (USA uznały czerwoną Moskwę dopiero w listopadzie 1933 r.).

Amerykańscy biznesmeni działali według prostej zasady: kapitał nie ma narodowości. Możliwość zarobienia w Rosji bolszewickiej pieniędzy, co pomogłoby im wyjść z głębokiego kryzysu ekonomicznego, była dla nich pokusą nie do odrzucenia.

Te założenia stały się podstawą pierwszej pięciolatki, której zadaniami były przyspieszona industrializacja i kolektywizacja. Jak zbudować potężne



Russo-Bałt, typ K, 1911 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALEKSANDR MARKIN, FLICKR

eprasa.pl 318279d0bb

państwo w ciągu kilku lat? Czołowi liderzy partii komunistycznej doskonale rozumieli, że nie da się tego zrobić samodzielnie, bez pomocy doświadczonych zagranicznych specjalistów i nowoczesnej technologii. Dostrzegano to również w Ameryce, gdzie w kręgach biznesowych zaczęto głośno mówić: połączenie sowieckiego entuzjazmu rewolucyjnego z amerykańską efektywnością i doświadczeniem przemysłowym może przynieść korzyści obu krajom.



Emblemat fabryki Russo--Bałt

FOT. WIKIMEDIA COMMONS, MTDATA.RU

Czerwony Ford

W maju 1929 r. samochodowy król Ameryki, Henry Ford, podpisał ze Związkiem Sowieckim umowę o współpracy technologicznej. Forda można nazwać najważniejszym partnerem gospodarczym Sowietów w XX w. Kierownik nowojorskiego oddziału firmy Greg Plantif uważał rynek sowiecki za najbardziej obiecujący. W liście do Henry'ego Forda tak to oceniał: „Jeśli zbudujemy fabryki samochodów w Rosji, to za dziesięć lat będziemy mogli tam robić prawie taki sam biznes, jak obecnie w Ameryce". Doradcy Forda stwierdzili, że firmie bardziej opłaca się budować fabryki samochodów w ZSRS, niż wysyłać dostawy gotowych produktów do tego kraju. Już 1 lutego 1930 r. odbyło się uroczyste uruchomienie pierwszej montowni samochodów Forda w Niżnym Nowogrodzie. Amerykańscy inżynierowie pracujący przy realizacji tego projektu nazwali go „początkiem nowej ery" dla stalinowskiej Rosji. Setki sowieckich młodych robotników skierowano do Detroit, gdzie po przeszkoleniu zostali wykwalifikowanymi specjalistami.Również przy pomocy Amerykanów przebudowano niewielkie zakłady samochodowe AMO w Moskwie. Przemianowano je następnie na ZiS (Zakład imienia Stalina) i rozpoczęto produkcję ciężarówki na licencji amerykańskiej firmy Autocar. Oba zakłady, zbudowane w okresie industrializacji, stały się fundamentem sowieckiego przemysłu samochodowego. Wraz z mniejszymi przedsiębiorstwami w Jarosławiu i Uljanowsku do 1938 r. zapewniły one ZSRS awans na pierwsze miejsce w Europie i drugie na świecie w produkcji ciężarówek. Przed drugą wojną światową przemysł motoryzacyjny ZSRS wyprodukował ponad milion pojazdów, z których znaczna część trafiła do Armii Czerwonej.

Po wojnie z powodu załamania współpracy z Amerykanami sowiecki przemysł samochodowy musiał zacząć korzystać z doświadczeń Niemców

Po wojnie z powodu załamania współpracy z Amerykanami sowiecki przemysł samochodowy musiał zacząć korzystać z doświadczeń Niemców. W ramach reparacji w całości przeniesiono do ZSRS kilka niemieckich zakładów motoryzacyjnych. W Moskwie uruchomiono produkcję Opla, który otrzymał nazwę Moskwicz.

Pierwszy całkowicie skonstruowany w Związku Sowieckim samochód osobowy pierwotnie miał być nazwany Rodina (Ojczyzna). Gdy jednak w czerwcu 1944 r. pokazano Stalinowi prototyp przyszłego samochodu pod tą nazwą, wódz ZSRS zapytał ponoć: „Za ile sprzedamy »Ojczyznę« (»Rodinę«)?". Z tego powodu szybko zmieniono nazwę auta na Pobieda (Zwycięstwo). Jego produkcja rozpoczęła się w czerwcu 1946 r. Do 1958 r. wyprodukowano łącznie 241 497 egzemplarzy Pobiedy, w tym 14 222 kabriolety. Cena detaliczna na rynku krajowym wynosiła 16 tys. rubli od 1947 r. i 20 tys. rubli od 1955 r. Kupić go jednak mogli tylko ci nieliczni, którzy dostali pozwolenie władz. Przeważnie talon na kupno samochodu otrzymywali wysocy urzędnicy partyjni i państwowi, wybitni przodownicy pracy, generałowie i inni zasłużeni dla reżimu ludzie.

Od 1951 r. Pobieda była również produkowana na licencji w PRL, w fabryce FSO (Fabryka Samochodów Osobowych), pod nazwą Warszawa. Konstrukcja ta była wielokrotnie modernizowana. Ostatni taki samochód zjechał z linii produkcyjnej FSO dopiero w 1973 r. Paradoksalnie w PRL wyprodukowano



GAZ-21 Wołga FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ABKHAZIAN 1

eprasa.pl 318279d0bb



Emblemat fabryki GAZ

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOHN LLOYD FROM CONCRETE, WASHINGTON, UNITED STATES

tych aut więcej niż w Związku Sowieckim – aż 253 tys. egzemplarzy.

Pobieda była jednym z pierwszych, obok Moskwicza, sowieckich samochodów osobowych szeroko oferowanych na eksport. Wysyłano ją głównie do Finlandii, gdzie cieszyła się popularnością wśród taksówkarzy, do innych krajów skandynawskich, Austrii, a także do Belgii. Brytyjski magazyn „The Motor" tak pisał w 1952 r. o tym aucie: „Największą zaletą »Pobiedy« jest jej zdolność do poruszania się po każdej drodze… W »Pobiedzie« nie musisz bać się szybkiej jazdy po złych drogach, nawet z pełnym obciążeniem".

Czarne Wołgi

Rok 1956 otwiera kolejny ważny rozdział rozwoju sowieckiej motoryzacji. GAZ, czyli Gorkowskij Awtomobilnyj Zawod (Gorkowska Fabryka Samochodów), przedstawił samochód, który zastąpił Pobiedę – GAZ-21, znany jako Wołga. Był on większy, miał panoramiczne szyby z przodu i z tyłu, większy czterocylindrowy silnik górnozaworowy, centralne smarowanie głównych podzespołów podwozia, hipoidalną oś tylną i półautomatyczną skrzynię biegów. Samochód wyposażony został w bardziej wyszukane, chromowane elementy wykończenia nadwozia i ulepszoną tapicerkę.

W 1970 r. Wołga przeszła kolejną modernizację. Na rynku pojawił się model GAZ-24, który był produkowany aż do 1997 r. Jego następca – GAZ-31, produkowany już nie w Gorkach, lecz, po zmianie nazwy miasta, w Niżnym Nowogrodzie – nie miał już tak dobrej passy.

Równolegle z modernizowaniem rodzimego przemysłu samochodowego komunistyczne władze postawiły w latach 60. i 70. na masową motoryzację. Przystąpiono do realizacji szerokiej umowy licencyjnej z włoskim FIAT-em, przewidującej budowę Wołżańskiej Fabryki Samochodów (WAZ). W nowo powstałym mieście nad Wołgą, nazwanym na cześć sekretarza generalnego Włoskiej Partii Komunistycznej Palmiro Togliattiego, rozpoczęła się budowa ogromnych zakładów samochodowych. W latach 1966–1970 WAZ osiągnął swą zakładaną w kontrakcie moc produkcyjną na poziomie 660 tys. pojazdów rocznie. W latach 80. w Togliatti produkowano już rocznie 730 tys. egzemplarzy. Był to szczyt rozwoju sowieckiej motoryzacji. Dziś sytuacja wygląda na tym tle wręcz dramatycznie. W 2025 r. z taśm produkcyjnych zakładów w Togliatti zjechało zaledwie 324 558 samochodów.

W czasach sowieckich również od podstaw, przy udziale francuskiego Renault, powstał w mieście Iżewsk duży zakład produkcji samochodów osobowych. Z jego taśm zjeżdżały słynne Moskwicze 412 oraz Iż-2125 i Iż-2715.

Do lat 80. sowiecki przemysł samochodowy zanotował znaczące sukcesy w produkcji masowej. Był to sposób komunistycznych władz na zaspokojenie oczekiwań ludności i przezwyciężenie powszechnego, rosnącego rozczarowania komunizmem. Niemal permanentny kryzys gospodarki centralnie planowanej prowadził do braku podstawowych dóbr konsumpcyjnych. Umasowienie samochodów miało ten kryzys nieco złagodzić. ZSRS pod względem całkowitej produkcji samochodów w latach 1985 i 1986 uplasował się na piątym miejscu na świecie (2,2 mln sztuk, co stawiało Kraj Rad za Japonią, Stanami Zjednoczonymi, RFN i Francją). Jednocześnie jednak zaczęły się pojawiać zjawiska kryzysowe typowe dla ery stagnacji: brak nowych inwestycji, zapóźnienie w kwestii prac badawczo-rozwojowych, niska jakość podzespołów i montażu, a także ciągły niedobór części zamiennych.

Postkomunistyczna Rosja otworzyła się na rynki zachodnie i słynna Wołga nie była już w stanie konkurować z autami renomowanych firm zachodnich. Próbowano ją ratować, kupując licencję od amerykańskiego Chryslera, jednak nowy samochód Wołga Siber (produkowany w latach 2009–2011) wkrótce musiał zniknąć z rynku. Obecnie Wołga to już historia. W dzisiejszej Rosji, znajdującej się pod zachodnimi sankcjami, mówi się o planach wznowienia produkcji limuzyn w Niżnym Nowogrodzie, ale na razie są to jedynie mgliste zapowiedzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Łada 2101 Żyguli, samochód produkowany na licencji firmy Fiat. Odmiana Fiata 124 FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FORREXP

eprasa.pl 318279d0bb



1976 r. / 50. rocznica Czerwca '76

Robotnicy radomskich fabryk na wózku akumulatorowym FOT. PAP

Radomska „ścieżka zdrowia”



Tomasz Stańczyk

Protest przeciw planowanej podwyżce cen żywności został stłumiony z najwyższą brutalnością. Zomowcy bili demonstrantów pałami, kopiąc ich przy tym, opluwając i łżąc

Do czerwca 1976 r. Edward Gierek, I sekretarz KC PZPR, wydawał się spokojnym, dobrotliwym nawet, zatroskanym o Polaków gospodarzem kraju. W czerwcu jednak stał się rozdrażniony, gniewny i mściwy. Powodem tej zmiany była gwałtowna reakcja społeczeństwa na planowaną, a właściwie przesądzoną, bardzo wysoką podwyżkę cen żywności. Protestowano i strajkowano w wielu miejscach Polski, m.in. w Ursusie, ale do najbardziej drastycznych wystąpień doszło w Radomiu. 25 czerwca toczyły się tam walki uliczne z ZOMO i milicją.

Gierek był osobiście urażony taką reakcją społeczeństwa, postrzegając ją jako niewdzięczność. Uważał, że przecież – jak głosiło partyjne hasło – „Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Po tragicznych wypadkach z grudnia 1970 r., gdy podczas protestów przeciw podwyżce cen żywności polała się krew na Wybrzeżu, a Gierek doszedł do władzy, rzeczywiście sporo się zmieniło. Gospodarka ruszyła z miejsca, płace realne rosły, zaczęto wdrażać produkcję „samochodu dla każdego” – polskiego Fiata 126 – w sklepach pojawiła się Coca-Cola, znacznie łatwiej można było wyjechać na Zachód, do krajów kapitalistycznych, ale jednak nie oznaczało to, że wszystkim Polakom się polepszyło. Chociaż zaczęto budować fabryki domów z wielkiej płyty, to jednak wobec wchodzenia w dorosłość pokolenia wyżu demograficznego nie rozwiązywało to problemu mieszkaniowego. Mimo to Gierkowi wydawało się, że społeczeństwo powinno być partii wdzięczne.

Za jego rządów pojawił się specyficzny problem: ludzie mieli coraz więcej pieniędzy, lecz wraz z tym teoretycznym podnoszeniem stopy życiowej nie przybywało w wystarczającym stopniu zaopatrzenia w sklepach (głównie chodziło o żywność, która stawała się wręcz coraz gorsza). Socjalistyczna gospodarka okazała się niewydolna. Władze postanowiły więc urealnić ceny żywności, podwyższając je, a tym samym ograniczyć popyt. Partyjni prominenci dobrze pamiętali, czym skończyła się podwyżka w 1970 r. Wydawało się im, że tym razem kolejny wzrost cen przejdzie w miarę gładko, ponieważ – jak uważali – lepiej się do tego przygotowali. Jeden z nich, Jan Szydlak, z całą powagą twierdził 21 czerwca na posiedzeniu KC, w którym brali udział wojewódzcy

eprasa.pl 318279d0bb

sekretarze i terenowy aktyw partyjny: „Po raz pierwszy w historii czynimy taką operację bez zaskoczenia, w majestacie demokracji, konsultacji i decyzji parlamentarnych", a Gierek oświadczył, że jak trzeba będzie, to on wytłumaczy Polakom, iż jest to decyzja konieczna dla „dalszego utrzymania szybkiego rozwoju Polski" (P. Sasanka, „Czerwiec 1976. Geneza. Przebieg. Konsekwencje").



Demonstranci przed budynkiem Komitetu Wojewodzkiego PZPR FOT. PAP

Farsa konsultacji

Wielkiego zaskoczenia faktycznie nie było, ponieważ po kraju już od kilku miesięcy krążyły pogłoski o mającej nastąpić podwyżce cen żywności. A miała być ona bardzo duża, projektowano bowiem, że mięso, jego przetwory i ryby zdrożeją o 69 proc., drób o 30 proc., nabiał o 64 proc., ziemniaki o 22 proc., jaja o 30 proc., owoce i warzywa – o 20 proc. Aby osłodzić społeczeństwu podwyżki, nie zmieniono cen dżemów i marmolady, pieczywa, kasz, chudych serów, kawy, herbaty, a także owoców cytrusowych.

Polacy, którzy rzeczywiście żyli w ciągu ostatnich pięciu lat dostatniej, odebrali podwyżki jako drenaż, zubożenie ich portfeli. Dla znacznej części społeczeństwa tak wysoki wzrost cen zdecydowanie obniżał i tak mizerną stopę życiową. Dla niektórych oznaczało to wręcz nędzę.

Zapowiedziane konsultacje na zebraniach partyjnych i w zakładach pracy miały trwać tylko dwa dni, a ich głównym celem było uzyskanie masowych deklaracji poparcia dla podwyżek. Cała ta akcja konsultacyjna była jedną wielką farsą, ponieważ nowe cenniki zostały wydrukowane z wyprzedzeniem. Partia zdawała sobie sprawę z tego, że podwyżki spowodują niezadowolenie społeczne, więc kładziono nacisk na rekompensaty. Wbrew zasadom sprawiedliwości społecznej najmniejsze wsparcie mieli otrzymać najmniej zarabiający (240–260 zł), a największe – najlepiej opłacani pracownicy (do 600 zł). Stała za tym jednak pewna logika, gdyż – jak pisał Paweł Sasanka – kierownictwo partii uważało, że „wyższe rekompensaty wypłacane rodzinom o niskich dochodach zostałyby w całości przeznaczone na żywność, należało temu zapobiec". Wszak chodziło o zmniejszenie popytu na żywność, a braki w zaopatrzeniu sklepów były już od pewnego czasu widoczne gołym okiem. Oczywiście rekompensaty nie mogły w 100 proc. wyrównać skutków podwyżki cen, gdyż byłoby to zaprzeczeniem idei, która stała za jej wprowadzaniem.

Zaczęło się w „Walterze"

25 czerwca 1976 r. o godz. 6.30 zastrajkował w Radomiu jeden z wydziałów Zakładów Metalowych „Predom-Łucznik" im. gen. Waltera. Wkrótce przyłączyli się robotnicy innych wydziałów (85 proc. załogi), a także radomskich fabryk, m.in. Radoskóru, Radomskiej Wytwórni Telefonów „Telekom" i Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego. Wzburzony tłum robotników, liczący ponad 2 tys. osób, pewny, że podwyżki są już przesądzone, poszedł pod gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Wyszedł do niego jeden z sekretarzy KW. Chciał przemawiać, ale zaczęto go szarpać i rozbierać. Uratowała go interwencja ubranych po cywilnemu milicjantów. Janusz Prokopiak, I sekretarz KW, usiłował uspokoić nastroje, mówiąc, że różne problemy udawało się rozwiązać, więc uda się przezwyciężyć także ten. „W dniu dzisiejszym odbywają się konsultacje zamierzonych zmian" – mówił, choć oczywiście wiedział, że decyzja o podwyżce cen jest przesądzona.

„– Żądamy zniesienia podwyżki! – Okrzyki płynęły przez ulicę niczym fala wielka i groźna, bo wzburzona. – Dzwoń do KC, żądamy i nie ustąpimy" (J. Prokopiak, „Radomski Czerwiec '76..."). Prokopiak zadzwonił do Warszawy, lecz usłyszał od Szydlaka, sekretarza KC, że cofnięcie podwyżek nie jest możliwe. Jego warszawki rozmówca zaczął go pouczać, jak rozmawiać z protestującymi, jak ich przekonywać. „Odłożyłem słuchawkę bez słowa" – wspominał Prokopiak. Ponieważ nie mógł zakomunikować ludziom oblegającym gmach KW tego, co chcieli usłyszeć, gwizdy, tumult i krzyki jeszcze się wzmogły. Prokopiak usłyszał w końcu, jak ktoś zawołał: „Rżnąć, palić tych łobuzów komunistów" i skierowane pod jego kierunkiem wezwanie: „Za dupę go i przez okno!". Prokopiak i inni pracownicy KW zostali ewakuowani z gmachu przez milicję. Wkrótce do siedziby partii wdarł się tłum, demolując wnętrza, niszcząc portret Lenina i czerwone flagi, na ulice wyrzucono żywność, w tym szynkę z bufetu, biurka i dywany. Na koniec, ok. godz. 14.30, gmach został podpalony.

W oczach tego partyjnego działacza obraz wydarzeń przedstawiał się następująco: „W gabinecie komendanta wojewódzkiego MO krótka narada. Komendant zreferował sytuację w mieście. Po podpaleniu komitetu do akcji wkroczyły siły milicyjne. Inne grupy zaatakowały urząd wojewódzki oraz demolowały i rabowały sklepy, barykadowały ulice, podpalały samochody". Niewątpliwie dochodziło do grabieży, dokonywanej przez niektórych ludzi, którzy wylegli na ulice Radomia. Stało się to wygodnym pretekstem dla władz do przedstawiania wszystkich demonstrujących przeciw drastycznym podwyżkom cen jako marginesu społecznego, warchołów i przestępców. Partia mająca w nazwie słowo „robotnicza" nie mogła przecież przyznać się do tego, że zwrócili się przeciw niej robotnicy.

Walki uliczne

Do Radomia ok. godz. 10 ruszyły oddziały ZOMO z innych miast, a samolotami przerzucono trzy kompanie

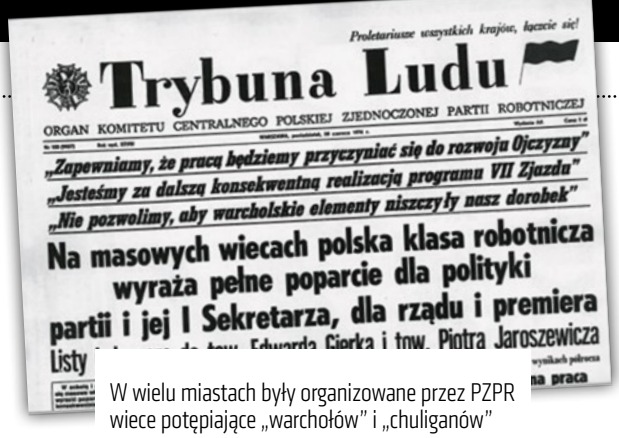
eprasa.pl 318279d0bb

słuchaczy Wyższej Szkoły Oficerskiej MO ze Szczytna, w sumie nieco ponad 1,5 tys. funkcjonariuszy. Siły MSW były już uprzedzone; władze, obawiając się, że może dojść do niepokojów związanych z podwyżką cen, powołały zawczasu sztab operacji „Ćwiczenia Lato '76". Funkcjonariusze zostali postawieni w stan gotowości 23 czerwca, dzień przed przemówieniem premiera Piotra Jaroszewicza w Sejmie, zapowiadającym podwyżki.

W Radomiu w ruch poszły pałki, petardy, gaz łzawiący i armatki wodne. Demonstranci odpowiedzieli, rzucając w kierunku nacierających płyty chodnikowe, kamienie, cegły i butelki. Tarasowali przy tym ulice, starając się budować barykady. Dwaj robotnicy, próbujący pchnąć w stronę ZOMO przyczepę ciężarówki z betonowymi płytami, zostali nią przygnieceni i ponieśli śmierć. Ich ciała położono na wózku akumulatorowym, a po mieście rozpuszczono pogłoskę, że zostali oni zabici przez milicjantów, co podgrzało nastroje. W stronę ZOMO leciały nie tylko kamienie, lecz także okrzyki: „Hitlerowcy!", „Bandyci!", „Pachołki moskiewskie!". Późnym wieczorem tamtego dnia siły porządkowe zakończyły pacyfikowanie demonstrantów. Oblicza się, że na ulicach było ich nawet 20–25 tys.

Gdy Prokopiak zadzwonił do Gierka, informując go, że sytuacja wydaje się opanowana, usłyszał od I sekretarza wulgarne słowa: „Powiedzcie tym swoim Radomiakom, że ja mam ich wszystkich w dupie i te wszystkie ich działania też mam w dupie. Zrobiliście taką rozróbę i chcecie, by to łagodnie potraktować? To warchoły, ja im tego nie zapomnę". A potem na telekonferencji usłyszał: „Radomianom trzeba powiedzieć, jak ich oceniamy… jak wychowali swoje dzieci [bardzo wielu uczestników demonstracji nie przekroczyło 30. roku życia – przyp. red.], jak szkodzą Polsce… cała Polska ma do nich pretensje…".

Tamtego dnia, 25 czerwca, łagodnego traktowania nie było. Wręcz przeciwnie, ZOMO działało z bezprzykładną brutalnością, robiąc ok. 300 zatrzymanym tzw. ścieżki zdrowia. Ustawieni w szpalerze funkcjonariusze bili przepędzanych demonstrantów pałkami szturmowymi, kopali ich, opluwali, lżyli.


Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Trybuna Ludu

ORGAN KOMITETU CENTRALNEGO POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

„Zapewniamy, że pracą będziemy przyczyniać się do rozwoju Ojczyzny"

„Jesteśmy za dalszą konsekwentną realizacją programu VII Zjazdu"

„Nie pozwolimy, aby warcholskie elementy niszczyły nasz dorobek"

Na masowych wiecach polska klasa robotnicza wyraża pełne poparcie dla polityki partii i jej I Sekretarza, dla rządu i premiera

Listy

praca

W wielu miastach były organizowane przez PZPR wiece potępiające „warchołów" i „chuliganów"

FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Wśród śmiechu i drwin wielu zatrzymanych potraktowano w poniżający sposób (np. na klęczkach lub na leżąco) – pisał Paweł Sasanka – wycinano włosy krawieckimi nożycami, scyzorykami, nożami, wreszcie wyrywano włosy gołymi rękoma, każąc je schować do kieszeni".

Nie oszczędzano nawet małoletnich, który znaleźli się w tłumie demonstrantów. Czternastoletniego Wojciecha Gozdura zamknięto w milicyjnej Nysce, a do wnętrza wrzucono granat gazowy. Chłopak oczywiście zaczął się dusić; potem zabrano go na komendę. „Był taki facet w skórzanej kurtce – relacjonował Gozdur. – Ciemny, włosy zaczesane do tyłu. Nie pozwalał patrzeć na siebie. Chyba karateka, bo bił prostymi palcami pod żebra. Miał te palce jak kawałki żelaza. Ból czułem przeszywający. Była tam psychopatka milicjantka. Blondyna. Kazała kłaść ręce na stół i tłukła odwrotnym końcem pały. Łamała palce, wybijała" (A. Kutkowski, „…jak my ich nienawidzimy. Represje sądowe po radomskim Czerwcu 1976 r.").

Nowy rozdział

Pod presją społecznego buntu premier Jaroszewicz wystąpił wieczorem w telewizji, mówiąc, że podwyżka cen nie wejdzie w życie, bo – jak tłumaczył – w trakcie konsultacji zgłoszono tyle propozycji i wątpliwości, że ich przeanalizowanie zajmie kilka miesięcy. „Była to decyzja zaskakująca – pisał Andrzej Friszke. – Dotychczas nigdy demonstracje i manifestacje nie przynosiły tak natychmiastowych rezultatów. Ekipa Gierka żyła w obawie powtórzenia się wydarzeń grudniowych, toteż milicji nie wyposażono w broń palną i zrezygnowano z podwyżki, gdyż jej forsowanie groziło eskalacją wystąpień" (A. Friszke, „Polska Gierka").

Furia partyjnej góry, z Gierkiem na czele, była tak duża, że – jak wspominał sekretarz Prokopiak – padały propozycje, by ukarać całe miasto, np. ograniczyć budownictwo mieszkaniowe i obniżyć dostawy żywności. Gierek zarządził zorganizowanie w miastach – oczywiście także w Radomiu – „spontanicznych" wieców (brało w nich udział po 20–80 tys. ludzi), na których potępiano „warchołów", „wichrzycieli" i „chuliganów". I sekretarz PZPR wydał również instrukcje w kwestii odnoszenia się do robotników, którzy wyszli na ulice demonstrować (nie tylko w Radomiu): „Trzeba załodze tych czterdziestu paru zakładów powiedzieć, jak my ich nienawidzimy, jacy to są łajdacy, jak oni swoim postępowaniem szkodzą krajowi. Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierczych pod ich adresem, a nawet jak zażądacie wyrzucenia elementów nieodpowiedzialnych, tym lepiej dla sprawy" (A. Garlicki, „Z tajnych archiwów"). Tak też się stało – w Radomiu z pracy wyrzucono tysiąc osób. Przed kolegiami do spraw wykroczeń i sądami stanęło kilkuset ludzi, najsurowsze wyroki (5–10 lat więzienia) zapadły wobec kilkunastu.

2 lipca 1976 r. odbył się w Katowicach – gdzie przez wiele lat I sekretarzem KW był Edward Gierek – ogromny wiec, w sali widniało hasło: „Z ludźmi. Dla ludzi". Gierek podkreślał w czasie przemówienia: „Nasze socjalistyczne państwo jest państwem rządnym, opartym na ładzie prawa, na konstytucyjnych swobodach i obowiązkach obywateli". Wobec tego, co się stało w Radomiu i w innych miastach (ogółem strajkowało prawie 100 zakładów pracy), brzmiało to jak drwina.

Czerwiec 1976 r. był jednym z punktów zwrotnych w dziejach komunistycznej Polski. Także dlatego, że w rezultacie tych wydarzeń trzy miesiące później powstał Komitet Obrony Robotników, stawiający sobie za cel udzielanie pomocy materialnej rodzinom aresztowanych i skazanych, a im samym oferujący pomoc prawną. Wiosną 1977 r. powstał natomiast Ruch Ochrony Praw Człowieka i Obywatela. W ten sposób otworzył się nowy rozdział w dziejach opozycji w PRL.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 318279d0bb



Jakub Ostromęcki

Gdyby w Sèvres potrzebowano kiedyś wzorca sarmaty, należałoby tam umieścić Stanisława Druszkiewicza



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

XVII w. / Sarmata na medal

Kręte drogi Druszkiewicza

Do szabel przyrośnięte pięści, brzuchy obnoszone przodem" – kpił ze szlachty w „Tradycji" Jacek Kaczmarski czy może raczej cytowany przez niego chór ojkofobów. Bard przewrotnie dodawał jednak, że „jeszcze Polska wtedy żyła, gdy z nią ginęli". Słowa „Tradycji" mogłyby odnosić się do barwnego życia Stanisława Druszkiewicza, XVII-wiecznego szlachcica, żołnierza, w młodości awanturnika. Na poły warchoła, na poły odpowiedzialnego obywatela. Zarówno obrotnego klienta magnatów, działającego na korzyść oligarchii, jak i ofiarnego patrioty.

Druszkiewicz uczestniczył w największych klęskach i zwycięstwach Rzeczypospolitej – od Żółtych Wód, przez Chocim, aż po Żurawno. Ciało miał poorane bliznami, nieraz cudem uchodził śmierci, ale sam też potrafił zrobić użytek z szabli. Widział kawał świata, od bogatych i deszczowych Niderlandów po słoneczny i egzotyczny Krym, połowę dorosłego życia spędzając jednak w siodle na stepach. Żywot, zwłaszcza w czasach powstania Chmielnickiego, miał godny bohatera „Trylogii", ale że obraz ten nie był czarno-biały, to bardziej pasowałby do krwawych powieści Jacka Komudy. Dawni historycy wojskowości miernie ocenili jego dowodzenie podczas mołdawskich ekspedycji Sobieskiego, późniejsze badania kazały jednak zweryfikować te opinie.

Pradzieje rodu Druszkiewiczów pokazują potencjał asymilacyjny Rzeczypospolitej. Przodkowie Stanisława byli pogańskimi Prusami z okolic jeziora Druzno w Pomezanii. Musieli jednak w XIII w. umykać na Litwę przed krzyżackim mieczem, a potem, już w okresie jej wielkości, osiedlili się w województwie brzeskim. Edukacja urodzonego w 1621 r. Druszkiewicza miała potoczyć się tak jak u tysięcy innych panów braci od Warty po Berezynę. Ci, których nie stać było na studia w Italii, musieli zadowolić się lokalnym kolegium jezuickim – w tym przypadku w Nieświeżu, tym samym, w którym po 300 latach Piłsudski wyprawi słynną ucztę dla kresowych ziemian.

Stanisław był jednak marnym uczniem; siedzenie w ławie nie było dla niego. Po dwóch latach nauki, w 1636 r.,

eprasa.pl 318279d0bb

trafił więc na dwór Władysława Dorohostajskiego, gdzie można było dla odmiany pomachać szablą, osiodłać rumaka i ćwiczyć uderzenia w pierścień. W połowie XVII w. demokracja szlachecka staczała się już niestety w otchłań oligarchii magnackiej. Szanujący się posesjonat kilku wsi powinien więc znaleźć sobie dobrodzieja z tytułem senatorskim. Druszkiewicze wybrali postać w naszej historiografii słusznie owianą złą sławą – Bogusława Radziwiłła. Stanisław, jeszcze jako młodzik, ruszył w 1638 r. samotnie do Niderlandów do swojego patrona podróżującego po Europie, w ramach grand tour, czyli ekspedycji, podczas której młodzi przedstawiciele elit poznawali centra europejskiej kultury, podziwiali antyczne ruiny, trenowali fechtunek i zażywali też innych, typowo męskich przyjemności. Na drugie tour, w 1641 r., Druszkiewicz już nie pojechał.

Pieczeniarz

Do wyciągnięcia szabel nie trzeba było w Polsce i na Litwie wiele. Wystarczyła np. odmowa toastu w jakiejś sprawie, zaczepka, zajęcie upatrzonej kwatery przez kogoś innego, nie tak postawione namioty na wojskowym majdanie. Każdy młody szlachcic wychowywał się w atmosferze maniakalnego dbania o honor, gdzie przemoc była codziennością. W podobnych zwadach zabito zresztą dwóch kuzynów Druszkiewicza.

Pojedynek był też przyczyną wielkich kłopotów naszego bohatera. W dobrach



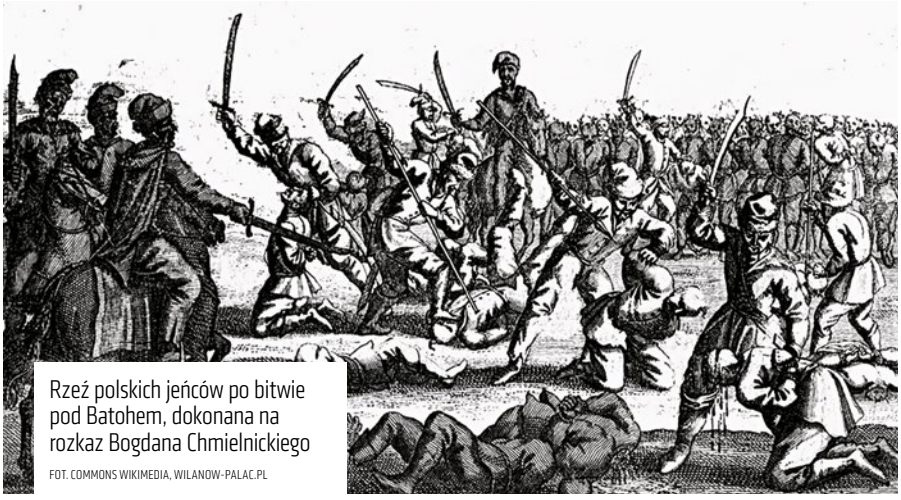
Rotmistrz chorągwi pancernej. Obraz Juliusza Kossaka FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Radziwiłła mieszkał niejaki Zgłębicki, komornik graniczny. Czyli urzędnik, który określał granice między posiadłościami i mierzył ich powierzchnię. Magnaci często powoływali prywatnych komorników i takim właśnie człowiekiem był Zgłębicki. W Słucku panowie sięgnęli po szable „o żarty". Nie wiemy, kto z kogo dworował, ale Zgłębicki w wyniku pojedynku zginął. Młody Staś znalazł się więc w opałach. Pojedynek miał miejsce w niedzielę, niemal na oczach Eliasza Arciszewskiego, jednego z ważniejszych teologów i duchownych ariańskich, których Radziwiłł, sam kalwinista, chronił przed prześladowaniami. Zabito radziwiłłowskiego urzędnika, więc Druszkiewicza czekał loch.

Chcąc uniknąć zatrzymania, uciekł do kościoła i poprosił tam o azyl. Kościół otoczono, ale Druszkiewicz jakimś cudem o kłopotach zdołał zawiadomić swoją ciotkę. Ta przybyła do świątyni z worem pełnym kobiecych ubrań i przebrała w nie bratanka. Ten, jeszcze młody, nie mając zarostu na twarzy, omotany chustami i sukniami wyszedł na zewnątrz z ciotką nieniepokojony przez nikogo.

Szlachcic, któremu grunt palił się pod nogami, zmykał z reguły na Ukrainę. Tak też uczynił Druszkiewicz. Dzięki pomocy krewnych przez Zamość, Kijów, potem spływając Dnieprem, dotarł aż do słynnej twierdzy Kudak. Zaciągnął się tam do lekkiej jazdy i po dwóch latach znowu wdał się w awanturę z żołnierzem o nazwisku Truszewski. Tym razem trafił na godnego siebie przeciwnika i starcie zakończyło się krwawym remisem. W wojsku jednak pojedynkować się nie wolno. Nieraz złamanie tego zakazu karano na gardle. Skończyło się na grzywnie oraz – jak pisał Druszkiewicz – „pokucie" i konieczności zmiany jednostki w 1643 r. Niewiele go to nauczyło, bo już w 1651 r., służąc jako husarz, wdał się w zwadę z porucznikiem chorągwi, co skończyło się kolejną przymusową zmianą jednostki.

Nie był to koniec krwawych awantur w życiu Druszkiewicza. Kolejna zdarzyła się na chrzcinach jego córki Angeli w listopadzie 1663 r. Zjechało się na nie wielu lokalnych dostojników z ziemi lwowskiej i towarzyszy z jego chorągwi husarskiej. Bójka – po tęgiej popijawie – zaczęła się, jak to często bywało, od czeladzi raczącej się podłym winem w sieni. Po stronie swoich sług rychło stanęli pijani panowie, a że było ciemno, to i krewny krewnego siekł szablą. Kuzyn Stanisława był raniony w rękę, twarz i kolano, inny kuzyn skończył z raną postrzałową uda, na szczęście na wylot. Rannych zostało też kilkunastu pachołków. Bójkę zakończył sam gospodarz, strzelając przez okno z pistoletu, ale że był pijany, to najprawdopodobniej załadował broń dwoma ładunkami i tak doszło do eksplozji, w wyniku której strzelec został raniony w czoło. Dorobił się więc podobnej blizny, jaką miał sienkiewiczowski Zagłoba. To była ostatnia większa krwawa awantura w życiu Druszkiewicza. Przynajmniej ostatnia, w której rozdawał razy osobiście.



Rzeź polskich jeńców po bitwie pod Batohem, dokonana na rozkaz Bogdana Chmielnickiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WILANOW-PALAC.PL

Krwawe merita

Więcej ran odniósł w boju. Gdy Druszkiewicz pisał o swoich „krwawych

eprasa.pl 318279d0bb

meritach" dla Rzeczypospolitej, to nie było w tym cienia przechwałek. W czasie powstania chmielnickiego służył w chorągwi pancernej. W 1648 r., podczas klęski pod Żółtymi Wodami, w czasie pamiętnego odwrotu wojsk koronnych tatarska strzała raniła go w łopatkę, ktoś siekł go w łokieć, a na dodatek kula z samopału przeorała mu szyję. Rannego pochwycono w jasyr. Ordyńcy trzymali go najpierw w cuchnącym nędzą hutorze na budziackich stepach, skąd trafił do Kaffy, gdzie warunki były o niebo lepsze, a miejscowy Turek pozwolił nawet jeńcowi dorabiać przy produkcji rządów końskich.

Aby zmniejszyć cenę okupu, Druszkiewicz udawał melancholika, co podobno miało być skutkiem otrzymanych ran. Na Krymie zjawił się prawdziwy dobrodziej, Bośniak i chrześcijanin Milicz, który wykupił Druszkiewicza wraz z kilkoma towarzyszami, niejako na kredyt, i przez Jassy poprowadził do polskiego Kamieńca Podolskiego. Wolność kosztowała 100 talarów, czyli roczny dochód z kilku wsi. Druszkiewicz natychmiast wrócił do wojska, do husarii, ale nie załapał się na wiktorię berestecką. Za to pod Batohem dostał się ponownie do niewoli. I znowu został ranny, tym razem obuchem w głowę. Dzięki misiurce zamiast niechybnej śmierci „pół roku krew ciekła uszyma, a rok cały jak dzwonek dzwoniło mi w głowie", co wskazuje, że był to wstrząs mózgu.

Druszkiewicz i tak miał wielkie szczęście, że nie znalazł się w grupie więźniów wymordowanych w obozie przez Tatarów i Kozaków. Od egzekucji ocaliła go też znajomość paru ważnych zwrotów po tatarsku, których nauczył się w poprzedniej niewoli. Zrządzeniem losu w jasyr trafił do tych samych Tatarów co przed czterema laty. Dwa razy nocą od nich uciekał i dwa razy o świcie chwytali go, bijąc srogo za karę. Armia kozacko-tatarska pociągnęła potem pod Kamieniec Podolski. Druszkiewicz skorzystał wtedy z okazji i przemycił za mury list do znajomego księdza, prosząc go o wykup. Gdy już miało dojść do transakcji i Tatarzy podjechali pod mury, ktoś niepoinformowany z polskiej załogi twierdzy dał ognia z dział, kładąc trupem eskortę Druszkiewicza i konia, na którym siedział. Tatarzy się wściekli i mało nie usiekli jeńca, oskarżając go o podstęp,



Towarzysz pancerny. Obraz Józefa Brandta
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZBIORY PRYWATNE

ale ten, już żegnając się z życiem, łamaną tatarszczyzną wytłumaczył w ostatniej chwili pomyłkę. Był wolny, ale biedniejszy o kolejne 100 talarów.

Przez następne kilkadziesiąt lat, gdy Rzeczpospolita przechodziła z jednej apokaliptycznej wojny w drugą, służył ojczyźnie w chorągwiach husarskich, pancernych i tatarskich, często, już jako dowódca, wystawiając chorągwie na własny koszt. Nie wahał się czasem złamać rozkazów hetmańskich. Zaraz na początku potopu, gdy wojsko koronne gotowe było klękać przed Karolem Gustawem, wysłano go do Chana na Krym, aby przeciągnąć go na szwedzką stronę. Druszkiewicz Szwedom służyć nie zamierzał, zmontował zatem intrygę wspólnie z generałem artylerii Grodzickim, który miał rzekomo odebrać mu poselstwo. Być może obaj przeczuwali, że wojsko szykować będzie konfederację w Tyszowcach i przy Karolu Gustawie stać się nie opłaca. Do Bakczysaraju Druszkiewicz ostatecznie pojechał, ale już z rozkazu Jana Kazimierza. To on przywiódł do Korony 2 tys. Tatarów pod wodzą Subchana Ghaziego Agi, których w „Potopie" przejmuje pod swoją komendę Kmicic.

Po wojnie ze Szwecją uczestniczył w kampanii przeciw Moskwie, odnowionym sojuszu tatarsko-kozackiemu i w wojnach z Turcją pod Sobieskim. Podczas bitwy pod Piławcami, tej mniej znanej, z roku 1671, zwycięskiej dla nas, dowodził strażą przednią, a tatarskie strzały raniły go w rękę i udo. „Mnie mało samego żywcem nie wzięli, aż wręcz w pocisk pistoletami ledwiem się obronił" – wspominał. Był pod Chocimiem i Żurawnem, gdzie z racji swoich umiejętności szermierczych służył jako harcownik. Nosił się czasem po tatarsku, toteż Turcy brali go za swojego, ale nasi za wroga, co raz niemal skończyło się tragicznie, gdy wypalono do niego z muszkietów. Druszkiewicz na tym etapie życia nie liczył już ran.

Związek z Lubomirskim

„Podwieszenie" się pod Radziwiłła nie przyniosło mu wielkich dochodów. A przecież Druszkiewicz uczynił dla niego sporo. W schyłkowych latach potopu sytuacja magnata zdrajcy nie była najlepsza, bo nieopłacane wojsko litewskie zajęło jego dobra i żyło na ich koszt. Druszkiewicz, jako oficer mający posłuch wśród żołnierzy, zaczął upraszać dowództwo o rozmowę z Litwinami na temat ustąpienia z radziwiłłowskich dóbr. Listy takie koroniarze istotnie wysłali i kilka lat później na mocy ugody z królem magnat odzyskał część majątku. Druszkiewicz załatwił też dla Radziwiłła rekompensatę za starostwo barskie od samego atamana Kozaków Iwana Wychowskiego. Przyczynił się również do uwolnienia z tatarskiej niewoli innego magnackiego klienta – Piotra Gnoińskiego. Za zasługi prosił choćby o ziemie pod pastwiska i wynagrodzenie pieniężne. Radziwiłł jednak w 1669 r. zmarł i Druszkiewicz został z kilkoma upominkami, bez nadań.

Już pod koniec życia Bogusława związał swoją fortunę z Jerzym Lubomirskim,



Bitwa pod Beresteczkiem. Płaskorzeźba z nagrobka serca Jana II Kazimierza w Kościele Saint-Germain-des-Prés w Paryżu FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 318279d0bb

dumnym rokoszaninem i wrogiem Jana Kazimierza. Czynił to jednak roztropnie. Popierał hetmana politycznie, ale wystrzegał się przystąpienia do zbrojnego buntu. W 1664 r. Druszkiewicz był jednym z delegatów Lubomirskiego na sejm. Miał tam agitować za tym, aby hetman nie został ukarany za zdradę. Nie udało się, Lubomirskiego in absentia skazano na śmierć. Druszkiewicz wprost poinformował wtedy nowego pryncypała, że sejm trzeba będzie zerwać, aby powstrzymać króla i jego obóz od dalszych działań, czyli osadzenia swojego potomka na tronie poprzez tzw. elekcję vivente rege. To nie Druszkiewicz zerwał jednak sejm, ale Telefus z Zabokrzyckim. Było to sprytne zagranie – Druszkiewicz unikał oskarżeń ze strony króla o warcholstwo. Co ciekawe, po kilku miesiącach sejmik województwa ruskiego wyznaczył Druszkiewicza na… delegata mającego przekazać królowi wyrazy poparcia szlachty przeciw Lubomirskiemu. Siedzenie na dwóch stołkach opłaciło się, bo uzyskał od buntownika jedną trzecią miasta Sudyłków, natomiast od króla liczne nadania w województwie ruskim i ziemi lwowskiej. Król nadał mu również prestiżową raczej godność stolnika parnawskiego, choć w inflanckiej Parnawie nigdy nie był.

Były jednak godności, których Druszkiewicz unikał jak ognia, gdzie mniej „robiono" szablą, a więcej pergaminem. Taką niedźwiedzią przysługą była funkcja sędziego wojskowego, którą obdarował go w 1668 r. hetman Sobieski. Druszkiewicz zrezygnował po kilku tygodniach. Po emigracji i śmierci Lubomirskiego przeskoczył pod skrzydła Zamoyskich, konkretnie Marcina, podskarbiego koronnego. Był to dobry wybór – za pomoc w nabywaniu dóbr dla magnata i jemu skapnęło kilka wsi.

W swoich dobrach rządził w sposób typowy dla innych panów braci. Bezwzględnie egzekwował pańszczyznę, nawet jeśli po wojnach w jego wsiach zostawało po kilku gospodarzy. Nawoływał do karania ukraińskich chłopów, którzy usłyszawszy o kolonizacji lasów nad Dnieprem i zachęceni plotkami rozsiewanymi przez Kozaków zaczęli coś przebąkiwać o likwidacji poddaństwa. Był jednak dobrym gospodarzem, odbudowywał stawy i młyny, a wsie i dwory



Pomnik bitwy i pokoju pod Żurawnem, w tej miejscowości

FOT. TOMASZ STAŃCZYK

szybko podnosiły się ze zniszczeń wojennych i przynosiły zyski. Prawosławnym chłopom w swoich tuczapskich dobrach odbudował z kolei cerkiew, przydzielając batiuszkom kawałek ziemi.

Jak wielu szlachciców, choć osobiście bardzo religijny, nie wahał się przeć do zwady z księżmi, gdy przychodziło do rozstrzygania spraw ziemskich. Wściekle upierał się przy prawie do udziału w wyborze proboszcza w parafii w Łańcuchowie. Gdy już je uzyskał, rozpętał kolejny spór. Oto w sąsiedztwie folwarku, ale już na terenie kościelnym, pleban miał karczmę. Druszkiewicz twierdził, że zyski z niej powinny trafiać do dworu, proboszcz był oczywiście innego zdania. Obaj zaczęli przeciągać na swoją stronę chłopów, gotując się do awantury. Ta oczywiście wybuchła, skutkiem czego chłopi kościelni będący w mniejszości zostali pobici przez szlacheckich, a karczmę zdewastowano. Spór trwał dalej po śmierci Druszkiewicza. Krewka wdowa uzyskała co prawda korzystny dla siebie wyrok w sprawie zysków z karczmy, ale mając dość apelacji proboszcza do lubelskich sądów, nasłała na niego czeladź zbrojną w kije. Proboszcz został poturbowany, a dostało się też goszczącemu u niego wikariuszowi lubelskiemu. Sutanna w tamtych czasach nie chroniła zatem przed pobiciem.

Druszkiewicz potrafił jednak machać również gałązką oliwną. Jeszcze przed wybuchem sporu o karczmę dawał rocznie 350 zł lubelskim dominikanom, załatwił też korzystne rozstrzygnięcia majątkowe dla tamtejszych franciszkanów. Druszkiewicz kochał blichtr i okazałe stroje. W 1669 r. w nagrodę za to, że na elekcji jako jedyny z województwa ruskiego głosował za Michałem Korybutem Wiśniowieckim, poprowadził jego orszak honorowy podczas koronacji w Krakowie. Pisał potem z dumą: „Siedziałem na rosłym i wyskocznym koniu tureckim, w kiereji aksamitnej, białej, sobolami podszytej [...], na czapce kosmatej karmazynowej jedwabnej piór było trzydzieści na wysokich cienkich drutach, co było bardzo okazałe".

Mołdawski epilog

W 1683 r. Druszkiewicz nie poszedł z Sobieskim na Wiedeń, ale zajmował się zabezpieczeniem granicy z Chanatem i Mołdawią. Miał przeciągać Kozaków na stronę Rzeczypospolitej i organizować ich w pułki. Był to właściwy człowiek na właściwym miejscu, bo mołojcy cenili pooranych bliznami twardzieli zrodzonych do szabli, mających dodatkowo znajomości wśród Tatarów. Niewdzięczna była to jednak robota, Kozacy bowiem byli skłóceni, podzielni między promoskiewskich i propolskich, a na dodatek samowolnie opuszczali miejsce stacjonowania, gdy tylko wśród polskich dowódców zwietrzyli hojniejszego i rychlejszego ich zdaniem płatnika.

Ostatecznie jednak Druszkiewiczowi udało się zorganizować kilka pułków, które będą bić się po stronie Rzeczypospolitej. Gromił więc ordę pod Barem w 1684 r. i Niemirowem pięć lat później, chadzał na mołdawską Bukowinę, a w trackie trzeciej wyprawy na Mołdawię miał zabezpieczać marsz Sobieskiego ku Jassom. Przydzielono mu za małe siły, część Kozaków go opuściła, nie podołał więc zadaniu i wyprawa musiała zawrócić spod Jass, bojąc się okrążenia.

W 1693 r., będąc już w podeszłym wieku, mając dość docinków ze strony hetmana Jabłonowskiego i nie zgadzając się na zbyt łagodne traktowanie Kozaków przez króla, złożył dymisję. Pokoju w Karłowicach nie doczekał – zmarł w 1697 r.

Żywot miał zaiste sarmacki, podobnie zresztą jak jego rodzina i dalsi krewni. Dwaj kolejni mężowie jego siostry polegli w boju: pierwszy z Tatarami pod Nieświeżem, a następny w bitwie pod Warszawą ze Szwedami w 1656 r. Pod Zborowem w 1649 r. zginął natomiast ojciec żony Druszkiewicza. Puenta „Tradycji" jest zatem jak najbardziej trafna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb



FOT. ADOBE STOCK

Średniowiecze / Przestępczość w państwach krzyżowych

Ziemia Święta bandytów i morderców



Łukasz Czarnecki

Ojczyźnie Chrystusa z czasów krzyżowców bliżej było do znanych nam dziś państw upadłych niż do błogosławionej, spokojnej krainy, której oczekiwali przybywający z Europy pielgrzymi

Średniowieczne powiedzenie prawnicze głosiło, że co prawda większość mężczyzn nie jest przestępcami, jednak większość przestępców stanowią mężczyźni. Warto przytoczyć je na samym początku naszej opowieści, gdyż pozwala ono lepiej zrozumieć niespokojną rzeczywistość Królestwa Jerozolimskiego i jego przyległości.

Brytyjski mediewista Steve Tibble w monografii poświęconej światowi przestępczemu państw krzyżowych bardzo rozsądnie porównał realia tego nieustannie szarpanego wojnami pogranicza chrześcijaństwa i islamu do warunków panujących w XXI stuleciu w upadłych krajach Trzeciego Świata. Podobnie jak w niektórych regionach współczesnej Ameryki Łacińskiej, Afryki czy Syrii lub Iraku groźba przemocy, utraty mienia, niewoli, a w przypadku kobiet gwałtu nieustannie wisiała nad głowami mieszkańców średniowiecznej Ziemi Świętej.

Właściwie każdy napotkany nieznajomy był potencjalnym agresorem i rabusiem. Uważano to za tak bezdyskusyjną kwestię, że w zachowanych wspomnieniach z epoki, spisanych zarówno przez chrześcijan, jak i muzułmanów, jako niezwykłe wydarzenia opisywano nie dokonywane na gościńcach rabunki i mordy, lecz przypadki, gdy komuś udało się bezpiecznie odbyć podróż, choćby na niewielką odległość!

Krwawe „hobby”

Jednym z czynników sprawiających, że w państwach krzyżowych wskaźniki przestępczości utrzymywały się na ekstremalnie wysokim poziomie, był nieustanny napływ z Europy młodych, obeznanych z bronią mężczyzn. Choć dziś wyobrażamy sobie, że ochotnicy przybywali do Ziemi Świętej gnani pobożnością i pragnieniem bronienia Grobu Pańskiego, prawda wyglądała o wiele mniej wzniośle. Wielu napływających zza morza krzyżowców rzeczywiście kierowało się religijnymi pobudkami, ale równie wielu do Lewantu przygnała żądza bogactw, a niekiedy bywało i tak, że podstawowy imperatyw ich działania stanowiła chęć wyładowania agresji i bezkarnego zabijania „dla sportu”.

Gdy król Anglii Henryk III odmówił prawa do udziału w turnieju grupie wyjątkowo brutalnych rycerzy, ci jak jeden mąż pożeglowali na Wschód. Podobnie gdy na krucjatę wyruszył syn i następca monarchy, Edward I, w wyprawie towarzyszyła mu grupa szlachciców, którzy stając w turniejowych szrankach, dali się w poprzednich latach poznać jako wyjątkowo żądne krwi bestie. Motywacja taka niezbyt pasuje do popkulturowego obrazu rycerzy jako mężczyzn dworskich i szlachetnych, walczących o honor i broniących słabszych. Warto jednak pamiętać, że obok autorów romansów arturiańskich w tym samym czasie two-

eprasa.pl 318279d0bb



Bertran de Born jako rycerz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BNF GALLICA

rzył Bertran de Born, wprost mówiący o rozkoszy czerpanej przezeń z palenia wiosek i winnic, wyrzynania chłopów, niszczenia plonów i tratowania ludzi. A podkreślić trzeba, że ofiarami „hobby" Bertrana byli nie obcy kulturowo mieszkańcy wrogich królestw, lecz… sąsiedzi.

Całe zastępy tego typu osobników ruszały na świętą wojnę, oddawać się bez skrępowania ulubionym rozrywkom: mordowaniu wedle upodobania zarówno muzułmanów, jak i miejscowych chrześcijan (nowi przybysze z Europy widząc śniadego mężczyznę z brodą, nie bawili się w ustalanie tożsamości i często od razu łapali za miecz). Doprowadzało to do szewskiej furii rodowitych mieszkańców Królestwa Jerozolimskiego, bo napaść nieokrzesanego nuworysza groziła nawet przedstawicielom rodów arystokratycznych wywodzących się od uczestników I krucjaty – wskutek małżeństw z miejscowymi kobietami po kilku dekadach bardziej przypominali oni z wyglądu Arabów niż Europejczyków, od tych pierwszych odróżniając się tylko ubiorem i mową.

Jakby tego było mało, wielu spośród przybywających do Lewantu Europejczyków krzyż przyjmowało nie z własnej woli, lecz z wyroku sądowego. Po powstaniu państw łacińskich w Ziemi Świętej bardzo popularną praktyką europejskiego wymiaru sprawiedliwości stało się bowiem karne wysyłanie przestępców na krucjaty. Niejeden morderca mając wybór między stryczkiem a wyruszeniem na Wschód, by zabijać Saracenów, wybierał to drugie. W efekcie Palestyna stała się wkrótce dla zachodnich królestw czymś w rodzaju kolonii karnej, gdzie ekspediowano niepożądany element. W Królestwie Jerozolimskim i przyległościach rzecz jasna doskonale rozumiano, jacy ludzie wysiadali w portach Jaffy i Akki, ale ponieważ w realiach nieustannych potyczek z muzułmanami każda para rąk zdolnych do noszenia broni była na wagę złota, przymykano oczy na grzeszki przybyszów. Ci zaś korzystając z faktu, że we frankijskich państwach władza centralna i aparat sprawiedliwości były o wiele słabsze niż w ich ojczystych stronach, szybko wracali do dawnych obyczajów, niekiedy tworząc prawdziwe gangi terroryzujące ludność rodzimą i zasiedziałych europejskich osadników.

W obronie owczarni

O skali bezprawia panującego w Ziemi Świętej świadczą specyficzne dla tego rejonu zjawiska, które obserwować możemy zarówno w dokumentach prawniczych Królestwa Jerozolimskiego, jak i na stanowiskach archeologicznych. Szczególnie rzuca się w oczy powszechny dostęp do broni. O ile w feudalnej Europie władze w ramach polityki ograniczania przemocy podejmowały (z różnym skutkiem) próby rozbrojenia klas ludowych, o tyle we frankijskich władztwach Lewantu podobny projekt nigdy nawet nie był rozpatrywany!

Zagrożenie ze strony muzułmańskich najazdów sprawiało, że każdy mężczyzna musiał w razie potrzeby natychmiastowo przedzierzgnąć się w żołnierza, dlatego nawet w niewielkich wioskach (szacuje się, że w Królestwie Jerozolimskim istniało ok. 260 osad zamieszkanych przez frankijskich osadników lub ich potomków) znaleźć można było niekiedy całe arsenały, które dziś odkopują archeolodzy. W sytuacji kryzysowej, jak wiemy z ówczesnych relacji, wszyscy męscy mieszkańcy wsi chwytali za broń i ruszali w pole w charakterze lekkozbrojnej milicji.

Nieformalnymi przywódcami rozrzuconych po Ziemi Świętej frankijskich gmin wiejskich, zwłaszcza tych leżących w bardziej odizolowanych rejonach, często bywali miejscowi księża. Tyle że posługi swojej nie ograniczali oni wyłącznie do spraw duchowych, w razie niebezpieczeństwa organizując obronę osady, przy czym niejednokrotnie sami chwytali za miecz. I w tym punkcie właśnie uwidacznia się jedna z największych różnic pomiędzy państwami krzyżowymi a feudalną Europą. W Starym Świecie prawo kanoniczne surowo zakazywało



Muzułmanie z Lewantu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 318279d0bb



Krzyżowcy, XI–XIII w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

kapłanom przelewania krwi (statuty kościelne używały dokładnie tego określenia). Z egzekwowaniem tego przepisu bywało jednak bardzo różnie. Każdy czytelnik „Aleksjady" pamięta zapewne, co Anna Komnena pisała o łacińskich księżach jedną ręką wywijających orężem, a drugą udzielających Komunii.

Zdarzały się też bardzo „kreatywne" pomysły obchodzenia zakazu walki zbrojnej przez duchowieństwo – pewien angielski biskup, który ewidentnie źle wybrał powołanie, był tak zapalonym miłośnikiem walk, że sam w czasie wojen ruszał w pole na czele zbrojnej drużyny, jako broni używając… ogromnego pastorału, którym roztrzaskiwał wrogom głowy. Przy czym twierdził, że walcząc w ten sposób, absolutnie nie przelewał krwi – co najwyżej gruchotał kości.

Tymczasem w Królestwie Jerozolimskim władze – zarówno świeckie, jak i kościelne – bardzo szybko doszły do wniosku, że wykluczanie dużej grupy zdrowych i silnych mężczyzn z udziału w obronie znajdującego się w stanie ciągłego zagrożenia państwa to prosty przepis na katastrofę. Dlatego synod w Nablusie (1120) uchwalił ustawę, która zezwalała kapłanom nosić broń, pod warunkiem jednak, że sięgać będą po nią jedynie w celu obrony własnej lub swojej owczarni. Tym samym gdy na frankijską wioskę napadał turecki podjazd, plemię Beduinów lub banda rzezimieszków dowolnego wyznania (w Ziemi Świętej rozbójnicy łupili i mordowali po równo współwyznawców i innowierców), wcale nierzadkim widokiem był proboszcz z mieczem w dłoni wiodący parafian do bitwy.

Mój dom moją twierdzą

Również odkrycia archeologiczne pokazują nam, jak niebezpiecznym miejscem był Lewant czasów wypraw krzyżowych. O wiecznie wiszącej nad głowami poddanych króla Jerozolimy grozie informują nas ruiny budynków zamieszkiwanych przez ludność wiejską. Już sam materiał, z jakiego wznoszono domy na Wschodzie, różnił się diametralnie od budulca używanego w Europie. Chłopi i miejska biedota na Starym Kontynencie do wznoszenia ścian „po taniości" używali obłożonej ziemią plecionki. Taka chata była zarówno łatwa, jak i szybka w budowie, ale równocześnie była fatalnej jakości. I dlatego nierzadko złodzieje zamiast wyważać drzwi, przebijali się przez... ściany. Partackie wykonanie bywało jednak przydatne podczas miejskich pożarów, gdy za pomocą kijów z hakami można było w kilka chwil wyburzyć całe ulice, tworząc strefę przeciwpożarową.

Tymczasem osiedli w Lewancie Frankowie całkowicie odeszli od praktyk swoich przodków. Najpowszechniejszym materiałem budowlanym w państwach krzyżowych stał się kamień. Jego popularność wynikała z kilka powodów. Na Bliskim Wschodzie drewno stanowiło materiał deficytowy. Nie bez wpływu pozostawał też fakt, że grube kamienne ściany utrzymywały nocny chłód podczas spiekoty dnia. Przede wszystkim jednak to właśnie wykorzystanie kamienia jako budulca pozwalało lewantyńskim Frankom wznosić domy, które przypominały miniaturowe twierdze.

Nieustanne zagrożenie ze strony grasujących w rejonie band – zarówno muzułmańskich, jak i chrześcijańskich – oraz ciągłe widmo wojen z Saracenami wymuszały tworzenie konstrukcji, z których wnętrza mieszkańcy mogliby się bronić przed napastnikami. W przeciwieństwie do europejskiej plecionki kamień był tak wytrzymały, że zbudowanych z jego wykorzystaniem ścian nie dało się przebić. Słabymi punktami pozostawały drzwi i okna, ale te pierwsze wieczorem blokowano za pomocą mechanicznych zamków, po czym dla pewności barykadowano belkami, a otwory okienne zamykano żelaznymi okiennicami.

Nawet jeśli wrogowi udałoby się sforsować drzwi, mieszkańcy nadal mieli szansę ocaleć. Przeciętny wiejski dom miał konstrukcje piętrową, przy czym na wyższej kondygnacji usytuowane były zazwyczaj sypialnie rodziny. Aby utrudnić potencjalnym napastnikom wymordowanie śpiących i zapewnić im ostatnią linię obrony, rezygnowano ze schodów. Do pomieszczeń sypialnych wchodziło się po drabinie, przez otwór w podłodze piętra, po czym wciągano ją dla bezpieczeństwa na górę.

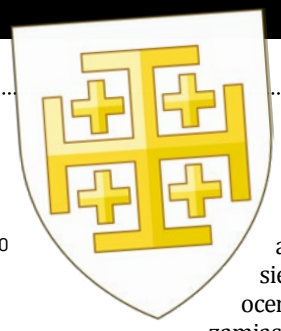
Jak widać, mieszkańcy wiejskich osad frankijskich władztw nie mieli środków na budowanie fortec, ale każda rodzina, która tylko mogła sobie na to pozwolić, wznosiła miniaturowy Krak des



Krzyże wydrapane przez krzyżowców i pielgrzymów w murach Bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VICTORGRIGAS

eprasa.pl 318279d0bb



Herb Królestwa Jerozolimskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KATEPANOMEGAS

Chevaliers. Co dobitnie uświadamia nam, jak pełnym grozy miejscem była Ziemia Święta.

Piekło pątników

Państwa krzyżowe przypominały Dziki Zachód z klasycznych westernów albo wręcz pogrążone w chaosie pustkowia z serii filmów o Mad Maxie. Zagrożenie utraty życia i mienia stanowiło codzienność, a gwałty (w tym zbiorowe) uważano wręcz za element codzienności. Jeśli wzięta do niewoli przez muzułmański podjazd kobieta wracała do swoich, to z góry zakładano, że porywacze ją wykorzystali. I to wielokrotnie.

Dla niejednej młodej pątniczki przybyłej do Ziemi Świętej z Europy, by pobożnie westchnąć przy Grobie Zbawiciela, pielgrzymka kończyła się zamianą w seksualną zabawkę arabskiego lub tureckiego watażki. Taka smutna przygoda spotkała w latach 20. XII stulecia bezimienną dziewczynę, której tragiczne losy (bez grama współczucia) opisał awanturnik Usama ibn Munkiz. Któregoś dnia niedaleko Szajzaru, rodzinnego miasta Usamy, przechodziła licząca ok. 800 ludzi grupa pielgrzymów zdążających do Apamei. Ledwie jeden z mieszkańców grodu dostrzegł wędrowców, podniósł alarm, po czym miasto opustoszało, bo prawie cała muzułmańska ludność (cywilna!) wypadła poza mury i wyrżnęła pielgrzymów (w masakrze uczestniczyły też miejscowe kobiety), rabując, co się da, i gwałcąc zbiorowo co ładniejsze pątniczki.

Jedna z ofiar przemocy seksualnej zachwyciła swą urodę ojca Usamy, który wziął ją dla siebie, po czym wysłał w podarku emirowi Dżabary. Możnowładcy młoda chrześcijanka przypadła do gustu i uczynił ją swoją ulubioną nałożnicą, a gdy powiła mu syna, wyznaczył go na swego spadkobiercę. Po osiągnięciu pełnoletności (i śmierci starego emira) syn branki przejął rządy w mieście, a jego matka, wykorzystując sytuację, uciekła z Dżabary i dotarła na ziemie frankijskie, gdzie z czasem wyszła za mąż za miejscowego szewca. Opisujący całą historię arabski pamiętnikarz nie mógł się nadziwić „głupocie" – jak to oceniał – frankijskiej kobiety, która zamiast żyć dalej wśród muzułmanów, wolała zbiec do chrześcijan. Tego, że wyznawcy Mahometa wymordowali na oczach dziewczyny całą jej rodzinę, a ją samą wielokrotnie zgwałcili i uczynili niewolnicą, Usama nie wziął już pod uwagę.

Wędrujące przez Ziemię Świętą pielgrzymki stanowiły ulubiony cel bandytów wszelkiej maści i wyznania. Liczba dogodnych szlaków prowadzących do Jerozolimy była ograniczona, więc rozbójnicy doskonale wiedzieli, gdzie powinni się zaczaić. Musimy też pamiętać, że bandytom ataki na kolumny pielgrzymów ułatwiały dezorientacja tych ostatnich i przeżywany przez ofiary wstrząs psychiczny. Wynikał on z konfrontacji popularnej na Zachodzie fantastycznej wizji ojczyzny Chrystusa jako ziemskiego raju z realiami, które pielgrzymi zastawali po zejściu na brzeg. Ziemia Święta przy bliższym poznaniu okazywała się piekłem, a turystyka religijna „sportem ekstremalnym".

W latach 1101–1103 pielgrzymkę do Grobu Pańskiego odbył niejaki Seawulf z Anglii, który zostawił opis swoich doświadczeń. W teorii świadectwo miało zachęcić rodaków do podróżowania do Ziemi Świętej w poszukiwaniu nagród duchowych. Relacja Seawulfa na temat wędrówki z portowej Jafy do Jerozolimy wręcz poraża makabrą. Pielgrzymi nieustannie szarpani byli podjazdami Turków, Beduinów i innej maści bandytów, a po obu stronach drogi, którą przemierzali, zalegały szkielety i rozkładające się truchła członków wcześniejszych grup pielgrzymkowych. Liczba niepochowanych trupów szybko zresztą wzrastała, bo tych towarzyszy Anglika, których nie powaliła rozbójnicza strzała, często zabijały wyczerpanie i brak wody. Ciała tych nieszczęśników pozostawiano na pastwę losu, ponieważ każdy, kto odłączał się od kolumny, by spełnić chrześcijański obowiązek wobec zmarłych i ich pochować, natychmiast był mordowany przez rozbójników. Podobną makabrę przeżył trzy lata później opat Daniel z Rusi, który i tak miał to szczęście, że na pielgrzymkę wyruszył, zabierając ze sobą oddział zbrojnych ochroniarzy.

Z racji powszechnego bezprawia wędrowanie przez Ziemię Świętą, nawet w okresach pokoju i na terenach objętych kontrolą Królestwa Jerozolimskiego i innych frankijskich władztw, było tak niebezpieczne, że owa groza odbiła się w nazwach geograficznych regionu. Pierwsze wzgórze położone na tyle blisko Jerozolimy, że po wejściu na nie dało się dostrzec Święte Miasto, w średniowieczu zaczęto zwać Górą Radości. Radości spowodowanej nie tyle bliskością Grobu Pańskiego, ile prozaicznym faktem, że udało się przebyć w jednym kawałku wiodący ku miastu piekielny szlak.

Ziemia bezprawia

Królestwo Jerozolimskie, przez cały okres swego istnienia balansujące na krawędzi bankructwa, zmagające się z niedoborami siły zbrojnej i zagrożone równocześnie na licznych frontach, nie dysponowało środkami wystarczającymi do tego, by zapewnić bezpieczeństwo swoim poddanym. W miarę pewni życia i majątku mogli być mieszkańcy dużych, ufortyfikowanych miast. Ci z mniejszych miejscowości musieli już radzić sobie sami. Co nie znaczy, że elity pozostawały poza zasięgiem szalejących po kraju bandytów.

Król Baldwin I znaczną część panowania poświęcił walce ze zbrojnymi watahami i nie dość, że poniósł na tym polu klęskę, to jeszcze został przez jednego ze zbójców straszliwie raniony, co męczyło go do końca życia. Z kolei hrabia Edessy Joscelin II Młodszy 5 maja 1150 r. został porwany dosłownie spod samego nosa swoich rycerzy. Gdy przykucnął w krzakach, by się wypróżnić, capnęła go za kark banda tureckich opryszków, rzuciła związanego na koń i powiozła do władcy Aleppo i Mosulu Nur ad-Dina. Fakt, że porywacze sprzedali pechowego hrabiego za śmiesznie małe pieniądze, mówi nam, że najpewniej nie wiedzieli, kto wpadł im w ręce. Po prostu widząc samotnego człowieka, bez chwili wahania zareagowali w naturalny dla siebie sposób i porwali go. Skoro taki los mógł spotkać hrabiego, strach pomyśleć, co groziło zwykłemu człowiekowi!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb



Kadr z filmu „Legiony" Dariusza Gajewskiego FOT. JACEK PIOTROWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

1916 r. / 110. rocznica największej bitwy Legionów Polskich

Męstwo oficerów I Brygady



Marek Gałęzowski

„Kolbami po łbach, po ramionach, strzałami, ogniem prosto w twarz. Aż odepchnęliśmy tłum... Trzy razy zrywał się nasz kontratak, trzy razy osadzaliśmy wraży tłum" – wspominał uczestnik boju pod Kostiuchnówką

Jesienią 1915 r. zmagania Legionów Polskich z zaborcą rosyjskim weszły w nową fazę na froncie wołyńskim, gdzie skoncentrowały się wszystkie trzy brygady legionowe. Po pierwszych bojach, m.in. pod Kuklami i Bielgowem, nastąpiła kilkumiesięczna wojna pozycyjna, po niej zaś trwająca od 4 do 6 lipca 1916 r. bitwa pod Kostiuchnówką, największa, którą ta formacja niepodległościowa stoczyła w czasie swojego istnienia.

Polscy żołnierze wykazali się w niej niezwykłym męstwem, które okupiono śmiercią wielu wybitnych oficerów. „Ciężkie straty poniósł nasz batalion. W II zginął tylko jeden oficer, Moch-Janicki, a u nas nie ma kpt. Sława, ppor. Warskiego, ppor. Bończy, ppor. Nehringa, ppor. Bussego, którzy już nigdy nie wrócą" – pisał Roman Starzyński o ofiarach dwóch batalionów 5. pp I Brygady. Kolejnych wymienił inny wybitny oficer legionowy, kpt. Tadeusz Furgalski „Wyrwa" z tegoż samego pułku, który sam zginął trzy dni później: „[...] szalenie ciężkie straty; moje 5. i 6. kompanie prawie zupełnie zniesione (brak Tunguza, Steczyńskiego, Koniecznego, Zaliwskiego, Charzewskiego, Chmura ranny ciężko)". A przecież wszyscy wspomniani byli oficerami jednego tylko pułku legionowego, spośród innych poległych pod Kostiuchnówką, którzy zbrojnie wybijali sobie drogę do niepodległej Polski.

Szlachetny góral

„Tam Hajec, porucznik, szpicrutą na wołanie: »Sdajsia« – siecze po twarzach chłopów. Kolbami po łbach, po ramionach, strzałami, ogniem prosto w twarz. Aż odepchnęliśmy tłum... Trzy razy zrywał się nasz kontratak, trzy razy osadzaliśmy wraży tłum, że jeno z krzykiem i strzelaniem szedł ku nam, nie śmiejąc dopaść... Zatupotał wreszcie dylami wyłożony most, przez bagno rzucony. Cofamy się do »Lasku Polskiego«, odwracając się co chwila i bijąc w tył" – wspominał uczestnik bitwy Wacław Lipiński.

Wymieniony w tej relacji oficer, urodzony w 1891 r. we wsi Książnice (powiat mielecki), student prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, rok przed wybuchem wojny zamieszkał w Nowym Targu. Tak bardzo zasłużył się w działalności lokalnego oddziału Polskich Drużyn Strzeleckich, że w Legionach są-

eprasa.pl 318279d0bb

dzono, iż wywodził się z Podhala. „Hajec niski, ale miły, ładny oficer, góral bardzo szlachetny i dzielny. Było go za co cenić i kochać" – wspominał kapelan legionowy o. Kosma Lenczowski.

Jan był wśród pierwszych strzelców, którzy wraz z Józefem Piłsudskim w ślad za kompanią kadrową w sierpniu 1914 r. wkroczyli do Królestwa, i już we wrześniu został ranny w potyczce pod Opatowcem. Miesiąc później znalazł się wśród pierwszych legionistów mianowanych na stopień oficerski. W bitwie pod Łowczówkiem „wykazał odwagę, wytrzymując pomimo znacznych strat [...] gwałtowne ataki nieprzyjaciela" – pisano we wniosku o odznaczenie go Virtuti Militari. Wiosną 1915 r. został dowódcą kompanii w I Brygadzie. Nie przesadzał chyba jeden ze współczesnych mu, że stała się ona „pierwszą w pułku Berbeckiego, wzorem dyscypliny, męstwa i porządku". Hajec wykazywał bowiem zawsze „wyjątkową odwagę, będąc stale na czele swej kompanii w najcięższych momentach. Kompanię prowadził świetnie, dzięki osobistemu przykładowi, żelaznej woli i szybkiej orientacji".

Dał temu wyraz w ciężkich bojach, stoczonych w Królestwie Polskim, a następnie na Wołyniu. Pod Stowyhorożem 1 października 1915 r. „[...] wykonywał brawurowy i błyskawiczny kontratak na nieprzyjaciela, który posunął się o 4 km poza linie i opanował baterię konną austriacką. Porucznik Hajec rzucił się na przeważającego nieprzyjaciela, odbił baterię i ścigał go, nie dając chwili wytchnienia na przestrzeni 5 km, i odrzucił poza linie wyjściowe. Przykładem swym pociągnął do kontrataku ogólnego oddziały sąsiednie na lewym skrzydle. Akcję prowadził na terenie bardzo trudnym – lesisto-bagnistym [...], przysparzając tem sławę imieniowi [powinno być: imieniu] żołnierza polskiego, przyczyniając się czynem swoim wespół z I baonem 5. pp Leg[ionów] do uratowania sytuacji całej dywizji kawalerii austriackiej" (z wniosku o odznaczenie Virtuti Militari).

Kiedy w pierwszym dniu bitwy poległ kpt. Stanisław Zwierzyński, dowódca pierwszego batalionu 5. pp Brygady Piłsudskiego, to właśnie Hajec objął jego dowództwo. „W ciężkich bojach pod Kostiuchnówką z najwyższą pogardą śmierci kontratakami swojej kompanii odbijał szalejące ataki nieprzyjaciela, który za wszelką cenę chciał nam odebrać pozycję [...]. Dawał przykłady żołnierzom, rzucając [...] z zimną krwią i skutecznie granaty na nieprzyjaciela, który starał się przekroczyć przez zasieki z drutu kolczastego. Gdy jeden z granatów ręcznych nieprzyjacielskich wpadł do okopu, por. Hajec odrzucił go błyskawicznie, przez co uratował życie kilku ludzi". Następnie przebił się ze swoją kompanią w walce na bagnety przez otaczające go szeregi żołnierzy rosyjskich, co opisał w przywołanej relacji Lipiński.



Jan Hajec FOT. NAC

Poległ 5 lipca 1916 r., a opis jego śmierci zawarto w cytowanym wniosku o przyznanie mu najwyższego polskiego odznaczenia wojskowego: „Do ostatniej chwili świecąc żołnierzom swoim bezprzykładnym bohaterstwem wśród niszczącego ognia huraganowego – padł na polu chwały rozerwany granatem".

Estońska krew

„Charakterem wyróżniał się w szeregu. Był skromny i spokojny, ale zdecydowany, i cechy te zachowywał w boju od pierwszych dni wojny [...]. W walkach pod Limanową i Łowczówkiem [...] w dużym stopniu przyczynił się do utrzymania ładu i spokoju w szeregu podczas najkrytyczniejszej dla pułku sytuacji. Pod Konarami, gdzie batalion jego z powodu zachowania się sąsiedniego pułku czeskiego znalazł się w trudnym położeniu, inicjatywą i determinacją wywiązał się z narzuconego dlań zadania osłony" – pisano we wniosku o odznaczenie Virtuti Militari Aleksego Nehringa „Dunina", chyba jedynego oficera legionowego, który miał w sobie krew estońską (jego



Spieszeni żołnierze 1. Pułku Ułanów w okopach pod Kostiuchnówką FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 318279d0bb

matka wywodziła się bowiem z tego nielicznego narodu ugrofińskiego).

Rówieśnik Hajeca, urodzony w Petersburgu, uczył się w szkole realnej w Białymstoku, egzamin maturalny zdał w Petersburgu, by studia chemiczne rozpocząć w Szkole Politechnicznej we Lwowie. Te peregrynacje nie miały znaczenia w jego rozwoju ideowym, gdyż od dziecka „wychowany na obczyźnie jest gorącym patriotą polskim", jak pisano we wniosku o odznaczenie go Krzyżem Niepodległości. Jako uczeń należał do patriotycznego koła samokształceniowego Polaków – uczniów rosyjskiego gimnazjum, we Lwowie zaś wstąpił do Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego, obejmując dowództwo kompanii robotniczej w tym mieście.

Podobnie jak inni bohaterowie tej opowieści był w Legionach od sierpnia 1914 r. i dwa miesiące później znalazł się w gronie pierwszych mianowanych oficerów. W czasie kampanii wołyńskiej dowodził plutonem w 5. pp I Brygady. Poległ pierwszego dnia bitwy. Jak pisał Adam Dobrodzicki, „pozostawił po sobie najszlachetniejszą pamięć", a inny z legionowych oficerów, Stanisław Żmigrodzki, wspominał „Dunina" jako „dobrego kolegę, choć stale prześladowanego dla różnych śmiesznych nawyknień, oficera ofiarnego, lubianego przez żołnierzy".

Z rzeszowskiego gimnazjum

Młodszy o pięć lat Józef Janicki wybrał sobie pseudonim o mniej szlachetnym brzmieniu niż Nehring czy inni oficerowie. Nie „Dunin", „Kordian", „Rozłucki" czy nawiązujący do Towiańskiego „Tewański", ale – „Moch". Pochodził z Lwowa, maturę zdał w II gimnazjum Stanisława Konarskiego w Rzeszowie, z którego niemało uczniów poszło do Legionów, młodsi zaś do WP w czasie zmagań o granice Polski. Janicki należał tam do organizacji wojskowej powołanej przez Leopolda Lisa-Kulę, a później do Związku Strzeleckiego.

Podobnie jak Hajec i Nehring był w Legionach od początku ich istnienia. W grudniu 1914 r. został ciężko ranny w bitwie pod Łowczówkiem. Wrócił



Aleksy Nehring

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE



Józef Janicki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Józef Tunguz-Zawiślak. Rysunek Wincentego Wodzinowskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

do pułku, w którym objął dowództwo plutonu. Ponownie został ranny 23 maja w natarciu na Przepiórów podczas bitwy pod Konarami. „[...] na wzgórzu obok Kamieńca, pluton [Janickiego] pilnie już ostrzeliwany przez ogień nieprzyjacielskiej piechoty i KM – nagle otrzymuje silny ogień flankowy z prawego skrzydła, który nie pozwala na dalsze posuwanie się naszej piechoty. Ppor. Moch kieruje ogień całego plutonu na nieprzyjacielskie karabiny maszynowe – w ten sposób milkną z nich dwa, z powodu wybicia obsługi, z czego korzysta ppor. Moch i przeprowadza atak w dalszym ciągu pomimo silnego ognia km [...]. W czasie wstrzymania ataku, gdy cała komp[ania] otrzymała rozkaz wkopania się, ppor. Janicki kieruje cały ogień swego plutonu na nieprzyjacielskie km, by je unieszkodliwić, sam zaś w pozycji klęczącej obserwuje i kieruje ogniem pomimo silnego ognia z bliskiej odległości i znowu jako skutek ognia milkną dwa km, jednak w momencie wychylenia się silniejszego celem zobaczenia, które z nieprzyjacielskich km są jeszcze czynne, zostaje ranny i zniesiony z placu boju" (z wniosku na Virtuti Militari).

Długo leczył się z ran, w czasie rekonwalescencji uzyskując awans na podporucznika. Poległ w nocy z 4 na 5 lipca 1916 r. pod Kostiuchnówką, w czasie ataku na Polską Górę.

Oficer z czarną rękawiczką

Spośród oficerów, wymienionych przez kpt. Furgalskiego w zapisie z dziennika przywołanego na początku tej historii, polegli wszyscy – poza jednym. Ocalał bowiem por. Józef Zawiślak, o pseudonimie Tunguz, nawiązującym do jednego z autochtonicznych ludów syberyjskich. Wieczorem 5 lipca 1916 r. „poderwał ludzi do szturmu. Z okrzykiem »hurra« wpadli żołnierze w okopy rosyjskie. Por. Tunguz dostaje silną kontuzję, ręczny granat zadaje mu ciężką ranę w prawe ramię" – pisał Roman Starzyński. Uznany za poległego Zawiślak w rzeczywistości dostał się do niewoli rosyjskiej. Rana okazała się tak ciężka, że konieczna była amputacja prawej ręki.

eprasa.pl 318279d0bb



Słup pamięci w miejscu, gdzie znajdowała się Reduta Piłsudskiego FOT. TOMASZ STAŃCZYK

Po rewolucji lutowej w Rosji został zwolniony z niewoli i przez kilka miesięcy przebywał w szpitalu w Pradze. Po powrocie do kraju, jako jeden z nielicznych oficerów 5. pp, złożył przysięgę na wierność sojuszowi z państwami centralnymi i objął stanowisko zastępcy dowódcy szkoły podoficerskiej w Ostrowi Mazowieckiej. Służył wraz z por. Stefanem Roweckim, z którym zachował koleżeńskie kontakty w następnych latach, a jedną z pamiątek tego jest fotografia, na której widzimy płk. „Tunguza" obok przyszłego twórcy armii podziemnej, z charakterystyczną czarną rękawiczką, która skrywa część protezy prawej ręki.

W WP był jednym z kilku oficerów, którzy mimo inwalidztwa pozostawali w czynnej służbie wojskowej przez cały okres międzywojenny. W czasie wojny bolszewickiej dowodził oddziałem białoruskim, sformowanym w Mińsku. Później wiele lat służył w 28. pp Strzelców Kaniowskich i jako dowódca 84. pp, osiągając stopień pułkownika, a w 1938 r. został komendantem Związku Strzeleckiego. We wrześniu 1939 r. dowodził oddziałem „Uściług", sformowanym we Włodzimierzu Wołyńskim, z powodzeniem walcząc z niemiecką 4. Dywizją Lekką. 16 września, po zajęciu Uściługa przez Niemców, osobiście poprowadził kontratak, który zakończył się odzyskaniem miasta. Po agresji sowieckiej okazał największe zdecydowanie wśród dowódców Grupy Operacyjnej „Włodzimierz", opowiadając się za podjęciem walki z Armią Czerwoną lub odejściem za Bug. Brak jednoznacznej decyzji spowodował, że większość oddziałów WP znajdujących się w tym rejonie została zmuszona do kapitulacji. Tunguz-Zawiślak uniknął niewoli i tym samym śmierci z rąk sowieckich. Przedostał się na teren okupowany przez Niemców i włączył w działalność konspiracyjną w kręgu przedwojennego Związku Strzeleckiego, który z czasem podporządkował Armii Krajowej.

Wkrótce stary żołnierz inwalida jeszcze raz dał świadectwo odwagi, którą kierował się w całym swoim życiu. Po wybuchu powstania warszawskiego objął dowództwo odcinka przy pl. Napoleona. 9 września 1944 r. dowódca Śródmieścia, ppłk Edward Pfeiffer, dawny kolega „Tunguza" z 5. pułku legionowego i jak on weteran spod Kostiuchnówki, powierzył mu dowództwo odcinka Nowy Świat, z rozkazem odrzucenia Niemców, zagrażających pozycjom powstańczym. Jak pisał Adam Borkiewicz: „Płk. Tunguz ujął od razu energiczne dowodzenie, udając się na odcinek mjr. Roga [Stanisława Błaszczaka], gdzie położenie zarysowało się groźnie". Następnie zorganizował linię obrony przy ul. Brackiej, którą szło główne natarcie Niemców. 10 września szczególnie zacięte walki toczyły się w rejonie Poczty Głównej przy pl. Napoleona, którą Zawiślak rozkazał utrzymać za wszelką cenę, podkreślając: „Odwrót tylko na noszach" (cyt. za A. Borkiewiczem). Przeciwuderzenia, nakazane przez starego legionistę w następnych dniach, doprowadziły do odzyskania niektórych strat przy Chmielnej i Nowym Świecie. Jedno z nich osobiście poprowadził z ul. Brackiej 18, otrzymując ranę od odłamka granatu. W chwili rozpoczęcia pertraktacji o zakończenie walk powstańczych wydał rozkaz, w którym „w związku z meldunkiem o prowadzeniu rozmów z Niemcami" nakazywał „czujność, wzmocnienie posterunków i nieprowadzenie rozmów dalszych. Wszelkie wystąpienia nieprzyjaciela likwidować [...]. O żadnych rozmowach nie wiem. Trzeba tkwić na posterunku, spełniając zadania dotychczas polecone".

Kres ostatniej bitwy bohatera spod Kostiuchnówki, 20 września mianowanego dowódcą 36. pp odtworzonej 28. DP płk. Pfeiffera, nadchodził jednak nieubłaganie. Jego rozkaz pożegnalny do żołnierzy, wydany w chwili kapitulacji powstania warszawskiego, dobrze oddaje męstwo, charakter i niezłomność dawnych legionistów Józefa Piłsudskiego, którzy jako młodzi ludzie bili się w największej bitwie Legionów Polskich z zaborcą rosyjskim, wyznaczając sobie cel, któremu wierni pozostali całe swoje życie: „Dziękuję wam za trudy, za wasze serce żołnierskie oddane mi w walkach [...], wszystkim oficerom, podoficerom i szeregowym pierwszych sześciu dni wspólnej walki. Żegnam was, żołnierze, z tą nadzieją, że wkrótce da Bóg spełniać będziemy obowiązki żołnierskie-obywatelskie, składając na ołtarzu Ojczyzny nasze życie. Niech żyje wolna, potężna Wielka Polska".

*

Józef Piłsudski prowadził swoich żołnierzy w prawdziwy bój o niepodległość, zgodnie ze słowami pieśni napisanej przez oficera legionowego Bolesława Pochmarskiego: „Marsz, marsz Piłsudski / prowadź na bój krwawy / Pod twoim przewodem / Wejdziem do Warszawy". Dlatego w 110. rocznicę największej bitwy Legionów Polskich trudno nie dostrzec, że jest – z punktu widzenia naukowego i społecznego, w rozumieniu tego, co zdaje się być narodowym obowiązkiem – zadziwiające, iż dzieje tej jedynej wówczas formacji niepodległościowej do dziś nie doczekały się książki na miarę monumentalnej pracy Jana Pachońskiego „Legiony Polskie. Prawda i legenda. 1794–1807".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 318279d0bb



Kolejka po zasiłek dla bezrobotnych w Krakowie FOT. NAC

Wywiad / Z dr. Kamilem Piskałą, autorem książki „Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu”

rozmawia Piotr Włoczyk

II RP przy pustym stole

– Mamy relacje mówiące o kobietach przemykających rano po wioskach z płonącymi szczapami drewna. Ludzie „pożyczali” ogień od sąsiadów, żeby oszczędzać zapałki – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Skąd się wzięła „maszynka służąca do rozdzielania zapałki na cztery części”?

DR KAMIL PISKAŁA: Ta maszynka była zapewne wynikiem fantazji Antoniego Słonimskiego, publicysty, który tak to opisał, natomiast samo dzielenie zapałek w przedwojennej, ogarniętej wielkim kryzysem Polsce to po prostu fakt. Przyczyną był monopol. W międzywojennej Polsce państwo przekazało koncesję na produkcję zapałek szwedzkiej firmie w zamian za pożyczkę. A jak wiemy, ceny towarów monopolowych są z natury rzeczy wysokie.

Problem dostępności zapałek pogłębił wielki kryzys, który w pierwszej połowie lat 30. uderzył w polską gospodarkę, szczególnie w wieś. Większość mieszkańców Polski żyła przecież z produkcji rolnej, więc gdy załamały się ceny żywności, ich dochody uległy znacznemu uszczupleniu. W latach kryzysu wieś drastycznie zubożała, co sprawiło, że wiele rodzin musiało szukać oszczędności wszędzie, gdzie się dało. Stąd właśnie to dzielenie zapałek, które w PRL traktowano jako symbol przedwojennej biedy. Ale nie jest to jedynie anegdota. Dość powiedzieć, że w 1936 r. wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski przyznał w Sejmie, że na wsi dzieli się zapałki.

Dość łatwo można sobie wyobrazić, że da się podzielić zapałkę na dwie części. Ale na cztery?

Nie mamy wiarygodnych przekazów opisujących technikę dzielenia zapałek. W tamtych czasach zapałki były dużo grubsze niż dzisiejsze, więc myślę, że nie tak trudno było podzielić jedną sztukę przynajmniej na dwie części.

Ale wieś radziła sobie z tym problemem w jeszcze inny sposób. Mamy relacje mówiące o kobietach przemykających rano po wioskach z płonącymi szczapami drewna. Ludzie „pożyczali” ogień od sąsiadów, żeby oszczędzać zapałki.

Jak zła była sytuacja ówczesnej Polski, jeżeli spojrzymy na najważniejsze wskaźniki?

Niedawno oszacowano PKB przedwojennej Polski. Z tych badań wynika, że w najgorszym momencie kryzysu spadek ten wyniósł ponad 20 proc. w porównaniu z ostatnim rokiem przed załamaniem.

Druga kwestia to tąpnięcie produkcji przemysłowej – sięgnęło ono ponad 40 proc. Czyli niemal o połowę skurczyła się w Polsce produkcja przemysłowa.

Wielkim problemem było oczywiście bezrobocie. Ówcześnie szacowano, że

eprasa.pl 318279d0bb

w przemyśle i usługach bezrobocie przekroczyło 30 proc. Jeszcze lepiej widać to w roboczogodzinach. Jeżeli porównamy rok 1929 do 1932 r., to analizując pracę w zakładach przemysłowych zatrudniających ponad 20 osób, bo tylko dla takich mamy statystyki, zobaczymy, że ubytek roboczogodzin przekracza 40 proc.

Wynika to oczywiście z faktu, że wielu pracowników mogło liczyć jedynie na cząstkę etatu.

Nazywano ich wtedy półbezrobotnymi. We włókiennictwie ten problem był najbardziej widoczny – niemal połowa robotników w tej branży była zatrudniona w niepełnym wymiarze.

To samo widzimy na Śląsku, gdzie górnikom i hutnikom ogłasza się tzw. świętówki. Choć brzmi to dobrze, to tak naprawdę był to przymusowy bezpłatny urlop. Statystycznie w czasach kryzysu górnik czy hutnik spędzał rocznie ponad 30 dni na „świętówce".

Czy istniał jakiś związek między skalą bezrobocia w miastach a tym, jak kryzys odczuwała wieś?

Tak, bo gospodarka to system naczyń połączonych. Spadek cen artykułów rolnych w wielu kategoriach sięgnął nawet 50 proc. albo i więcej. Podobną tendencję można zaobserwować też w innych państwach. Przemysł wyhamował, więc miasta nie miały pieniędzy, żeby kupować żywność w takiej ilości, jak dotychczas. Mniejszy popyt oznacza spadek cen. A jak odpowiada rolnik, gdy spada cena produkowanego przez niego towaru i potrzebuje gotówki? Próbuje sprzedać więcej, często odejmując od ust sobie i swojej rodzinie. Nazywano to zjawisko podażą głodową. Jeżeli jednak tak samo zachowa się kilka milionów rolników, to wraz z rosnącą produkcją cena tych towarów spada jeszcze bardziej. Jednostkowo każdy gospodarz działał racjonalnie, jednak gdy w ten sam sposób postępowało milion gospodarstw, to w efekcie problem się tylko pogłębiał i wpadaliśmy w błędne koło.

Wall Street załamała się w październiku 1929 r. Kiedy wielki kryzys uderzył w Polskę?

Symptomy przesilenia w niektórych branżach, m.in. we włókiennictwie, były dostrzegalne już w pierwszej połowie 1929 r. Jednak decydującym ciosem,



KAMIL PISKAŁA
„ZREDUKOWANI. O SPOŁECZNYCH SKUTKACH WIELKIEGO KRYZYSU"
MUZEUM HISTORII POLSKI

który wepchnął polską gospodarkę w kryzysową spiralę, było właśnie globalne załamanie cen artykułów rolnych. Doszło do tego w 1930 r. Zaczęło się od zbóż, a potem runęły ceny produktów odzwierzęcych. Ponieważ ponad 60 proc. mieszkańców Polski żyło z rolnictwa, kryzys na rynku rolnym wyhamował całą gospodarkę. Spadek konsumpcji pociągał za sobą mniejszą produkcję przemysłową, co z kolei zwiększało bezrobocie. I błędne koło się zamykało.

Zapamiętaliśmy Józefa Piłsudskiego jako socjalistę. A przecież socjaliści kojarzą się z mocną interwencją państwa w czasach kryzysu.

Tylko że nawet dla młodego Piłsudskiego socjalizm wiązał się przede wszystkim z postulatami politycznymi i wolnościowymi: z demokracją, upodmiotowieniem mas i niepodległością. W kwestiach gospodarczych Piłsudski nie identyfikował się zbytnio z socjalizmem.

I to było widać w działaniach rządu?

Po roku 1926 r. socjalizm Piłsudskiego to już zamierzchłe wspomnienie. Po przewrocie majowym Piłsudski wydał swoim współpracownikom jasną dyrektywę w kwestii polityki gospodarczej: „Bez eksperymentów". I rząd trzymał się tego aż do roku 1935.

Jak to wyglądało w praktyce?

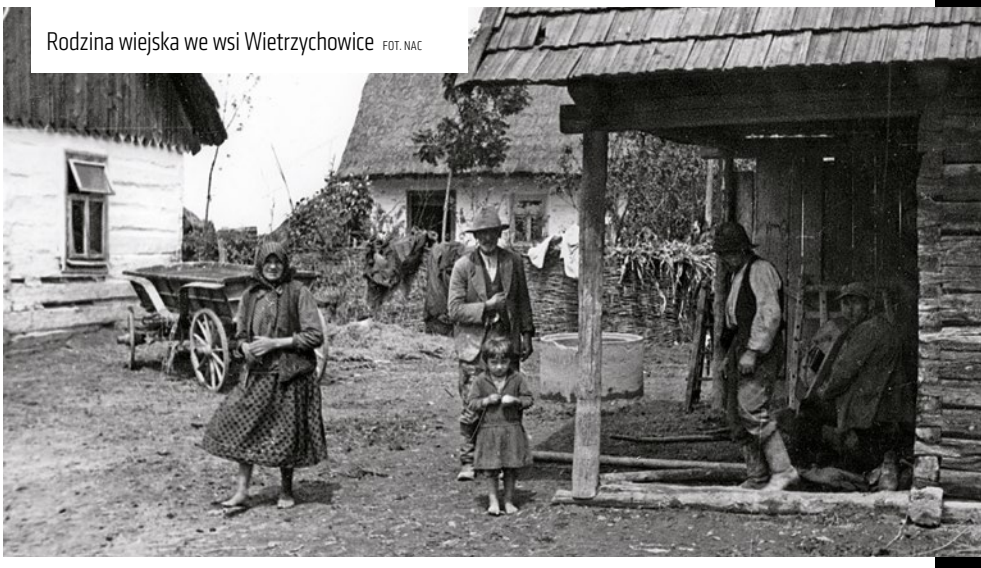
Rząd realizował ówczesne podręcznikowe zasady polityki gospodarczej. W tamtych czasach patrzono jeszcze na kryzysy jako na swego rodzaju katharsis, które oczyszcza gospodarkę.

To samo było widać w USA – państwo w pierwszej fazie wielkiego kryzysu, przed objęciem władzy przez Franklina Delano Roosevelta, nie przyjmowało zbyt aktywnej roli.

Dotychczas uważano, że kryzys jest po prostu częścią cyklu koniunkturalnego. Nawet gdy jest bolesny, to jednak jest potrzebny, a mechanizm rynkowy powinien samoistnie przywrócić równowagę i stworzyć warunki dla kolejnego okresu prosperity. Taką optykę przyjął też polski rząd.

Co więcej, dopełnił ją jeszcze dwoma wytycznymi. Po pierwsze – należy za wszelką cenę dbać o wartość złotego, co przełożyło się na prowadzenie polityki deflacyjnej. Utrzymywanie wysokich stóp procentowych oznaczało, że kredyt był bardzo drogi. Druga kwestia to odrzucanie metod inflacyjnego nakręcania koniunktury, czyli finansowania przez państwo akcji inwestycyjnych z długu.

Później John Maynard Keynes przekonywał, że gdy mamy do czynienia ze spowolnieniem gospodarki, rząd powinien ją stymulować, by powróciła na drogę wzrostu. Państwo miało tak



Rodzina wiejska we wsi Wietrzychowice FOT. NAC

eprasa.pl 318279d0bb



Wnętrze pokoju w osiedlu bezrobotnych w Poznaniu FOT. NAC

działać, nawet jeżeli wiązałoby się to ze zwiększeniem długu publicznego. Jednak na przełomie lat 20. i 30. polski rząd przyjmował, że fundamentem polityki gospodarczej jest dbanie o wartość złotego, regulowanie długów zagranicznych i pilnowanie równowagi budżetowej.

To optyka dobra dla gospodarstwa domowego: skoro maleją nasze dochody, to musimy redukować wydatki. Ponieważ brakowało impulsu ze strony państwa, Polska cały czas tkwiła w błędnym kole: wraz ze spadkiem wydatków publicznych gospodarka jeszcze bardziej zwalniała, przez co dochody państwa się kurczyły i jeszcze bardziej trzeba było ciąć wydatki.

Wszędzie dokoła tak to wyglądało?

W początkowej fazie kryzysu reakcja większości rządów była podobna. Mniej więcej od przełomu lat 1931 i 1932 do elit politycznych dociera świadomość, że ten kryzys jest inny od poprzednich i gospodarka sama się nie wyleczy. I dlatego trzeba poszukać nowych rozwiązań. Wiele państw dewaluowało swoją walutę, pojawiały się próby inflacyjnego stymulowania koniunktury, a także pomysły rozkręcenia na dużą skalę robót publicznych. W USA uchwalony został cały pakiet regulacji zbiorczo określanych jako New Deal. Polegały one m.in. na regulowaniu cen artykułów, żeby w czasie kryzysu to nie rynek je kształtował. Polski rząd, zgodnie z hasłem „bez eksperymentów", raczej nie podejmował śmielszych prób interwencji.

Ale w końcu władze w Warszawie uruchomiły program robót publicznych.

W 1933 r. powstał Fundusz Pracy. To była zmiana na lepsze w porównaniu z pierwszymi latami kryzysu, ale wprowadzono ten program późno i była to kropla w morzu potrzeb – roboty prowadzono na skalę niewspółmierną względem potrzeb, czyli liczby bezrobotnych. Oczywiście lepsze to niż nic, ale polski rząd pod tym względem nie działał z rozmachem, tak jak choćby działo się to w Niemczech po przejęciu władzy przez nazistów, gdzie roboty publiczne prowadzono na ogromną skalę.

Którzy pracownicy zostali wtedy oszczędzeni?

Przede wszystkim wojskowi i urzędnicy. Oczywiście tym drugim obniżano pensje, co tłumaczono – dość przekonująco – faktem, że przecież zmniejszyły się koszty utrzymania. Jednak obniżki nie mogły przysłonić olbrzymiej korzyści – ta praca była dość pewna. Był to wówczas luksus i przedmiot zazdrości sporej części społeczeństwa. Z kolei budżet na wojsko był w zasadzie wyłączony z oszczędności. Wobec kurczenia się budżetów innych ministerstw nakłady na utrzymanie armii sięgnęły w końcu 40 proc. ogółu wydatków państwa.

Poza tymi dwoma szczególnymi grupami dość bezpiecznie mogli się też czuć ludzie pracujący w wyjątkowo ważnych zakładach, jak elektrownie czy komunikacja miejska. Wykwalifikowani specjaliści byli zwykle ostatni do zwolnienia, jednak również im, przedstawicielom wielu zawodów postrzeganych w środowisku robotniczym jako elitarne, groziło bezrobocie. W książce przywołuję przykład zecera ze Lwowa,



Bezrobotny stolarz Ludwik Markward przed zbudowanym przez siebie szałasem FOT. NAC

który nigdy wcześniej nie był bezrobotny i sam wybierał, gdzie chce pracować. A tu nagle od kilku miesięcy nie jest w stanie znaleźć zatrudnienia. Dla takich jak on podjęcie w latach kryzysu prostej pracy fizycznej było trudne na poziomie psychologicznym. Niełatwo było się pogodzić z deklasacją. Wyjątkowość doświadczenia wielkiego kryzysu polegała na tym, że uderzył on również w tych, którzy byli dotychczas na szczycie robotniczej hierarchii.

Upadek ludzkiej godności to temat, który szczególnie mocno wybrzmiewa w pańskiej książce. Tamten kryzys ewidentnie przeorał psychicznie wiele warstw polskiego społeczeństwa.

I właśnie dlatego chciałem opowiedzieć historię wielkiego kryzysu w Polsce przede wszystkim z perspektywy prostych ludzi, najbardziej dotkniętych załamaniem gospodarczym. Chciałem pokazać ich walkę o zachowanie godności w tych trudnych czasach.

Tylko jak to zrobić, jeżeli bieda jest tak wielka, że aby wyżywić rodzinę, trzeba sprzedać obrączkę ślubną?

Koszt emocjonalny był tu bez wątpienia ogromny, jednak temu przykładowi daleko do ekstremum. W latach zapaści ludzie chwytali się bowiem dużo bardziej drastycznych środków. Jednym z nich była kradzież. Statystyki przestępczości szybują w tamtym okresie w górę. W zdecydowanej większości są to drobne kradzieże – głównie żywności.

Ale były też inne metody, np. redukowanie liczby posiłków. W relacjach bezrobotnych jest to zwykle jedna z pierwszych oznak, że w ich progi zawitała bieda.

To jedne z najsmutniejszych fragmentów pańskiej książki. Przykro czytać o niedożywieniu, a czasem wręcz głodzie, które były w ówczesnej Polsce właściwie na porządku dziennym...

Mamy wiele relacji ludzi, którzy z biedy jedli jeden posiłek dziennie, korzystając często z garkuchni dla bezrobotnych. A skoro można liczyć tylko na jeden posiłek, to niektórzy ludzie robili wszystko, by dni były jak najkrótsze, a przez to by wydatek kaloryczny jak najmniejszy. Ci ludzie spędzali większość dnia w łóżku,

eprasa.pl 318279d0bb

kładąc się już po południu. To desperacja, a nie lenistwo. Co zrozumiałe, jednak z czasem przychodziły apatia i stany depresyjne.

Konsekwencją kryzysu bywała też prostytucja z konieczności. To są dramatyczne historie, które wybrzmiewają w badaniach robionych wówczas przez socjologów i pokazują skalę zubożenia społeczeństwa.



Dzieci z rodzin bezrobotnych w Warszawie FOT. NAC

Zjawiskiem charakterystycznym dla kryzysu w Polsce były tłumy ludzi krążących po kraju w poszukiwaniu pracy. Wielu z nich zmierzało do rozwijającej się Gdyni. Zdesperowani bezrobotni mieli nadzieję, że znajdą tam pracę, ale przecież nawet ta wyśniona Gdynia nie mogła dać chleba wszystkim chętnym.

Takich ludzi nazywano „rajzerami", od niemieckiego słowa „Reise", czyli podróż. W większości przypadków ta „podróż" odbywała się pieszo, ponieważ mało kogo stać było na bilet na pociąg. Zwykle ludzie nie znajdowali pracy i wracali do domu po kilku dniach czy tygodniach tułaczki. W książce opisuję m.in. poruszającą historię małżeństwa z Warszawy, które oddało dzieci bliskim i ruszyło w Polskę za pracą. Nie udało im się osiągnąć celu, mimo że przeszli po kraju pieszo 2 tys. km. W końcu wrócili do Warszawy. Po kilkunastu miesiącach mężowi w końcu udało się znaleźć pracę w stolicy, i to nawet w swoim fachu – ten mężczyzna był mechanikiem.

W Polsce wieś odczuła kryzys mocniej niż miasto?

Trudno to jednoznacznie ocenić. Pod wieloma względami taki osąd jest uprawniony, ale musimy pamiętać, że kryzys w mieście był bardziej widoczny. Po ulicach krążyły tysiące ludzi poszukujących pracy, widać było bezrobotnych stojących w kolejkach po pomoc społeczną...

... a do tego rozrastające się „Madery", „Abisynie" czy „Pekiny".

Czyli osiedla bieda-domków, które mnożyły się w polskich miastach. Dziś nazwalibyśmy je slumsami. I dlatego władze bardziej obawiały się wybuchu niezadowolenia w miastach niż na prowincji.

Na wsi dramat kryzysowej biedy rozgrywał się głównie wewnątrz chłopskiej izby, gdy jajko znikało z diety, bo trzeba było sprzedać każdą sztukę. Albo ludzie przestawali chodzić do kościoła, bo nie mieli co na siebie założyć.

Ale przynajmniej wsi nie dotykał w takim stopniu problem bezdomności.

To prawda. Widmo eksmisji dotyczyło niewielkiej grupy mieszkańców wsi, z kolei w miastach groźba wyrzucenia z mieszkania stale wisiała nad tysiącami ludzi, którzy po utracie pracy mieli problem z opłaceniem czynszu.

Kto mógł wtedy liczyć na zasiłek dla bezrobotnych?

System ubezpieczenia od bezrobocia, który utworzono ustawą z 1924 r., był jak na tamte czasy dosyć nowoczesny. Zobowiązani do odprowadzania składek byli ci ludzi, którzy byli zatrudnieni w przedsiębiorstwach zatrudniających powyżej pięciu osób. Nie mieścili się w tej kategorii m.in. chałupnicy, rzemieślnicy czy pracownicy niewielkich sklepów. Zasiłek był wypłacany przez kilkanaście tygodni i pozwalał na bardzo skromne utrzymanie.

Problem pojawiał się po utracie tej zapomogi. Potem bardzo trudno było uzyskać zasiłek, ponieważ najpierw trzeba było znaleźć pracę i odprowadzać odpowiednio długo składki. Im dłużej trwał kryzys, tym mniejszy odsetek bezrobotnych miał na to szansę. Tacy ludzie musieli korzystać z tzw. pomocy doraźnej, czyli wszelkiego rodzaju akcji wsparcia żywnościowego – czy to organizowanych społecznie, czy przez instytucje w rodzaju samorządów.

Jak dotkliwy był w Polsce kryzys na tle naszych sąsiadów?

Polska znajdowała się w czołówce państw dotkniętych wielkim kryzysem. Myślę, że sytuacja w naszym kraju była porównywalna do załamania w Niemczech, z tą różnicą, że Niemcy szybciej opanowali kryzys.

Kiedy było już po wszystkim?

W 1936 r. zaczyna się w Polsce wyraźna poprawa koniunktury. Ale musimy mieć świadomość, że chociaż ostatnie lata przedwojenne bardzo dobrze wyglądają na poziomie statystyk, zwłaszcza produkcji przemysłowej, to był to wzrost napędzany inwestycjami publicznymi głównie w zbrojenia, więc jego owoce nie rozkładały się równomiernie. Polska wieś drugiej połowy lat 30. odbiła się od dna, ale wciąż wiele brakowało jej do osiągnięcia poziomu życia sprzed wielkiego kryzysu.

Jak to się stało, że ten temat jest w Polsce tak mało znany?

Nasza pamięć o XX w. zorganizowana jest przede wszystkim wokół drugiej wojny światowej. Wszystko inne – w mniejszym lub większym stopniu – ginie w cieniu traumy wojennej.

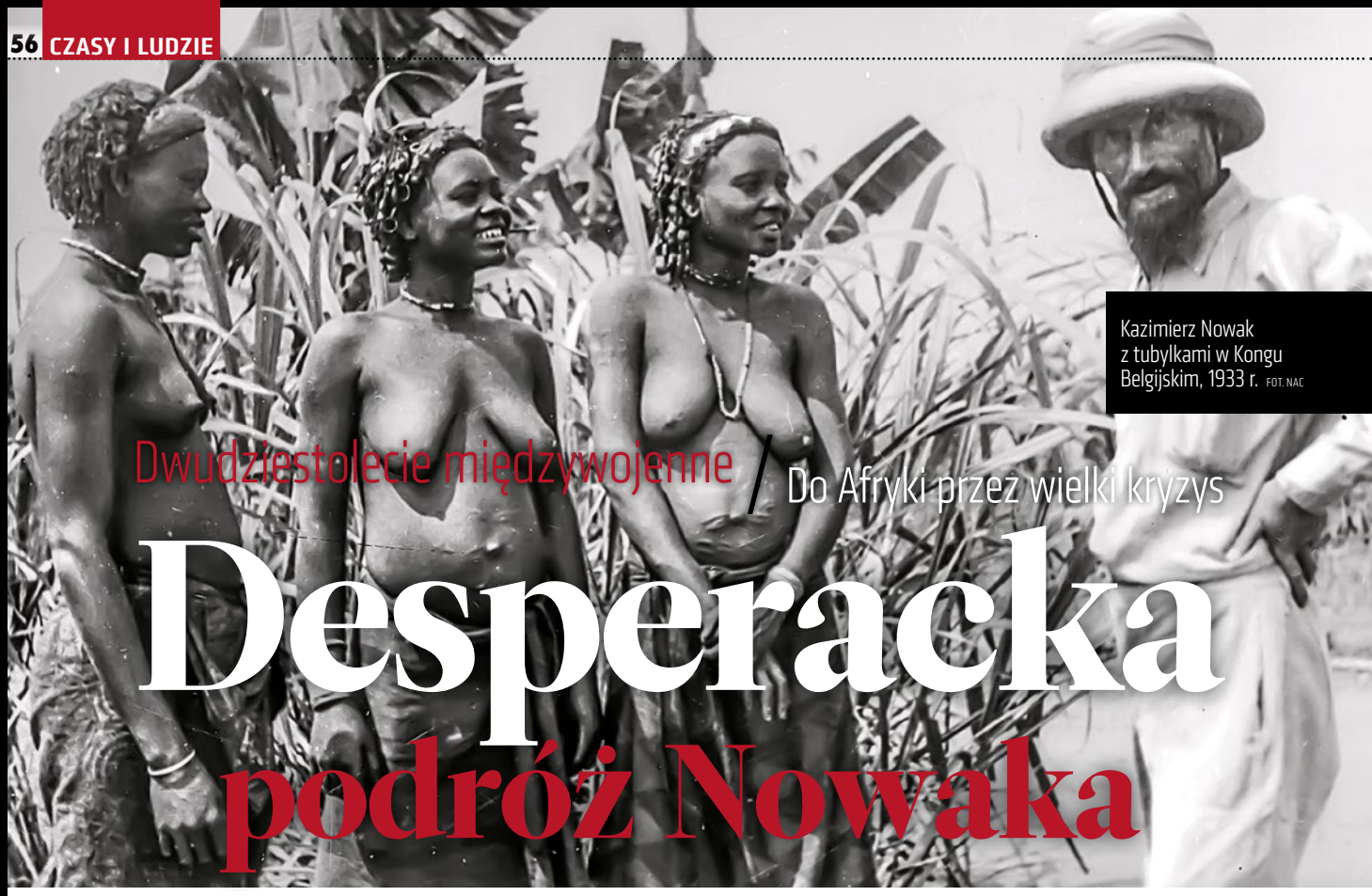
Drugi problem to propaganda PRL. W czasach komunistycznych budowano obraz przedwojennej Polski, skupiając się właśnie na realiach czasu kryzysu. Ten obraz został odrzucony przez elity i później przez społeczeństwo jako kłamliwy i jednostronny. Można więc powiedzieć, że „ofiarą" tej naturalnej ludzkiej reakcji padła pamięć o wielkim kryzysie i ludzkim cierpieniu. Właśnie tę historię próbuję przypomnieć w swojej książce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Kamil Piskała jest historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Łódzkiego, znawcą dziejów II RP i polskiego ruchu socjalistycznego, autorem książki „Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu".

eprasa.pl 318279d0bb



Kazimierz Nowak z tubylkami w Kongu Belgijskim, 1933 r. FOT. NAC

Dwudziestolecie międzywojenne / Do Afryki przez wielki kryzys

Desperacka podróż Nowaka



Anna Szczepańska

Nasz słynny obieżyświat odbył najbardziej niewiarygodną podróż w historii polskiej eksploracji Afryki. A wszystko to, by uratować rodzinę przed głodem

Pustynia zaczyna swą wieczorną modlitwę. Jej hymn płynie poprzez wydmy i niebotyczne góry, poprzez przeraźliwe płaskie serir, nieskończenie zda się długie uadi i w cały świat płynie, każdy kamień, najdrobniejsze ziarnko piasku modli się [...]. Tuareg, syn Sahary, człowiek niewykształcony, którego świat cywilizowany nie uważa nawet za człowieka, w noce saharyjskie mówił do mnie: »Słyszysz, pustynia się modli«. A potem, umywszy piaskiem, który tu wodę zastępuje, ręce i Koranem przepisane części ciała, padał na kolana i korne słowa pieśni do Allacha płynęły z piersi biedaka-koczownika. I zda się wtedy, że słychać rozkołysane serca dzwonów, których echo idzie poprzez świat cały, tam z kościółka, w którym modliłem się tak często. I w ciszę pustyni pobiegły słowa nauczonej przez matkę modlitwy. Jest niedziela i tu, wśród obcej pustynnej krainy, po polsku na głos modli się włóczęga. Modliłem się i ja, i piasek, i głazy" – pisał Kazimierz Nowak w swych zapiskach z podróży.

Polak, który jako pierwszy człowiek w historii przebył całą Afrykę z północy na południe (i z powrotem) pieszo i na rowerze, nie ukończył nawet szkoły średniej i nie miał literackiego obycia, a mimo to z jego zapisków raz po raz wyziera ujmująca poetyka. Nowak z otwartym umysłem podchodził do wszystkich napotykanych ludzi, i to niezależnie od koloru ich skóry, co w latach 30. XX w. nie zdarzało się często. Jego wyprawa jest nietypowa z wielu różnych powodów. Jednym z nich jest to, że zdecydował się ruszyć w świat, by uratować rodzinę przed głodem.

Jedna myśl

Wielu było podróżników, którzy na różne sposoby przemierzali Afrykę, ale nikt nie zrobił tego w taki sposób jak skromny Polak. Nie szła za nim karawana z tragarzami dźwigającymi na plecach setki kilogramów broni, zapasów i sprzętu potrzebnego do postawienia obozu w dziczy. Nikt nie niósł go w lektyce – Nowak miał do dyspozycji tylko rower, trochę bagażu, wielkie chęci i otwarty umysł.

Mnożyły się trudności, ale każdego ranka napędzała go jedna myśl: co robi Maria, czy dzieci są zdrowe, czy dotarły do nich pieniądze. Nowak nie był globtroterem, podróżnikiem – lekkoduchem, który ot tak, postanowił rzucić wszystko i opuścić dom. Choć nie da się zaprzeczyć, że odkrywanie nieznanego od zawsze go

eprasa.pl 318279d0bb



W drodze przez Kongo Belgijskie FOT. NAC

pociągało. Nie mając grosza przy duszy, potrafił zorganizować sobie wyprawę po Europie już jako nastolatek. Jednak jako dorosły mężczyzna, mając na utrzymaniu żonę i dzieci, zdecydował się na wyjazd przede wszystkim ze względów finansowych.

Po powrocie ze swej epickiej, trwającej pięć lat podróży Kazimierz Nowak był postacią rozpoznawalną. Wygłaszał prelekcje i odczyty. Trwało to krótko, gdyż Nowak zmarł rok po powrocie z Afryki z powodu powikłań po przebytych chorobach. Potem o jego wyczynie zapomniano na kilkadziesiąt lat. Dopiero w ciągu ostatnich dwóch dekad zaczęto przywracać o nim pamięć.

A jednak po początkowej fascynacji niektórzy zaczęli podawać w wątpliwość jego pobudki; słychać głosy, że zrobił to z egoizmu, marząc o przygodach, i wcale nie chodziło mu o zarabianie pieniędzy. Tymczasem wystarczy otworzyć jakikolwiek tom (a są ich cztery), w którym zebrano listy Kazimierza do żony. Już po lekturze kilku z nich można stwierdzić, z jak wielką troską Nowak myślał o rodzinie i że tylko dla niej parł do przodu. Niemal wszystkie pieniądze wysyłał do domu, sobie zostawiając niezbędne do przeżycia minimum. W wielu przypadkach to żona musiała namawiać go, aby w końcu sprawił sobie choćby nowe spodnie, „bo wstyd".

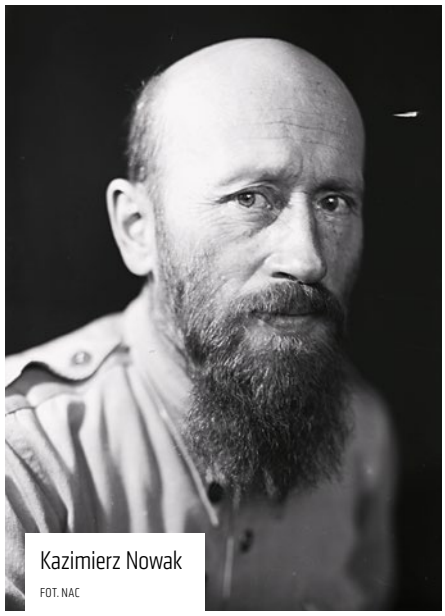
Argument, że zostawił rodzinę na tak długo, także jest chybiony. Skąd bowiem Nowak miał wiedzieć, ile czasu zajmie podróż, skoro nikt przed nim nie dokonał takiego wyczynu? Podobnie ma się rzecz z argumentem o „porzuceniu" rodziny. Nowak wybrał nietypową, nawet z naszej perspektywy, metodę zarabiania pieniędzy, ale przecież od setek lat ludzie wyjeżdżali „za chlebem". Tak jak dla żyjących współcześnie, tak dla Nowaka przed 100 laty decyzja o wyjeździe była bardzo trudna.

Gdy w 1924 r. stracił pracę, przez kilka lat próbował znaleźć stabilne zatrudnienie, ale sytuacja jego rodziny stała się dramatyczna, gdy nadszedł wielki kryzys gospodarczy. Chorowita żona i dwoje małych dzieci, którym trzeba było zapewnić byt – te argumenty skłoniły ostatecznie Nowaka do podjęcia decyzji o wyjeździe. Pisaniem relacji i robieniem zdjęć chciał zarobić na rodzinę. Mogło się to wydawać szalone, ale dla Nowaka, który w życiu przejechał już tysiące kilometrów na rowerze, a fotografią zajmował się amatorsko od lat, połączenie tych dwóch rzeczy wydawało się najlepszym rozwiązaniem.

Przez Czarny Ląd

Historia życia Kazimierza Nowaka sprzed jego podróży do Afryki jest znana tylko szczątkowo. To, co o nim wiemy, pochodzi z jego relacji albo informacji uzyskanych od rodziny, która pomimo braku zainteresowania ze strony opinii publicznej pielęgnowała przez dekady pamięć o swym krewnym.

Nowak urodził się 11 stycznia 1897 r. w Stryju, na terenie dzisiejszej Ukrainy. W wieku zaledwie 14 lat wyruszył w samotną podróż do… Watykanu, chcąc zobaczyć Plac św. Piotra i Rzym. Gdy zaczęła się pierwsza wojna światowa, zaciągnął się do armii austro-węgierskiej, wierząc, jak wielu innych młodych ludzi, że będzie walczył o wolność Polski. Gdy zrozumiał, że władzom cesarsko-królewskim nie chodzi o żadną wolną Rzeczpospolitą, zdezerterował. Ukrywał się we Włoszech, a do Polski wrócił na początku lat 20. Zamieszkał w Poznaniu, gdzie po Wielkiej Wojnie przeniosła się jego rodzina. Nowak podjął pracę w banku jako księgowy (książkowy), a dorabiał jako dziennikarz i fotoreporter; zdjęcia wykonywał m.in. podczas wycieczek rowerowych po kraju.



Kazimierz Nowak FOT. NAC

W 1922 r. poślubił Marię Gorcik, z którą miał dwoje dzieci: Elżbietę i Romualda. Rodzinne szczęście przygasiła utrata zatrudnienia. Nowakowie znaleźli się pod ścianą i musieli wyjechać z Poznania. Mieszkali m.in. u brata Marii, Romana, który był nauczycielem w Boruszynie. Kazimierz bardzo starał się znaleźć nową pracę. W jednym z listów pisał: „Powołując się na cenne ogłoszenie w »Kurierze Poznańskim« polecam niniejszym moje usługi na stanowisku książkowego. Żonaty, mam 9 i pół letnią praktykę jako książkowy. Ostatnio pracowałem 3,5 roku jako szef książkowości w Poznańskim Banku Ubezpieczeń, Towarzystwo Akcyjne w Poznaniu. Znam zawód mój, pracuję chętnie i pilnie. Na wszelkie warunki godzę się z góry i zaręczam, że za wszelkie skorzystanie z mych usług usilną i staranną pracą odwdzięczę się Szanownemu Państwu. W załączeniu przysyłam odpis ostatniego świadectwa. Proszę usilnie o łaskawą odpowiedź, czy mogę oferowaną posadę uzyskać. Nadmieniam równocześnie, że uzyskanie posady jest kwestią życia mojej chorej żony i dziecięcia, którym ze względu na brak dochodu nie mogę ani skromnego bytu zapewnić. Z głębokim poważaniem. Kazimierz Nowak".

Pomimo starań Nowak nie uzyskał stałej posady, więc pozostało mu wykonywanie prac dorywczych. W końcu zdecydował się na rowerową podróż po Europie, aby reportażami i zdjęciami zarobić na chleb. Była to pierwsza tak

eprasa.pl 318279d0bb



Na Saharze, 1936 r. FOT. NAC

długa wyprawa Nowaka. Rowerem przemierzył m.in. Węgry, Austrię, Włochy, Belgię, Holandię, Rumunię, Grecję i Turcję. Na przełomie lat 1927 i 1928 dotarł do Trypolitanii w dzisiejszej Libii. Już wtedy pomyślał, że być może kiedyś przemierzy cały kontynent.

Wyprawa okazała się udana – redakcje były zainteresowane relacjami i kupowały zdjęcia. Nowak wymyślił więc kolejną wyprawę, tym razem pionierską: rowerem przez Czarny Ląd. Wiedział, że nikt jeszcze nie dokonał czegoś takiego, liczył zatem na ciekawy materiał dziennikarski oraz cenne fotografie. Nie bał się trudów i odległości. Jedynym zmartwieniem był stan zdrowia żony, ale przecież bez pracy nie byłby jej w stanie pomóc, nawet gdyby nie opuszczał jej na krok. Nowakowie rozważali w tym czasie wyjazd do Stanów Zjednoczonych, jednak nie było ich stać na taką podróż.

Ostatecznie, po konsultacjach z żoną, Nowak podjął decyzję o wyprawie rowerem przez Afrykę, od Kairu do Przylądka Igielnego, a jeżeli będzie na siłach, to także z powrotem.

4 listopada 1931 r. Nowak wyruszył z Boruszyna do Poznania, a stamtąd pociągiem do Rzymu. W stolicy Włoch przesiadł się na swój wysłużony już, kilkuletni rower, którym pojechał do Neapolu. Choć minęło tak niewiele dni od opuszczenia domu, to już tęsknił. „Wiem, Maryś, że ci bardzo ciężko, ale wiesz, że razem z tobą cierpię, nie biedę już, ale skrajną nędzę. Zaraz z Afryki zamonituję w »Na Szerokim Świecie« i sądzę, że zaraz przyślą należności moje, a może z innej strony coś nadejdzie. Mam jeszcze trochę klisz, zaraz pierwszego dnia porobię zdjęcia i poślę do prasy poznańskiej" – pisał do żony. W Neapolu okazało się, że Nowak nie ma nawet pieniędzy na statek. Aby zarobić na bilet, fotografował turystów, a zdjęcia wywoływał w swoim namiocie za miastem. W końcu udało się uzbierać wymaganą kwotę i 26 listopada Nowak dotarł do Trypolisu. Tak zaczęła się jego wielka afrykańska przygoda.

Pomocni tubylcy

W Trypolisie Nowak napotkał pierwsze trudności. Włoskie władze podchodziły do niego z wielką nieufnością, być może widząc w nim szpiega. Nakazano mu natychmiast opuścić kolonię. Nowak wyjechał więc do Egiptu administrowanego przez Brytyjczyków. Stamtąd wyruszył na południe, wzdłuż Nilu. Przez miesiąc jechał przez pustynię, a potem szlakiem Wielkich Jezior Afrykańskich.

Na ogół był bardzo dobrze przyjmowany przez miejscowych. Chociaż Afrykanów niezmiernie dziwił biały człowiek na rowerze, to Nowak potrafił zyskiwać sobie ich przychylność. Bez wątpienia dlatego, że nie przychodził do nich jako kolonizator, z poczuciem moralnej wyższości, lecz jako człowiek, który sam potrzebuje pomocy. Relacje, które nawiązał z Afrykanami, pozwoliły mu na wyjątkowe obserwacje ich codziennego życia. Swoje spostrzeżenia skrupulatnie notował.

Podróż planował tak, aby regularnie pojawiać się w miejscach, skąd mógł wysyłać korespondencję. Jego żona wiedziała z wyprzedzeniem, gdzie się pojawi, i na te adresy słała listy. Swoje notatki i listy Kazimierz wysyłał głównie do żony, czasem do innych członków rodziny, a niekiedy bezpośrednio do czasopism. Honoraria trafiały do Marii. Nowak zarabiał „na miejscu", pisząc czasem do miejscowych gazet (znał języki włoski i francuski, a w podróży nauczył się arabskiego) czy wykonując zdjęcia na zamówienie. Jego tekstami zainteresowano się szczególnie w Związku Południowej Afryki (ZPA), dzięki czemu podreperował budżet.

W największej mierze liczył jednak na dobroć innych ludzi, choć na niektórych mocno się czasem zawodził. Był wśród nich tłumacz, z pochodzenia Polak, który przekładał jego teksty na język angielski. Po przetłumaczeniu kolejnego już reportażu zniknął bez wieści z wysokim honorarium należnym Nowakowi. Takie sytuacje należały jednak do rzadkości.

Bez specjalnej życzliwości odnosili się do polskiego podróżnika kolonialni biurokraci, mając go za podejrzanego typa, a może nawet człowieka szalonego. Nowak starał się zatem unikać dużych miast. „Gdy [...] dociera do osiedli białych eksploratorów Afryki, poczucie osamotnienia wydaje się w nim narastać, spostrzega tam bowiem, jak wiele odróżnia go od urzędników, wojskowych, poszukiwaczy bogactw naturalnych i myśliwych przybyłych tu dla zysku, kariery, trofeów



Na łodzi „Maryś" w Kongu Belgijskim FOT. NAC

eprasa.pl 318279d0bb

lub rozpusty" – pisze Łukasz Wierzbicki w książce „Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd".

Różnej maści kolonizatorom Nowak mógł się wydawać niebezpiecznym dziwakiem. Kazimierz pisał bowiem nie tylko o pięknie Afryki i napotykanej po drodze florze i faunie (choć ubolewał zarazem, że tak mało może opowiedzieć o tym w „naukowy" sposób). Dużo pisał też o codzienności Afrykanów, ich biedzie i nieludzkim obliczu kolonializmu, chciwych bogaczach i zadufanych w sobie farmerach. Przemyślenia Nowaka nie podobały się członkom Polskiej Ligi Morskiej i Kolonialnej, która – choć śledziła jego wyprawę – nie zaoferowała podróżnikowi żadnej pomocy materialnej.

30 kwietnia 1934 r. Nowak dotarł na sam kraniec Afryki – na Przylądek Igielny. Rozważał podróż statkiem do domu, ale pisał do żony: „Gdy od razu z okrętu wysiądę w Polsce […], stanę na bruku »goły i bosy«, jak to mówią. Nie będzie na pierwsze miesiące życia i na rozchody, aby przygotować odczyty czy wrażenia z podróży […]. Podróż powolna będzie o niebo korzystniejsza dla nas – wrócę sławnym, jedynym afrykańskim podróżnikiem polskim" – pisał do Marii z ZPA.

Kiedy dotarł do Namibii (Afryki Południowo-Zachodniej), rozpadł się jego wysłużony rower. Za radą polskiego farmera, Mieczysława Wiśniewskiego, Nowak na dalszą drogę wybrał dwa konie. Choć nigdy nie jeździł konno, to szybko nawiązał ze zwierzętami więź, tak że „chodziły one za nim jak dobry pies". Konno Nowak przemierzył następne trzy tysiące kilometrów. W Angoli gościł u kolejnego Polaka, hrabiego Zamoyskiego, u którego konie wymienił z powrotem na rower. Po drodze musiał skorzystać także z innych środków transportu. Rzekę Kasai przepłynął czółnem, które ochrzcił „Poznań I". Nie wytrzymało ono jednak długo. Kolejne kilkaset kilometrów Nowak pokonał pieszo, docierając do Lulua w Kongu. Tam wystarał się o łódź, którą nazwał „Maryś". Płynąc dalej, we wrześniu 1935 r., dotarł do Leopoldville. Kolejny etap podróży Kazimierz Nowak ponownie pokonał rowerem i tak dotarł do jeziora Czad. Przez Saharę musiał iść w karawanie, nabywając wcześniej wielbłąda. Ostatnie tysiąc kilometrów znów przebył rowerem.



Kazimierz Nowak z żoną i dziećmi FOT. NAC

Epicka podróż skończyła się w listopadzie 1936 r. w Algierze. Stamtąd Nowak popłynął promem do Marsylii, skąd udał się do Paryża. Dzięki pomocy polskiego konsula otrzymał pożyczkę w wysokości 750 franków, za co mógł kupić bilet kolejowy do Polski (o to starała się wcześniej jego żona). Nowak wrócił do domu 23 grudnia 1936 r., po pięciu latach podróży. „Nie stawiano mu bram triumfalnych, gdy wracał, nie wygłaszano mów wielkich, nie wznoszono gromkich wiwatów. Powrócił Kazimierz Nowak – szepnęła sobie tylko tu i ówdzie mała garstka ludzi, bo wrócił cicho, spokojnie, niemal po kryjomu, jak wracać potrafi jedynie prawdziwy bohater […]. Chciał iść i szedł […]. Widzę już znowu jego dziwaczną sylwetkę… Widzę, jak pcha swój rower po piasku, jak idzie lekko zgarbiony, poprzez wielkie blaski nieziemskich ergów, jak ginie w tych blaskach, odchodzi, maleje w oddali… i wreszcie rozwiewa się cały wśród świetlanych mgławic!" – mówił zaledwie rok później na pogrzebie Nowaka inny poznański podróżnik, Tadeusz Perkitny.

Po powrocie do Polski zyskał niemałą popularność, wygłaszając odczyty i opowiadając o swej wędrówce. Podróżnik miał dalsze ambitne plany: obmyślał już kolejną podróż, tym razem po Azji. Nie doczekał jej, gdyż zmarł 13 października 1937 r. w wieku zaledwie 40 lat.

Kochana Maryś!

„Kocham Twoje listy – zbliżają one mą myśl ku Tobie, niemi jedynie żyję na tułaczce. Dobrze, gdy mam wieści od Ciebie – wtedy weselej, a od tego zależy, czy mogę pracować. Pisz w miarę możności, ale bez szkody dla zdrowia!" (List nr 162, 9 lipca 1935 r.).

O swej żonie nie pisał inaczej niż „mój kochany Marysiek", „droga moja Maryś". Była ona jego wielką miłością i ogromnym oparciem. Możemy tylko przypuszczać, że była dobrą, wyrozumiałą i kochającą kobietą – da się to wyczytać z listów Kazimierza. O samej Marii wiemy bowiem bardzo niewiele. Nie zachowały się żadne listy, które pisała, nie znamy zatem jej perspektywy, nie możemy powiedzieć o emocjach, które nią targały.

Maria Gorcik była trzy lata starsza od Kazimierza. Ich ścieżki życiowe przecięły się w Poznaniu, być może w czasie, gdy przyszły podróżnik pracował w banku. Z jego listów wiemy, że Maria miała problemy zdrowotne. Pewnego razu, z racji złej sytuacji finansowej rodziny, zaproponowała mężowi, że pójdzie do pracy, lecz ten stanowczo zaoponował, obawiając się, że pogorszy się jej stan. Tym bardziej robił wszystko, aby wysyłać do domu jak najwięcej pieniędzy.

Trudno jednak powiedzieć, że Maria nie pracowała. Oprócz obowiązków domowych i wychowywania dzieci żona Kazimierza w czasie wszystkich jego podróży odgrywała ważną rolę. Nowakowie tworzyli zgrany zespół: on słał relacje i zdjęcia, ona szukała sponsorów (choć tych było jak na lekarstwo) i reklamowała jego pracę. Maria była kimś w rodzaju menedżera swojego męża. Pośredniczyła między nim a redakcjami, rozmawiała z wydawcami. Wysyłała też Kazimierzowi paczki, a nawet wystarała się o zakup lepszego aparatu fotograficznego.

Niestety, los nie dał im się zbyt długo cieszyć sobą. Po śmierci Kazimierza Maria została sama z dziećmi, a ich sytuacja materialna była wciąż bardzo zła. Wdowa po podróżniku mieszkała jeszcze w Poznaniu, a pod koniec życia przeniosła się do Gdańska, do córki. Zmarła w wieku 61 lat.

Z perspektywy lat łatwo można krytykować naszego słynnego podróżnika, że wybrał takie życie, zamiast zająć się rodziną na miejscu, ale trzeba pamiętać, że wyprawa przez Afrykę była wspólnym przedsięwzięciem Marii i Kazimierza. Bez swej żony Kazimierz Nowak nie odbyłby najbardziej niezwykłej podróży w dziejach polskiej eksploracji Afryki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb



XX w. / Czworonogi w służbie totalitaryzmów

Obozowe bestie

Służący w obozie Auschwitz oficer SS Karl Hoecker ze swoim psem Favoritem

FOT. USHMM



Sebastian Reńca

Ze wspomnień więźniów niemieckich lagrów i sowieckich łagrów wyłania się koszmarny obraz psów wykorzystywanych do pilnowania i nękania zamkniętych tam ludzi. „Był oślepiony, miał wygryzione oczy [...], ciało psy wyszarpały kawałami, miał wyrwane genitalia" – pisał o jednej z ofiar więzień KL Stutthof

Psy były nieodłącznym elementem represji w niemal każdym niemieckim obozie. Oswald Pohl, który od kwietnia 1942 r. kierował Głównym Urzędem Gospodarki i Administracji SS, jeszcze w tym samym miesiącu wystosował list do wszystkich komendantów obozów. Pisał w nim, że system dozoru musi zostać zróżnicowany poprzez wprowadzenie „posterunków konnych", a przede wszystkim ma polegać na „wykorzystaniu psów stróżujących". Jednak – jak pisze Jan Mohnhaupt w książce „Zwierzęta w Trzeciej Rzeszy" – „w tym momencie wojsko i policja już dawno się nimi posługują. W 1937 roku przełożony Pohla, Heinrich Himmler, wydał rozkaz zwiększenia stanu liczebnego psów policyjnych. Zgodnie z jego zarządzeniem Pohl stworzył własną formację szkolenia psów w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, na północ od Berlina".

Mohnhaupt opisał m.in. historię Barry'ego, mieszańca bernardyna „wielkiego jak cielak" z obozu w Treblince. Na ogół „poczciwe zwierzę" zajmowało się wylegiwaniem w słońcu, a gdy podszedł do niego jakiś więzień, pies dawał się głaskać. Barry zamieniał się jednak w bestię w obecności swojego właściciela – esesmana Kurta Franza. „Gdy tylko Franz napotka więźnia, który nie zachowuje się zgodnie z jego oczekiwaniami, wystarczy, że powie: »Człowieku, bierz tego psa«, i Barry gryzie" – pisze Mohnhaupt.

Stefan Korboński, jeden z delegatów rządu RP na kraj, był nie tylko żołnierzem, konspiratorem i politykiem, lecz także beletrystą. W jednym ze swych opowiadań opisał historię owczarka niemieckiego, szkolonego przez esesmana do atakowania więźniów Treblinki i przegryzania im gardeł. Być może Barry był pierwowzorem „wilczura", którego przewodnik został nazwany przez Korbońskiego Franzem Bauerem. Pies występujący w „Echach Treblinki" „był swego rodzaju znakomitością, gdyż wśród wilczurów obozowych wyróżniał

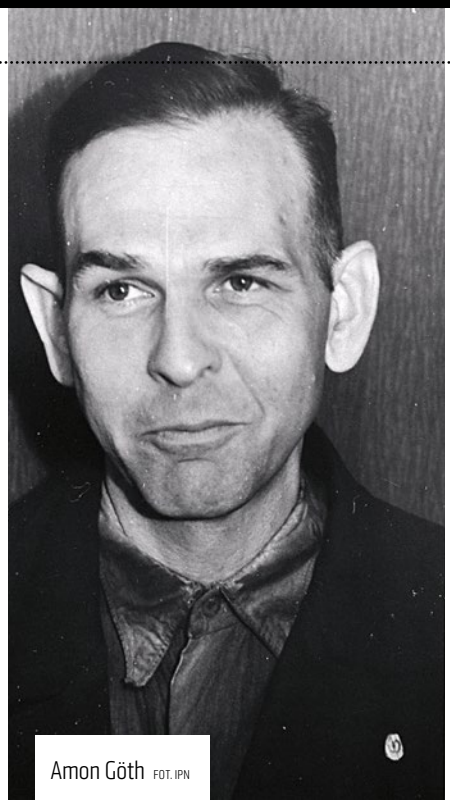
eprasa.pl 318279d0bb

się szczególnym instynktem morderczym i posiadał rekord zagryzionych więźniów". Gdy któregoś dnia pies rzucił się na więźnia bez rozkazu danego mu przez esesmana, ten wpadł w szał i zaczął okładać szpicrutą warczące na niego zwierzę. To, że pies pokazał mu kły, było sygnałem dla Bauera, że dzieje się coś niedobrego.

Esesman zabrał więc zwierzę do weterynarza, który wydał diagnozę: pies, szkolony do zabijania, zapadł na chorobę psychiczną. Lekarz zasugerował zabranie psa z obozu. Po powrocie do obozu Bauer znalazł więźnia, który na wolności był weterynarzem. Od teraz miał on się przeprowadzić do majątku poza obozem i tam opiekować się owczarkiem. Gdyby więzień zechciał uciec, wtedy mieli zginąć jego dwaj synowie, również siedzący w Treblince. Gdy jednak synowie i tak zginęli, ich ojciec postanowił uciec, ale wcześniej znalazł manekina, którego ubrał w esesmański mundur, i wyszkolił psa, by rozrywał gardła Niemcom z czapkami z trupimi czaszkami. Bauer zginął zagryziony przez własnego psa.

Obozowe „stado"

W płaszowskim obozie, w którym panem życia i śmierci był jego komendant Amon Göth, postrach siały jego dwa psy – dog i mieszaniec owczarka niemieckiego. Rolf i Ralf były wytresowane w mordowaniu więźniów. Gdy dwóch więźniów tamtejszego obozu przekupiło ukraińskich strażników, by ci umożliwili im przeniesienie do innego obozu, komendant się o tym dowiedział i rozkazał swym psom rozszarpać „przestępców" w pasiakach. Więźniowie, którzy widzieli tę scenę, wspominali, że Rolf i Ralf wyszarpywały z biedaków „całe kawały mięsa". Płaszowski więzień Mietek Pemper opowiedział o tym zdarzeniu Stevenowi Spielbergowi. Reżyser jednak nie pokazał tego w „Liście Schindlera". Spielberg uznał, że ta i inne sceny są zbyt makabryczne, by znalazły się w filmie. Göth sam uczył swe psy atakowania i zagryzania



Amon Göth FOT. IPN

więźniów. Komendant czasami zabierał je na „polowania" w obozie.

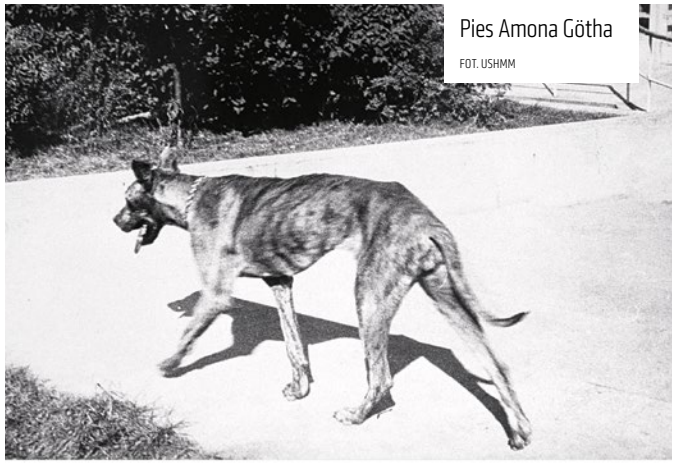
Rudolf Höss, pierwszy komendant KL Auschwitz i twórca tego obozu, wspominał, że Reichsführerowi SS Heinrichowi Himmlerowi marzyło się takie wytresowanie obozowych psów, by nieustannie otaczały więźniów, podobnie jak owczarki strzegące stada owiec. Sądził, że „jeden strażnik z kilkoma psami byłby wówczas spokojnie w stanie nadzorować nawet stu więźniów. Przeprowadzone próby nie dawały jednak żadnych wyników" – pisał w swej autobiografii Höss.

Komendant Auschwitz żalił się, że „psia kompania" w obozie „była z pewnością, jeżeli chodzi o materiał żołnierski, najbardziej doborowa, ale w sensie negatywnym". Esesmani skierowani do pracy z psami byli najgorszego sortu, na bakier z dyscypliną. „Albo bawili się z psami, albo leżeli w jakiejś dziurze i spali, pies budził ich przecież przy »zbliżaniu się wroga«, lub też zabawiali się rozmową z nadzorczyniami czy też więźniarkami" – relacjonował komendant. Gdy esesmani nudzili się, dla zabawy szczuli psami więźniarki. Höss podkreślał, że było to… zabronione, ale esesmani i tak unikali kary, ponieważ tłumaczyli się tym, że pies sam rzucił się na więźniarkę na skutek jej podejrzanego zachowania albo że zerwał smycz.

Pewnego dnia w KL Stutthof więźniowie musieli przejść obok człowieka, który próbował uciec z obozu. Esesman mówił podniesionym głosem: „Tak wygląda uciekinier. Tak będzie wyglądał każdy, kto spróbuje uciekać". Jak wyglądał tamten więzień w postrzępionym pasiaku? „Był oślepiony, miał wygryzione oczy, pasiak wisiał na nim w strzępach, więzień był prawie nagi, ciało psy wyszarpały kawałami, miał wyrwane genitalia" – wspominał Teodor Kulka. Tamten uciekinier chciał schronić się na drzewie, ale psy i tak go dopadły i pogryzły.

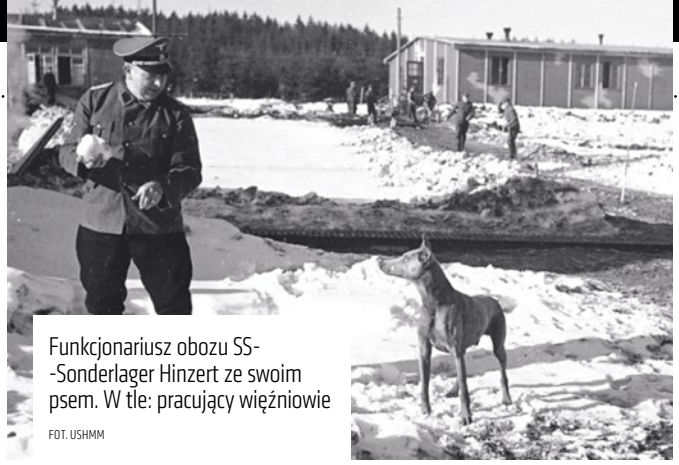
„Sytniej niż więźniowie"

„Pan wyciągnął ku niemu obrożę. Rusłan skwapliwie nadstawił łeb i zastrzygł uszami, reagując na dotknięcie rąk pana. Ręce te zapięły sprzączkę, sprawdziły, czy nie jest za ciasno, i zaczepiły karabinek za kółko. Potem pan nawinął trochę smyczy na rękę, a koniec przyczepił sobie do pasa. W ten sposób przez całą służbę byli ze sobą związani i nie mogli się wzajemnie zgubić. Wolną ręką pan podrzucił automat, chwycił go za pas i zarzucił na ramię zakopconą lufą w dół. Rusłan jak zwykle zajął miejsce u lewej nogi pana" – pisał Gieorgij Władimow w „Wiernym Rusłanie". To powieść wyjątkowa, będąca świadectwem zniewolenia



Pies Amona Götha FOT. USHMM

eprasa.pl 318279d0bb



Funkcjonariusz obozu SS-Sonderlager Hinzert ze swoim psem. W tle: pracujący więźniowie FOT. USHMM

nie tylko ludzi, lecz także zwierząt. Psów, których tak jak w niemieckich lagrach, nie mogło zabraknąć w sowieckich łagrach.

Gdy zostaje zlikwidowany obóz, w którym służył Rusłan ze swoim panem, pies otrzymuje wolność. Ale czy jej chce? Całym życiem Rusłana był obóz i pilnowanie więźniów. Odróżniał nawet „ucieczkę indywidualną" od „zbiorowej". Wówczas, gdy podnoszono alarm, „było zawsze dużo hałasu i nerwowej bieganiny, panowie dlaczegoś wrzeszczeli na siebie, psy też obrywały za nic i wyprowadzone z równowagi zaczynały się gryźć. Dopiero kiedy zaczynał się pościg, wszystko się uspokajało". Bez tej pracy życie Rusłana straciło sens. Bo czyż można odzyskać wolność w kraju będącym jednym wielkim więzieniem?

O psach na służbie w łagrach pisał również Aleksandr Sołżenicyn w swoim „Archipelagu GUŁag", podkreślając, że strażnicy pełnią służbę taką samą co psy, a ponadto pełnią ją w psim towarzystwie. Sołżenicyn zdradzał, że w Związku Sowieckim obowiązywał specjalny regulamin służby z psami, dlatego komisje oficerskie oceniały pracę każdego psa, „troskliwie badając, czy odznacza się wystarczająco dobrą ciętością". Według pisarza przed 1961 r., kiedy nastąpiła wymiana pieniędzy w ZSRS, utrzymanie szczeniaka kosztowało kilkanaście tysięcy rubli, bo – jaki dodawał pisarz – „wilczury żrą sytniej niż więźniowie".

Gdy na początku lat 60. inny pisarz, Anatolij Marczenko, trafił do łagru, zastał w nim powszechny głód wśród więźniów. Jego dzienna norma żywnościowa wynosiła 2400 kalorii i składało się na nią ok. 800 gramów chleba, pół kilograma zazwyczaj zgniłych warzyw, 100 gramów najczęściej zepsutego dorsza oraz 60 gramów mięsa. Marczenko wspominał, że w ciągu sześciu lat spędzonych w obozach dwukrotnie zjadł chleb z masłem, a stało się to podczas widzeń. Zjadł również dwa ogórki, jeden w 1964, a drugi w 1966 r. O jabłkach czy pomidorach mógł tylko pomarzyć. Dla porównania: obozowe psy strażnicze otrzymywały wówczas codziennie prawie pół kilograma mięsa. Oczywiście życie psa było cenniejsze niż życie katorżnika.



Więźniowie Dachau z zabitym przez nich po wyzwoleniu psem, jednym ze stu, które służyły w obozie FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

Sołżenicyn cytował w swym „Archipelagu GUŁag" więźnia, który żalił się towarzyszom: „Żyjemy wiele gorzej niż psy. Pies ma jeden numer na obroży, a my cztery. Psa karmi się mięsem, a nas rybimi ośćmi. Psa do karceru się nie wsadza! Do psa z wieży się nie strzela! Psu nie można wlepić ćwiary!" („Ćwiara", czyli 25 lat łagru).

„Baraninka" z kociołka

Nie ma się co dziwić, że psy były czasami zabijane przez wygłodniałych więźniów. Gustaw Herling-Grudziński wspominał, że zimą, kiedy w łagrze pojawiły się pierwsze oznaki wielkiego głodu, gdy otrzymywana zupa była rzadsza, nie dawano już do podziału ani trzeciego kotła, ani śledzi, w obozie było coraz więcej więźniów cierpiących na kurzą ślepotę wywoływaną niedoborem jedzenia, a przede wszystkim witaminy A. Ponadto ludziom puchły nogi, a słabsi tracili przytomność w czasie pracy. Herlingowi-Grudzińskiemu „śniły się wówczas sceny erotyczno-ludożercze; miłość i głód wróciły do swego wspólnego pnia biologicznego i wyzwoliły z najgłębszych zakamarków podświadomości kobiety ulepione z surowego ciasta, pokąsane w niesamowitych orgiach, ociekające krwią i mlekiem, oplątujące rozpaloną głowę ramionami pachnącymi jak świeże pędy" – pisał w „Innym świecie".

Któregoś wieczora Dimka, współwięzień przyszłego pisarza, wszedł do baraku z tajemniczą miną, za chwilę wyciągnął zza pazuchy kawał krwistego mięsa, które przypiekł nad ogniem. Gdy mięso się upiekło, wybrańcy zasiedli do uczty. Herling wspominał dialog, który się wtedy wywiązał między nim a Dimką: „Niech on się tu modli – śmiał się szeptem, gdyśmy szarpali zębami łykowatą pieczeń – a my sobie tymczasem w czwórkę, haps, zabłąkanego pieska do latryny. Naturalnie – odpowiedziałem, śmiejąc się również – psy Panaboże pilnują na łańcuchach królestwa niebieskiego i nie zawieruszą się nigdy do obozu".

Podobną scenę opisał inny więzień sowieckich łagrów – Warłam Szałamow – w jednym ze swych „Opowiadań kołymskich", które zatytułował „Wolny dzień". Bohater, będący alter ego pisarza, wszedł do małej izby, będącej składem narzędzi w baraku, i zobaczył, jak dwóch starych więźniów bawi się ze szczeniakiem, owczarkiem wabiącym się Nord. „Szczeniak leżał na grzbiecie, popiskując i podrygując wszystkimi czterema łapami. Starszy z błatniaków przytrzymywał go za obrożę. Moje wejście w niczym im nie przeszkodziło, byliśmy z jednej brygady" – pisał Szałamow. Ufny szczeniak bawił się z urkami, przy okazji liżąc ich po gębach, w końcu jeden z nich, „trzymając lewą ręką szczeniaka za obrożę, prawą wyciągnął zza pleców topór i szybko, krótkim rozmachem, opuścił na głowę psa. Szczeniak szarpnął się, na lodowatą podłogę składu bluznęła krew". Chwilę później owczarka trafiło drugie uderzenie. Skóra ściągnięta z psa została zakopana, by nie było po zwierzęciu śladu, a mięso zwane „baraninką" ugotowano w kociołku na benzynowej

eprasa.pl 318279d0bb

maszynce. W innym tekście („Siergiej Jesienin i złodziejski Świat") rosyjski pisarz, charakteryzując błatniaków, notował: „Potrafią przygarnąć psa i natychmiast żywego rozszarpywać na kawałki – brak im moralnych przeszkód, a są przy tym ogromnie ciekawi, zwłaszcza jeżeli chodzi o to – »wyżyje czy nie wyżyje?«".

Oczywiście nie tylko łagrowe „mużyki" zajadały się psim mięsem. Więźniowie z głodu potrafili zjeść wszystko, co zresztą przyznawał Szałamow w opowiadaniu „Kurs": „Myśmy wszyscy jedli – jeżeli udało się dostać – koty, psy, wiewiórki, kruki i końską padlinę".

Umierający w łagrze z głodu, chorób i wycieńczenia pracą „dochodiaga", czyli więzień będący odpowiednikiem „muzułmanina" w szwabskim obozie, potrafił zjeść dosłownie wszystko, co wpadło mu w wychudzone dłonie. Szałamow w poetyckim portrecie takiego więźnia wspomniał również o znienawidzonych psach: „Wznoszę mój kielich ku leśnej drodze / Ku tym, co na niej padli / […] Dłoniom bez rękawiczek / Wodzie, którą piją ze starych cynowych puszek / Szkorbucie, który rozchwiewa im zęby / Zębom opasłych wilczurów, / Które budzą ich o świcie".

Zjadanie psów w sowieckich obozach nie było czymś wyjątkowym, ponieważ takie sytuacje miały miejsce również w lagrach. Więzień KL Auschwitz Wiesław Kielar wspominał w swej książce „Anus mundi", że któregoś dnia dostał od kolegi spory kawał mięsa. Blokowy odstąpił Kielarowi i jego kolegom swój piecyk, na którym smażono „dziczyznę". Zanim kacetnicy przystąpili do jedzenia, dowiedzieli się, że to psie mięso. Przewodniczką zwierzęcia była strażniczka, a pies siał postrach wśród więźniów. Któregoś dnia został znaleziony na drutach pod napięciem. Gdy komanda wyszły do pracy, esesmanka kazała wyłączyć prąd w ogrodzeniu, zdjąć zwierzę i je zakopać. Więźniowie to zrobili, ale gdy strażniczka się oddaliła, szybko odkopali psa, odkroili najlepsze kawałki mięsa i zakopali dół. Jedzenia było tyle, że na drugi dzień kawałki tego mięsa służyły za zakąskę do wódki, pitej przez więźniów wspólnie z esesmanami na imieninach kolegi Kielara. Strażniczka „Drechsler nigdy nie dowiedziała się, że jej ulubionego psa zjedli esesmani wspólnie z więźniami, popijając wódką. Musieli milczeć. Mścić się nie mogli, bo wstyd było przyznać się do czegoś podobnego" – pisał Kielar.



Powieść Gieorgija Władimowa o psie wartowniczym w łagrze i jego losach po zlikwidowaniu obozu FOT. REBIS

Psia tabliczka

Psy pracujące – stróżujące w sowieckich łagrach – były znienawidzone tak jak strażnicy. Gdy któremuś więźniowi lub więźniom udało się uciec z łagru, psy były najbardziej niebezpieczne, bo to one potrafiły wytropić uciekiniera i go rozszarpać. Sołżenicyn wspominał, że owczarki niemieckie były tresowane właśnie do tropienia zbiegów.

„Ani ogrodzenie z drutu kolczastego, ani płot czy mur nie były jedynymi wyznacznikami granic zony. W większości obozów uzbrojeni strażnicy obserwowali więźniów z wysokich drewnianych wieżyczek. Czasami obozu strzegły również psy służbowe mające swobodę ruchu wzdłuż metalowej liny otaczającej zonę. Psy, którymi zajmowali się specjalnie wyznaczeni strażnicy, uczono szczekać na zbliżających się do nich więźniów i tropić zbiegów" – pisze Anne Applebaum w „Gułagu".

Analogicznie do obozów koncentracyjnych psy nie tylko stróżowały w Gułagu, nie tylko tropiły więźniów, którym udało się uciec, lecz także towarzyszyły w ich konwojowaniu oraz na rozkaz swych sadystycznych „panów" gryzły lub zagryzały więźniów.

„Jeśli zbieg zostaje schwytany nie żywcem, to można go na kilka dni wystawić na pokaz – z gnijącą raną postrzałową, rozciągniętego obok stołówki obozowej, żeby więźniowie bardziej sobie cenili postną bałandę [marną zupę – przyp. S.R.]. Jeżeli zaś dał się capnąć żywcem, to można go postawić obok odwachu i kiedy mija go kolumna robocza – poszczuć psami. Te psy – dodawał Sołżenicyn – zależnie od rozkazu umieją dusić człowieka, umieją kąsać, a potrafią też tylko szarpać odzież, rozbierając delikwenta do goła".

Uciekinier, jeżeli przeżył i trafił z powrotem do łagru z jeszcze wyższym wyrokiem, niejednokrotnie musiał nosić na szyi tabliczkę z napisem: „Uciekłem, ale psy mnie złapały".

To kolejna analogia z niemieckim terrorem w kacetach. Adolf Gawalewicz, więzień KL Auschwitz, wspominał: „Zaraz przy wejściu do obozu, na prawo od bramy z napisem »Arbeit macht frei«, widoczne jest drzewo. To nie jest zwykłe drzewo! Pod nim stali zadręczeni rodzice i rodzeństwo więźnia, który stąd uciekł. Tu stali też ci, którym ucieczka się nie powiodła. Stali z odartymi psimi pazurami płatami skóry, trzymając w ręku tabliczkę z napisem »Hurra! Ich bin wieder da!« (Hurra, znów tu jestem) – ku przestrodze powracających z pracy drużyn roboczych".



Droga do łagru, więźniowie pilnowani przez strażników i psy. Rysunek Siergieja Korolkowa FOT. TOPFOTO/FORUM

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb

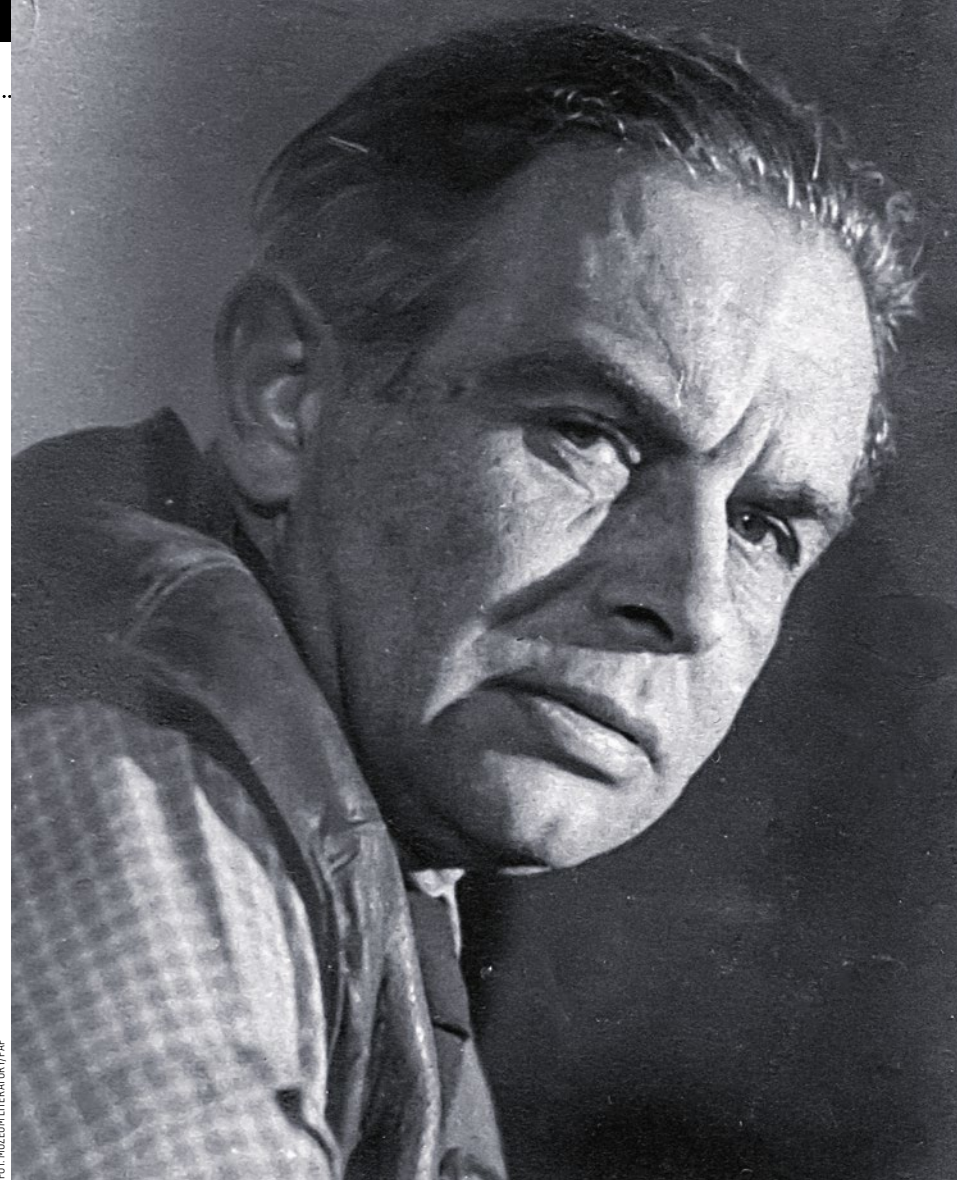


Krzysztof Masłoń

Jerzy Putrament słusznie zauważył, że tego poety nie trzeba do niczego zmuszać ani namawiać, bo on sam z siebie pisze dokładnie to, czego od niego oczekiwano

Był poetą z Bożej łaski. To nadużywane często określenie do Gałczyńskiego akurat pasuje jak ulał. Pozostawił po sobie tysiąc wierszy świadczących o jego niepospolitym talencie, wśród nich jednak wcale niemało i takich, na których podły czas ich powstawania odcisnął piętno nie do zatarcia. Bywa, że przechodzimy nad tym do porządku dziennego, nie przywiązując większej wagi do politycznych decyzji autora, któremu chyba zależało jedynie na tym, by jego twórczość była powszechnie znana i doceniana. Ze swej strony gotów był na najróżniejsze serwituty. Ładnie powiedział o nim Kazimierz Wierzyński, że przez całe życie szukał swej poetyckiej Farlandii, a że taka nie istnieje, nie mógł jej znaleźć, ale w poszukiwaniach nie ustawał. Tylko czy to szukanie niweczyć ma zdanie innego skamandryty, Jana Lechonia, który o Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim napisał wprost, że była to „mała kanalia o wielkim wariackim talencie”? Ukazanie się biografii twórcy „Serwus madonna” pióra Mariusza Urbanka („Gałczyński. Kanarek w klatce”, Iskry 2026) skłania do tego, by – który to już raz – spróbować na nowo ustosunkować się do tej kwestii.

Patrzący z dalekiej Ameryki na polskie powojenne sprawy Lechoń miał za złe Gałczyńskiemu utwory sławiące komunę. Charakterystyczne, że z identycznych „dokonań” usprawiedliwiał Tuwima, a te były, na domiar złego, pod względem artystycznym zupełnie chybione. Rzecz w tym, że w wojennej zawierusze przyjaciel Lechonia ze Skamandra swój



FOT. MUZEUM LITERATURY/PAP

1905–1953 / Serwituty Gałczyńskiego

Promienne pióro Mistrza Ildefonsa

eprasa.pl 318279d0bb

talent poetycki zatracił ze szczętem, podczas gdy Gałczyński po wojennej poniewierce wrócił do kraju pełen sił twórczych. Tu mu jednak pamiętano to, co pisał przed wojną ze szczególnym uwzględnieniem sławnego listu „Do przyjaciół z »Prosto z Mostu«" przez lata całe niepublikowanego w Polsce, a i dziś dostępnego czytelnikom jedynie dzięki Internetowi. Legenda jednak była wyjątkowo trwała wraz z hańbiącym poetę mianem czołowego polskiego antysemity.

Ów list „Do przyjaciół z »Prosto z Mostu« był – zdaniem Wojciecha Kassa, poety i dyrektora Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu – wyrazem goryczy. Przecież Gałczyński najbardziej chciał zostać przyjęty na dwór Mieczysława Grydzewskiego, »Wiadomości Literackich« i Skamandra. Odrzucono go, więc poszedł na dwór Piaseckiego [Stanisława – przyp. K.M.]. List to była zemsta. A ponieważ dwór Grydzewskiego tworzyli Żydzi, więc miał wydźwięk antysemicki".

Dziś „Do przyjaciół z »Prosto z Mostu«" nie daje się czytać. Że ma taki, a nie inny wydźwięk to jedno, ale drugie to jego bylejakość. Gałczyński był genialnym poetą, ale prozaikiem czy eseistą – takim sobie. Jego list jest napuszony, zalatuje młodopolszczyzną, razi pustosłowiem. Inna sprawa z takim np. wierszem jak „Polska wybuchła w roku 1937". Że populistyczny –

Od tych Stempowskich, od tych „znawców"
milszy nam sąd warszawskich krawców
ślusarzy, zdunów, prostych bab

– to pół biedy. Co jednak począć z kończącą go antyfoną?

Na tych co biorą wodę w usta,
na czytelników wuja Prousta,
na skamandrytów, na hipokrytów,
kalamburzystów rozmaitych
ześlij, zepchnij, Aniele Boży,
Noc Długich Noży.

Nie znajdziemy tego wiersza w pięciotomowych „Dziełach" Gałczyńskiego. Zadbała o to córka poety, Kira, która – jak wspomina Mariusz Urbanek – po jego tekście w „Polityce", napisanym w 50. rocznicę śmierci Gałczyńskiego i Tuwima, w którym m.in. opisał list „Do przyjaciół z »Prostu z Mostu«", zadzwoniła do niego z pretensjami, że w ogóle o nim wspomniał, „skoro dla twórczości jej ojca nie ma on żadnego znaczenia. Argumenty, że w tekście o relacjach między Tuwimem i Gałczyńskim wątek listu musiał się znaleźć z powodów oczywistych, nie przekonały córki.


Cena 50 gr.

Opieta poczitowa zlinczowa ryczałtem. WYDANIE R.

PROSTO Z MOSTU

TYGODNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY

Rok II. Warszawa, niedziela 24 maja 1936 r. Nr. 21 (75)

K. I. Gałczyński

Do Przyjaciół z „Prosto z Mostu"

Fratres mei dilecti, stabiles estote!

I.

VIRI FRATRES:

Już nie jestem samotny — bo jestem z wami i razem z wami pożywam chleb szczerości, panis sinceritatis.

A jeszcze onegdaj byłem jako noc w nocy i „strach piłem jak wino".

Nad latryną wesołko, w której wrzucony to parszywo stworzenie, ze dla całej kulturalnej śpiewanie poważny sobie na odrzenia poważnej kantyczki, bardziej rytmicznej, nit ponurej. Objaśnijmy, wytłumaczmy najciemniejszym, najgłupszym, najprowincjonalniejszym, czemu to tak brzydzimy

pek. I będę ze wszystkich dachów wykrzykiwał moje oskarżenie, aż dla całej kulturalnej Polski stanie się ono jasne i potrzebne jak słońce, aż jeknie w Berlinie wspaniały staruszek Brückner:

— Mój Boże, a tom dał się nabrać!"

Lutra chciałbym mieć głos trubalny, żeby wiat, trupy, jeszcze raz wskrzesić i gadać wam całą prawdę w oczy i niech was ta prawda po raz drugi zabije, o blandlokwentni truciciele talentów.

Uniłowskiego zadusiliście szarlatanami podstępnej reklamy, wielkie dzieło jest rzewien

artysta w sobie wymieni całodziennem, czujnem zmaganiem się, uporczywą, pełną czarnych klęsk i słodkich triumfów, walką o honor ludzki we mnie, o ambicję mej samotności ludzkiej, o dumę i ciągłość mego i kaleki jest w obliczu Morza, ale on jeden, tylko on jeden

jakiemiś monstrualnemi kwasami: naftaliną, molochronem, antipotynem, macklem, lilitem, japońskim gryphem, lebrowelem, cyrydelikonem, kolektury loterji, klimą, „marksizmem", pigułkami z zakonnikiem" — tego biedny „współczesności" — tego biedny Mocrulak nie czuje,

Nie ma on żadnego znaczenia. Argumenty, że w tekście o relacjach między Tuwimem i Gałczyńskim wątek listu musiał się znaleźć z powodów oczywistych, nie przekonały córki.

– Upewniam pana – powiedziała na koniec – że gdyby mój ojciec widział, co spotka Żydów w czasie drugiej wojny światowej, nigdy by takiego tekstu nie napisał.

Przerwała połączenie, gdy powiedziałem, że naprawdę bardzo chcę w to wierzyć. I wierzę. Ale napisał…".

Dał nam przykład Walter

Czytając biografię Mariusza Urbanka, pomyślałem sobie, że o sprawach dla mojej generacji i jeszcze przynajmniej paru roczników zupełnie oczywistych dziś należy pisać z najróżniejszymi odnośnikami, wyjaśnieniami, przypisami. Ot, spłodził swego czasu Gałczyński utworek „Zachęta dla hodowli" i wydrukował go w satyrycznych z nazwy „Szpilkach". Zachęcał w nim – ni mniej, ni więcej – do hodowli konopi. Większość młodych czytelników orzeknie zapewne, że poeta był prekursorem palenia gandzi. Tymczasem nie chodziło wcale o marihuanę, a o to, że konopie to taka wdzięczna roślina, z której prząśniczki uprzędą powrozy, jakże przydatne do powieszenia amerykańskich imperialistów winnych wojny w Korei. A więc kręć się, kręć, wrzeciono… I tak kręciło się w podobnych pisanych dla chlebka z masełkiem wierszykach Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, a to o tym, że gdy wrzuca do kubła stłuczoną szklankę, bardzo żałuje, że to nie hiszpański dyktator, gen. Franco, to znów o swoim żalu do skądinąd miłego jego sercu Beethovena, że ten przyszedł na świat w tym samym Bonn, gdzie rezyduje niemiecki kanclerz Adenauer, pogrobowiec Hitlera wyciągający łapska po nasze Ziemie Zachodnie. Itd., itp.

W 1948 r. swoją poezją uświetnił kongres zjednoczeniowy PPR i PPS, z czego powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Na początek Gałczyński z Tuwimem, Iwaszkiewiczem, Broniewskim i Ważykiem zapowiedź tego zjazdu skomentował jako mający dokonać się akt rewolucyjny przyspieszający bieg dziejów, a następnie wydał z siebie wyróżnioną w zamkniętym konkursie „Pieśń na zjednoczenie partii" ze słowami:

laur uwieńczy naszą walkę,
plon stokrotny wyda trud,
dał nam przykład Świerczewski – Walter,
jak się walczy za partię i lud.

Pieśni tej też nie znajdziemy w książkowych wydaniach poezji Gałczyńskiego, a sam kongres, cóż… Mariusz Urbanek przypomina anegdotę z tamtych lat – o dwóch partiach, które najpierw się zleją, a potem zesrają.

A swoją drogą, jeśli komuś wers „Pieśni na zjednoczenie Partii", o dającym przykład Świerczewskim-Walterze, coś tam przypomina, to nie jest przypadek. Zdaje się, że nie tak wiele znów brakowało, by Gałczyński zastąpił Józefa Wybickiego, a w polskim hymnie zamiast o Bonapartem śpiewalibyśmy o człowieku, który się kulom nie kłaniał.

W końcu niepoślednią rolę w edukacji polskiej dziatwy odegrało inne dzieło Konstantego Ildefonsa zatytułowane „Wszystko tobie ukochana ziemio", bardziej znane jako „Ukochany kraj". Z całą

eprasa.pl 318279d0bb

pewnością pieśń ta (z muzyką Tadeusza Sygietyńskiego, spopularyzowana przez zespół Mazowsze) częściej rozbrzmiewała na szkolnych apelach i akademiach niż nasz mazurek narodowy. Jak to leciało?

To dla ciebie najgorętsze słowa,
Czyste serca, siła wszystkich rąk.
To dla ciebie, piękna i Ludowa
Każdy dzień i każdy nowy dom.

A refren to już każdy pamięta: „Ukochany kraj, umiłowany kraj, ukochane i miasta, i wioski…". Kończąc wątek hymnu, dodam, że „Odę do radości" do słów Fryderyka Schillera przyswoiliśmy sobie w przekładzie nie kogo innego, a Gałczyńskiego właśnie. „O radości, iskro bogów / kwiecie Elizejskich Pól…" – to on, to także on.

Oto nowe stulecie

A do listów, pisanych i prozą, i poezją, Konstanty Ildefons szczęścia nie miał. W listopadzie 1947 r. taki list napisał do niego Tuwim, a opublikował go ten rzekomo czczący Gałczyńskiego na kolanach „Przekrój". Było to potępienie wiersza „Pochwalone niech będą ptaki", kończącego się – przypomnę – następująco:

O, pochwalony każdy ból stokrotnie
i każdy cios, byle męski –
i te pelargonie na wysokim balkonie,
do których zawsze będę tęsknił.

Pochwalone: grzesznik i święty,
i serce ludzkie jak morze odkryte.
A nade wszystko okręty
Rzeczpospolitej.

Wydawać by się mogło, że przechrzczonemu na komunizm Tuwimowi mogła nie przypaść do gustu bezprzymiotnikowa Rzeczpospolita, ale – przynajmniej oficjalnie – chodziło o coś innego, a mianowicie o wyraźne oddzielenie świętych od grzeszników. A zatem: „pochwalony święty! Ale grzesznikom – przekleństwo, nienawiść, walka – aż do zwycięstwa". I przypominał jeden poeta drugiemu poecie o spoczywających na nim obowiązkach – „wobec zwykłych ludzi". A obowiązki te są „tym większe, im większy jest jego talent. Bo słowo poety więcej znaczy niż słowo innych, może być groźne, gdy zostanie źle odczytane".

Leopold Tyrmand w „Dzienniku 1954" tak opisywał ukazujący się w Krakowie


1903 1953

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

LEKCJA BOLSZEWICKA

BERTOLD BRECHT

POCHWAŁA PARTII

Wiersz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego na pięćdziesięciolecie KPZR FOT. DOMENA PUBLICZNA

tygodnik: „»Przekrój« zwracał się na Wschód, jego adresatem było obskurantwo marksistowskie, chciał nieść do Nowosybirska Picassa, Steinberga, André François, Uniechowskiego, Lengrena, teatrzyk »Zielona gęś«, wiersze Gałczyńskiego, Miłosza i Iwaszkiewicza, reportaże Wionczka, muzykę jazzową, felietony Grodzieńskiej, Wiecha i moje o sporcie". Tak było, przynajmniej na początku „Przekrojowej" historii, która przekształciła się w legendę o budowaniu „Przekrojowej" cywilizacji.

Mariusz Urbanek w książce „Gałczyński. Kanarek w klatce" pisze: „»Jedyne takie pismo na 800 milionów Słowian«, jak mówił o tygodniku jego redaktor, było częścią frontu ideologicznego nowej władzy. Eile to wiedział, postanowił jednak, że będzie podawać co tydzień antidotum na aplikowany im jad. Gałczyński z jego absurdalnym i niepokornym humorem miał mu w tym pomóc". I pomagał gorliwie, dostarczając i owego antidotum na komunistyczny jad, i samą komunistyczną truciznę. Ci sami czytelnicy otrzymywali od niego purnonsensową „Zieloną Gęś" i nierzadko pachnące bardzo niepięknie „Listy z fiołkiem".

Ponoć przez siedem lat współpracy z „Przekrojem" opublikował Gałczyński w tym piśmie 377 utworów. Uważał się za „Przekrojowego" autora i choć nie był związany z redakcją żadną etatową umową, to w korespondencji z Marianem Eilem sumitował się, gdy cokolwiek wydrukował na innych łamach. Inna sprawa, że bywały to teksty w rodzaju „Przed Mauzoleum Lenina":

Ileż by jeszcze trzeba trąb, żałobnych nut!
Bo, że umarł, to ciągle boli.
Ten, który centrum globu przesunął na wschód
ramieniem proletariackiej woli.
Przysięgam, już nigdy nie będę słaby,
pióro w promień przemienię i niech się promieni.
Oto nowe stulecie. A tylko dwie sylaby:
LENIN.

A korespondencja Gałczyńskiego z Moskwy, w której porównywał stolicę Kraju Rad do Taorminy, bo je się w niej równie dużo pomarańcz jak na Sycylii, ukazała się także nie w „Przekroju". Dzięki czemu łatwiej udawać, że pismo to było omalże opozycyjne.

Kremlowi na sławę

Gałczyński to obok znanego z „Przekroju" „Teatrzyku Zielona Gęś" także istniejący bynajmniej nie na papierze Kabaret Siedem Kotów. To tam narodziła się postać Hermenegildy Kociubińskiej i poszybował pod niebiosa wielki aktorski talent Ireny Kwiatkowskiej, która jednych wzruszała, drugich gorszyła, a jeszcze innych bawiła sławną „Sierotką":

Isia ma tatusia,
Busia – mamusię,
Cicia – ciocię, Zosia – stryja,
ja jestem niczyja:

biedna sierotka,
maskotka, idiotka,
tata zginął, mama w Kopenhadze,
cóż ja na to poradzę.

Ryszard Marek Groński napisał, że gdyby nie Siedem Kotów, polski kabaret byłby „trupiarnią przedwojennego sentymentu". Nadto to obcesowe i w swej istocie niesprawiedliwe, ale już w powiedzeniu, że bez „Zielonej Gęsi" i Siedmiu Kotów nie mielibyśmy nie tylko Kabaretu Olgi Lipińskiej, lecz także Kabaretu Starszych Panów, tkwi całkiem pokaźne źdźbło prawdy.

Jeden z najbardziej znanych utworów Gałczyńskiego, „Ballada o trzęsących się portkach", ze słowami:

Gdy wieje wiatr historii,
ludziom jak pięknym ptakom,
rosną skrzydła, natomiast
trzęsą się portki pętakom,

przywoływany bywa na okoliczność postalinowskiej odwilży, tymczasem – precyzuje Urbanek – „ukazał się w dziewiątym numerze »Szpilek« z 1953 roku. Dopiero tydzień później umarł Stalin, nie ma więc pewności, czy wiatr historii, o którym pisał Gałczyński, nie był

eprasa.pl 318279d0bb



Irena Kwiatkowska i Mariusz Dmochowski w sztuce „Dorożka Hermenegildy Kociubińskiej", Teatr Nowy, Warszawa 1975 r. FOT. NAC, EDWARD HARTWIG

przypadkiem tym wiatrem, który wywołał Józef Wissarionowicz, »chorąży pokoju i nauczyciel postępowej ludzkości«. I czy ludzie, którym rosły skrzydła akurat przy nim, byli na pewno piękni".

Piękny na pewno nie był Adam Ważyk, zdaniem Leopolda Tyrmanda człowiek w wieku przydrożnego kamienia, o powierzchowności karła i maszkary. Za to był szarą eminencją literatury polskiej, naczelnym „Twórczości" i najgorętszym propagatorem socrealizmu. A to on w 1950 r. na zjeździe Związku Literatów Polskich wśród licznych grzechów Konstantego Ildefonsa wyliczył mu „lamus szlacheckiego baroku z antycznymi bogami, pstrokaciznę cudzoziemskich słówek, wyprzedaż neoromantycznej starzyzny poetyckiej, cygańskie antyfilisterskie facecje", ale że nie chciał być – jak pisał Jerzy Waldorff – „zbyt okrutny", zalecił jednie, by „Gałczyński ukręcił łeb temu »rozwydrzonemu kanarkowi«, który zagnieździł się w jego wierszach".

To był wyrok, którego – jak się okazało – nie były w stanie odwrócić pisane przez poetę – cytuję Mariusza Urbanka – „wiernopoddańcze peany na cześć Lenina, Armii Czerwonej i Marcelego Nowotki, po emigracji Czesława Miłosza ogłosił »Poemat dla zdrajcy«, a biskupów porównywał do analfabetów". Po półtora roku kilku ludziom mającym jeszcze resztki szarych komórek zaświtało w mózgach przypuszczenie, że ten poeta nawet w kompletnie niesprzyjających poezji warunkach socrealizmu potrafi powiedzieć coś sensownego, co nie udaje się całej sforze literackiej tłuszczy. I skazywanie go na literacką banicję jest strzałem w stopę, a może nawet w głowę. I to nie przypadek, że tym, który odtrąbił odwrót, przywracając Gałczyńskiego do łask (może nie w pełni, ale zawsze), był Jerzy Putrament, który słusznie zauważył, iż tego poety nie trzeba do niczego zmuszać ani namawiać, bo on sam z siebie pisze dokładnie to, czego od niego oczekiwano.

To, a nawet więcej. Bo żeby wpaść na pomysł, by znanych z mitologii rzymskiej Kastora i Polluksa zapisać do Związku Walki Młodych, trzeba było mieć nie lada wyobraźnię. A tej poecie nie brakowało, co udowodnił wierszem „Służba Polsce". Wcześniej w innym podobnie zgrabnym kawałku „Dwie gitary" pisał prześlicznie:

Dwie gitary za ścianą
zagadały, zabrzękły,
a ta druga, że Wawel,
a ta pierwsza, że Kreml,
Wawelowi na sławę
I Kremlowi na sławę,
czerwień! czerwień! ta pierwsza,
druga – czerwień i biel.
Świątek pomalowany na czerwono.

Jakoś przypomniała mi się w tym miejscu znacznie późniejsza, bo z roku 1964, piosenka śpiewana przez rozpoczynającego wtedy swą wielką karierę estradową Bogdana Łazukę. Song zwał się „Andriusza" i zaczynał się tak:

Tam, gdzie ziemia nadwołżańska sławna
Gdzie szeroki i bogaty kraj
Tam Andriusza czeka nas od dawna
W samowarze kipi dla nas czaj.

A dalej był refren ze słowami: „A kto czaju nie wypije / czaj czaj czaj / nie wie jak się dobrze żyje / czaj czaj czaj. // Bo najlepszy w świecie trunek / czaj czaj czaj / Na tęsknotę i frasunek / czaj czaj czaj". No, koszmar. Ale to był Tadeusz Urgacz, a nie Konstanty Ildefons Gałczyński, poeta z Bożej łaski.

Ten nie żył już od 6 grudnia 1953 r. Nie dożył 49. roku życia. Pochowano go na Powązkach, ale w bocznej alei. Bez wymarzonego przez wdowę po poecie, Natalię, kwartetu smyczkowego, choć z „Arią" Bacha graną przez syna dozorcy kamienicy, w której mieszkał. Trumnę wystawiono w ceglanej budzie na końcu cmentarza. Jedyny krzyż przyniósł minister kultury, Włodzimierz Sokorski – Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Wdowa nie wiedziała, co z nim zrobić, więc oddała go córce. Podobno Stefan Kisielewski powiedział Jerzemu Waldorffowi: „Przecież to był wielki poeta, więc musieli go chować po cichu, żeby nie drażnić małych".

Ten sam zaprzyjaźniony z Gałczyńskim od przedwojnia Waldorff wyrzucał po latach córce poety, Kirze, że „przerobiła Konstantego na drewnianego świątka pomalowanego na czerwono". Kira, rzeczywiście, cenzurowała rodzicielską twórczość, reglamentując także informacje biograficzne, niepasujące do wizerunku kochającego męża i ojca. Ale malować go na czerwono nie musiała. On sam w tej materii uczynił wystarczająco dużo, choć fotografii Stalina nie miał do śmierci na biurku, co sugerowała niechętna mu Ola Watowa.

A który wiersz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego jest dziś najlepiej znany? Zaryzykowałbym twierdzenie, że „Rozmowa liryczna", uwielbiana przez zakochane nastolatki:

– Powiedz mi, jak mnie kochasz.
– Powiem.
– Więc?
– Kocham cię w słońcu i przy blasku świec.
Kocham cię w kapeluszu i w berecie.
W wielkim wietrze na szosie, i na koncercie.
W bzach i w brzozach, i w malinach, i w klonach.
I gdy śpisz. I gdy pracujesz skupiona.

I tak dalej, i tak dalej. Na zdecydowanie wyższym poziomie stoi inne znane dzieło poety „Pieśni", których fragmenty pt. „Ocalić od zapomnienia" otrzymały swoje życie dzięki pamiętnej interpretacji Marka Grechuty. Ale umyka nam ten fakt, że zrodził je socrealizm i utrzymane są w tej właśnie poetyce, o czym przekonuje ten fragment „VI Pieśni":

Choćby i po razy tysiąc
osaczały nas trudności,
my idziemy blaskiem bijąc
w urodę maszyn i roślin.

Szerokiej drogi!

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb



Żołnierze Afrika Korps. W jej szeregi wcielano przymusowo Polaków z Pomorza i ze Śląska FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Książka miesiąca / Piotr Zychowicz o Polakach

Piórem w polskie mrowisko

Niemieccy żołnierze zamknięci w obozach jenieckich nie mieli dla nich żadnej litości. Gdy tylko dowiadywali się, że Polacy w mundurach Wehrmachtu przechodzą na stronę aliantów, zaczynali się nad nimi znęcać.

Pułkownik Andrzej Liebich tak opisywał sceny, które rozegrały się w obozie jenieckim w Wadi Zarga w Tunezji: „3 czerwca 1943 r. nastąpiło zrywanie orzełków niemieckich z mundurów i czapek Polaków. Potem była komenda »Marsch« i zaczęło się bicie Polaków. Większość ratowała się ucieczką ku bramie. W bramie stał Unteroffizier Ernst Göpfert i ciężką pałką bił każdego z Polaków przechodzących przez bramę". Ale bywało jeszcze gorzej: „Zaczęło się bicie. Będący w tym rejonie wartownik angielski w ogóle nie reagował na to wszystko, co widział. Gdy Polacy biegli gankiem około 300 metrów do głównej bramy, Niemcy rzucali w nich kamieniami i wszystkim, co było pod ręką, między innymi puszkami z piaskiem i palącą się benzyną, które otrzymywali dla gotowania strawy".

Trudno się dziwić, że Polacy z Pomorza i Śląska, którzy służąc pod przymusem w Afrika Korps, trafili do alianckiej niewoli, prezentowali tu różne postawy. Niektórzy z nich widząc, co spotyka ich kolegów, którzy zasygnalizowali chęć przejścia do polskich jednostek, woleli nie ryzykować i pozostawali w obozach jenieckich. Tym bardziej że początkowo – jeszcze w Afryce Północnej – i Brytyjczycy, i Amerykanie nie za bardzo rozumieli, o co chodzi polskim wojskowym, którzy chcieli wyciągać z obozów jenieckich swoich rodaków zmuszonych do służby w Wehrmachcie. Żołnierz w niemieckim mundurze był dla nich wrogiem i tyle. Co to w ogóle za pomysł, żeby wyciągać takich ludzi i dawać im do rąk karabiny?

Piotr Zychowicz przywołuje w swojej książce ciekawą anegdotę, która pokazuje, jak zaskakująca była ta sytuacja dla naszych sojuszników. Już podczas walk we Włoszech gen. Władysław Anders rozmawiał z jednym z angielskich dowódców.

– Przykro mi, że poniósł pan tak wysokie straty – powiedział Anglik.

– Tak, to wielka tragedia – odpowiedział gen. Anders. – Na szczęście mam skąd wziąć nowych żołnierzy i uzupełnić luki w szeregach.

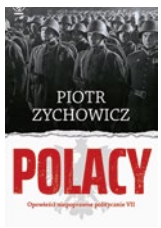
– Skąd? – dziwił się Anglik.

– Jak to skąd? Z armii feldmarszałka Kesselringa.

W najnowszej książce Piotra Zychowicza nie mogło zabraknąć tego fragmentu trudnej historii Polaków żyjących na ziemiach przyłączonych do III Rzeszy, których Niemcy zagonili w szeregi swojego wojska. I jak zwykle nasz redakcyjny kolega opowiada o tych zagadnieniach w sposób, który pozostaje w pamięci. Podobnie wyglądają zresztą inne rozdziały tej książki. Weźmy choćby jego historyczne śledztwo w sprawie prawdziwej liczby ofiar, które Polska poniosła w trakcie drugiej wojny światowej. Tytuł tego tekstu może się wydawać wielu czytelnikom obrazoburczy: „Mit sześciu milionów". Bo przecież ta liczba – 6 028 000 – wciąż wydaje się wielu Polakom świętością nie do ruszenia. A jednak okazuje się, że widać tu same znaki zapytania.

Nawet jeżeli nie zgadzamy się ze wszystkimi tezami autora (ja sam nieraz polemizowałem z nim w sprawie konsekwencji potencjalnego sojuszu II RP z III Rzeszą), to trzeba przyznać, że wywoływane przez niego co rusz dyskusje pobudzają do myślenia. Dla wszystkich, którzy po kupieniu „Polaków" poczują niedosyt, mam dobrą wiadomość: na początku przyszłego roku ukażą się „Polacy 2". ©℗

Piotr Włoczyk



PIOTR ZYCHOWICZ
„POLACY. OPOWIEŚCI NIEPOPRAWNE POLITYCZNIE", T. 7
REBIS

eprasa.pl 318279d0bb

Światy, których nie ma

Gdyby historię Ziemi porównać do trwającego jeden dzień filmu, to dzieje człowieka umieszczone byłyby dopiero na samym końcu, przez ułamek sekundy, przez kilka mignięć klatek. Co więcej, „wydarzenie zwane masowym wymieraniem, czyli wyginięcie pterozaurów, plezjozaurów oraz wszystkich dinozaurów niebędących ptakami, nastąpiłoby zaledwie 21 sekund przed końcem tego filmu". Czy to więc możliwe, aby przez wcześniejsze niemal 24 godziny opowiadano nam o czymś, czego kompletnie nie znamy? To trudne do wyobrażenia.

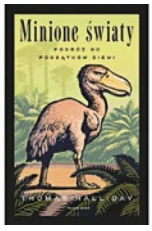
Rzadko zastanawiamy się nad tym, jak długa jest historia naszej planety, jak wiele gatunków zwierząt i roślin żyło przed nami. Nie zastanawiamy się tym bardziej nad tym, jak wyglądała Ziemia kilka czy kilkaset milionów lat temu, jaki był układ oceanów, mórz i lądów. To, jak ulotne, z perspektywy kilku miliardów lat, jest życie na Ziemi, uświadamia książka Thomasa Hallidaya.

Praca podzielona jest na 16 rozdziałów. Każdy opowiada nieco inną historię, która rozpoczyna się od znanego współcześnie stanowiska paleontologicznego. Przedstawienie go to punkt wyjścia do opowieści o czasach, z którego pochodzi. O stworzeniach, które wtedy żyły, ich zwyczajach żywieniowych, godach, chorobach, kolorze piór czy kształcie czaszek, a nawet relacjach „społecznych", o roślinach, które dawno temu wyginęły, a które dominowały niegdyś być może na sporej części superkontynentu Pangei, który istniał od 300 do 180 mln lat temu. Są to opowieści o ekosystemach, które nie istnieją: od czasów nieco nam bliższej epoki lodowcowej do najdawniejszych er czy nawet poprzedniego eonu.

Książkę Hallidaya należy traktować jak przewodnik przyrodniczy po odległych krainach, choć odległych bardziej w czasie niż przestrzeni, bo może się przecież zdarzyć, że czytamy o krajobrazie sprzed milionów lat, który dziś mamy dosłownie pod stopami.

„Niech nikt nie mówi, że przeszłość jest martwa. Przeszłość jest wszędzie w nas i wokół nas" – to zdanie, umieszczone na początku książki, jest też jej najlepszym podsumowaniem. Tej najodleglejszej przeszłości dotykamy każdego dnia: kopiąc w ogrodzie, chodząc po górach, kąpiąc się w morzu, a nawet pijąc poranną kawę. ©℗

Anna Szczepańska



THOMAS HALLIDAY
„MINIONE ŚWIATY. PODRÓŻ DO POCZĄTKÓW ZIEMI"
MARGINESY

USA po polsku

Widać, że Ameryka autentycznie fascynuje prof. Wojciecha Roszkowskiego. Dzięki temu w 250. rocznicę narodzin USA dostajemy do rąk książkę pełną ciekawych refleksji na temat „dorastania" tego supermocarstwa. W całej tej obszernej pracy mnóstwo jest też odnośników do naszej własnej historii – wydarzeń, gdy kolos zza oceanu wpływał, w mniejszym lub większym stopniu, na nasze dzieje. Ta książka z pewnością wejdzie do kanonu polskich opowieści o Ameryce. ©℗ ***(p.w.)***



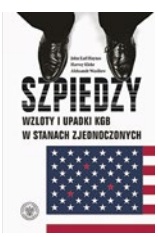
WOJCIECH ROSZKOWSKI
„SIŁA I WOLNOŚĆ. 250 LAT STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI"
BIAŁY KRUK

Polowanie na szpiegów

Każdy słyszał pewnie o słynnym „polowaniu na czarownice", czyli tropieniu sowieckich wpływów w Stanach Zjednoczonych, które przybrało na sile po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Wszechobecna podejrzliwość, przesłuchania, publiczne oskarżenia. Chociaż można to uznać za przejawy narodowej paniki, to dziś wiemy, że działania te nie były pozbawione sensu. O tym bowiem, jak daleko sięgały wpływy ZSRS w Ameryce, wiadomo dopiero od niedawna, m.in. dzięki byłemu oficerowi KGB, Aleksandrowi Wasiliewowi, który w pierwszej połowie lat 90. XX w. zyskał dostęp do tajnych akt NKWD. Natknął się w nich na szczegółowe opisy sowieckich operacji na terenie USA oraz nazwiska Amerykanów, których zwerbowano na szpiegów czy choćby nakłoniono do działań, które przynosiły korzyści Moskwie.

Wpływy sowieckich służb w USA były potężne, a infiltracja sięgała nawet wysoko postawionych polityków, znanych naukowców czy popularnych artystów. Nie oznacza to oczywiście, że wszystkie przedsięwzięcia sowieckich służb kończyły się sukcesem. W książce wiele miejsca poświęcono np. amerykańskiemu programowi atomowemu. Sowieci desperacko próbowali zdobyć informacje na temat badań i postępów prac nad bronią jądrową. W środowisku związanym z projektem „Manhattan" mieli swych informatorów, lecz klęską było dla nich np. to, że nie należał do nich główny twórca amerykańskiej bomby atomowej, Robert Oppenheimer. ©℗ ***(a.s.)***



JOHN EARL HAYNES, HARVEY KLEHR, ALEKSANDR WASILIEW
„SZPIEDZY. WZLOTY I UPADKI KGB W STANACH ZJEDNOCZONYCH"
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl 318279d0bb



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Złamane skrzydła

/ W dowództwie zapanowała dziwna niemoc. Szykowano się nieśpiesznie na wojnę w roku 1941, najwcześniej 1940 r., choć wszystko mówiło, że jest ona sprawą najbliższych miesięcy

W traumie Września 1939 poczesne, może najbardziej bolesne miejsce zajmuje katastrofalne nieprzygotowanie do wojny polskiego lotnictwa. Szczególnie myśliwskiego. Rzecz jest bolesna, tym bardziej że ci sami piloci później, w Wielkiej Brytanii, dali dowody niezwykłego profesjonalizmu i mistrzostwa. Wystarczyło, że dostali tam nowoczesne, sprawne samoloty, których własna ojczyzna zapewnić im nie umiała.

Stereotyp, którym wszystko tłumaczono przez dziesięciolecia – bo Polska była biedna i zacofana, a Niemcy potężne – szczęśliwie odłożono już do lamusa. Powstało sporo książek – Klaudiusza Klobucha, Edwarda Malaka i innych autorów – szczegółowo analizujących kolejne decyzje, podejmowane wedle zmieniających się wizji i pomysłów, które w końcu dały ten efekt, że zostaliśmy z niczym. Z bardzo dobrymi prototypami, przestarzałym sprzętem w linii, decyzją, by najlepsze produkowane w kraju myśliwce eksportować niemal do ostatniej chwili do Turcji i Rumunii, i spóźnionym zakupem samolotów zachodnich, które nie miały już szans dotrzeć przed wojną do kraju. A nawet gdyby jakimś cudem natychmiast po zakupie dotarły, nie było czasu na ich skuteczne wprowadzenie do linii.

Mogło być inaczej. Można było zamiast eksportować P-24, zastąpić nimi przynajmniej skrajnie przestarzałe i wyeksploatowane P-7, których wystawienie do walki było całkowitą kompromitacją i skazaniem na beznadziejną śmierć wielu znakomitych pilotów. Można było, skoro kluczowy dla zaplanowanej transformacji polskiego lotnictwa P-38 „Wilk", łączący funkcje szybkiego myśliwca i lekkiego bombowca nurkującego, opóźniał się z braku oryginalnego silnika „Foka" (prace nad nim zatrzymała tragiczna śmierć w Tatrach głównego konstruktora, Stanisława Nowkuńskiego), użyć dostępnych silników zagranicznych. Można było w porę wycofać się z budowy stu PZL-37 „Łoś", który był wspaniałym samolotem, ale utopiono w nim większość budżetu lotnictwa, a nie przydał się zupełnie na nic. Można było, jak to potem zrobili Rumuni, zamiast tworzyć bardzo ambitnie nowe prototypy, przeprojektować szybko P-24 na szybszy dolnopłat (IAR-80). Można wreszcie było szybko zmodernizować P-11 do wersji „Kobuz", montując nowe, mocniejsze silniki.

Część z tych działań możliwa była jeszcze pod koniec 1938 r., nawet na początku 1939 r., kiedy to kierujący Polską wiedzieli już doskonale, że wojna z Niemcami jest nieunikniona, a doktryna samodzielnych flot bombowych, które nie muszą się bać żadnych myśliwców, bo górują nad nimi siłą ognia, definitywnie zbankrutowała w Hiszpanii. Tymczasem w dowództwie zapanowała dziwna niemoc. Szykowano się nieśpiesznie na wojnę w roku 1941, najwcześniej 1940 r., choć wszystko mówiło, że jest ona sprawą najbliższych miesięcy, i choć możliwości nowoczesnych samolotów Luftwaffe pokazała w całej okazałości wspomniana już wojna w Hiszpanii. Swoje zrobiły personalne roszady i spory koterii w dowództwie. W efekcie znowu „poszli nasi w bój bez broni".

Sprawa jest przedmiotem dociekań znawców lotnictwa, analizujących szczegóły niewprowadzonych w porę do produkcji „Jastrzębia", „Wilka" i „Mewy", ale jest w niej coś więcej: jest częścią nienapisanej dotąd uczciwie historii spustoszeń, jakie przyniosła państwu polskiemu sanacja. ©℗

eprasa.pl 318279d0bb

/ Felieton



Piotr Semka

Tajemnica Horsta S.

Władze leżącego na wschodzie Niemiec Lipska podjęły niedawno decyzję o uhonorowaniu Horsta Floriana Siegela – wieloletniego naczelnego architekta miejskiego z czasów NRD. Jego imię otrzymać miał nienazwany dotąd plac mieszczący się w wybudowanej w latach 70. nowoczesnej dzielnicy Grünau.

Było to typowe blokowisko z epoki Ericha Honeckera, ale władze Lipska na fali nasilającej się od dłuższego czasu Ostalgii stały się skore do honorowania bohaterów epoki „socjalistycznego niemieckiego państwa robotników i chłopów". We wniosku przyjętym przez włodarzy Lipska napisano, że „proces sprawdzania tej osoby nie ujawnił żadnych faktów, które mogłyby uniemożliwić nadanie placowi imienia pana Horsta Siegela".

I wtedy jeden z internautów przypomniał esej amerykańskiego historyka Andrew Demshuka. Przy okazji badania dziejów architektury w Lipsku Demshuk natrafił na akta Stasi wskazujące, że kandydat na patrona lipskiego placu bynajmniej nie jest taki czysty.

Siegel by przedstawicielem pokolenia, które w dorosłe życie wchodziło już w NRD. Po ukończeniu szkoły podstawowej odbył praktykę murarską, a następnie jako wyróżniający się robotnik został zarekomendowany na studia architektoniczne w Weimarze. Od początku wiedział, że dobre układy z władzą oznaczają prężną karierę. W 1963 r., w wieku 29 lat, obronił doktorat, a już rok później wstąpił do komunistycznej partii SED.

W 1968 r. został głównym architektem Lipska, ale dziewięć lat później rozpoczął stałą współpracę z komunistyczną Stasi jako tzw. GMS – „Gesellschaftlicher Mitarbeiter für Sicherheit". Była to kategoria nieoficjalnych informatorów. Obejmowała ona ludzi znanych publicznie, którzy z własnej woli uznali za swój obowiązek informować bezpiekę o wszystkim, co mogło ją zainteresować. GMS stał o stopień niżej od IM („Inoffizieller Mitarbeiter"), czyli nieoficjalnego współpracownika. O ile IM dostawał regularnie konkretne zadania, o tyle z GMS-em oficer prowadzący spotykał się jedynie co jakiś czas, by odebrać meldunki dotyczące sytuacji w jego otoczeniu. Na terenie Lipska Stasi miało aż 421 GMS-ów.

O czym raportował Horst S.? Przykładowo: 12 grudnia 1979 r., w trakcie wizyty prowadzącego go oficera Stasi, główny architekt Lipska musiał ocenić cały kierowniczy personel swojego biura. Jego opiekunowi ze Stasi zależało na dokładnej analizie, kto ma jaki charakter, jakie ludzie prezentują poglądy ideologiczne i jaką pozycję zajmują w grupie. Siegel zarzucił wtedy jednemu z podwładnych egocentryczność, innego skrytykował za „sporą powściągliwość społeczną", a jeszcze inna podwładna została zdefiniowana przez niego jako „zbyt miękka".

Każda z tych ocen mogła zrujnować komuś karierę zawodową, przetrącić życie. W 1985 r. Stasi uznała, że informacje Siegela przestały być atrakcyjne, i zakończyła współpracę. Na „pożegnanie" otrzymał kosz upominkowy od oficera Stasi z lipskiej centrali. Przypomnienie szpiclowskiej przeszłości Siegela wysadziło w powietrze plany uhonorowania go własnym placem. Uchwała lipskich władz trafiła do kosza.

Dlaczego o tym piszę? W Polsce powróciła tendencja, aby współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa uważać za mało ważny szczegół. Gdy w kwietniu tego roku zmarł były minister finansów Andrzej Olechowski, w okolicznościowych tekstach większość mediów starannie przemilczała fakt, że był on tajnym współpracownikiem komunistycznej bezpieki. Co więcej, można podejrzewać, że to właśnie dzięki wsparciu SB mógł on rozpocząć pracę w sekretariacie ONZ-owskiej agencji UNCTAD. A potem mogło mu to pomóc w uzyskaniu w latach 1985–1987 lukratywnej posady pracownika Banku Światowego. Wypadałoby też postawić pytanie: Na ile te znajomości odegrały rolę w jego karierze politycznej? Ale u nas w odróżnieniu od RFN o przeszłości Olechowskiego i jego współpracy z bezpieką nikt nie chce pisać.

Niestety, obawiam się, że ta tendencja będzie się nasilać. Bo PRL był przecież taki zabawny… Po co grzebać w tym mule? ©℗

eprasa.pl 318279d0bb



Adolf Boy, „Bitwa pod Oliwą 1627 r.”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAN

XVII w. / Polacy na morzu

Oliwa na wierzch nie wypływa



Grzegorz Janiszewski

Wygrana w bitwie morskiej pod Oliwą mogła być impulsem do zmiany sztuki wojennej i gospodarki Rzeczypospolitej. Szansy tej kompletnie nie wykorzystano. Szlacheccy demokraci ciągle wierzyli w potęgę swoich skrzydlatych jeźdźców i geniusz hetmanów. Morza unikali jak ognia

Szwecja na początku XVII w. była średniej wielkości państwem, położonym na północnych krańcach Europy. Miała zaledwie ok. 1,3 mln mieszkańców. Sztokholm był wówczas niewielkim portowym miastem, liczącym 9 tys. mieszkańców. Rzeczpospolita była z kolei jednym z największych państw na kontynencie; ok. 11 mln ludzi żyło na obszarze niemal 1 mln km kw. Warszawę mogło wówczas zamieszkiwać ok. 20 tys. osób.

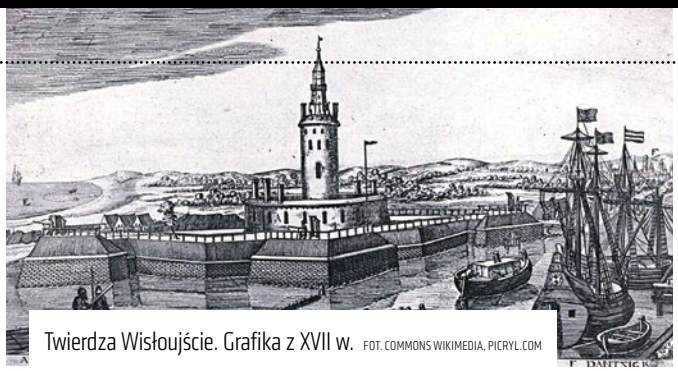
Nie przeszkadzało to Szwedom boksować znacznie powyżej swojej wagi. Mieli do tego poważne atuty. Bogate złoża rudy żelaza i nowoczesna technologia przyniesiona do Szwecji przez metalurgów z Walonii zaspokajały potrzeby armii. Wydobycie miedzi w kopalni w Falun i eksport żelaza przynosiły spore zyski przeznaczane na modernizację wojska. Już na początku XVII w. Szwedzi zaczęli reformować armię, korzystając z nowoczesnych, holenderskich wzorów. Wprowadzono przymusowy pobór, tworząc z rekrutów pozostającą w stałej gotowości piechotę narodową. Pojawiły się też regularnie wypłacany żołd, renty dla wojennych inwalidów i ich rodzin oraz nadania ziemskie za służbę. Tym sposobem Szwedzi potrafili wystawić nawet 40 tys. żołnierzy. Był to wysiłek, na który dużo ludniejsza Rzeczpospolita mogła sobie pozwolić jedynie w chwilach największego zagrożenia.

Szwedzka piechota doskonaliła się w taktyce używania piki i muszkietu, aż w końcu była w stanie zwyciężać husarię. Szwedzi utrzymywali też sporą flotę wojenną, w której skład wchodziły zarówno okręty bojowe, jak i transportowce zdolne przerzucać przez Bałtyk piechotę i zaopatrzenie, a w drugą stronę zdobyte łupy. Władający niezbyt bogatym krajem król Gustaw II Adolf wyznawał zasadę toczenia wojen na ziemiach sąsiadów, przerzucając na nich koszty działań.

Desant w Prusach

Wojny Rzeczypospolitej ze Szwecją toczyły się ze zmiennym szczęściem od początku XVII w. Ich przyczynami były chęć dominacji w regionie i uczynienia z Bałtyku „szwedzkiego jeziora” oraz kwestie dynastyczne – Zygmunt III Waza nigdy nie pogodził się z utratą szwedz-

eprasa.pl 318279d0bb



Twierdza Wisłoujście. Grafika z XVII w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PICRYL.COM

kiego tronu i próbował go odzyskać.

Walki toczyły się głównie w Inflantach, ale w 1626 r. szwedzki król postanowił zaatakować w innym miejscu. Wybór padł na Prusy Królewskie. Gustaw Adolf chciał odciąć Zygmunta III od portów, z których mogłaby wyruszyć na Szwecję polska flota inwazyjna. Tym ruchem zbliżył się też do teatru, na którym toczyła się wówczas wojna trzydziestoletnia. Szwedzki król rozważał przystąpienie do niej, nakłaniany przez Holendrów, Anglików i Francuzów. Gustaw widział siebie jako protestanckiego Lwa Północy z niemieckiej przepowiedni, który spadnie i rozszarpie habsburskiego, katolickiego Orła. Najbogatsza polska prowincja i Gdańsk zapewniłyby finansowanie działań wojennych.

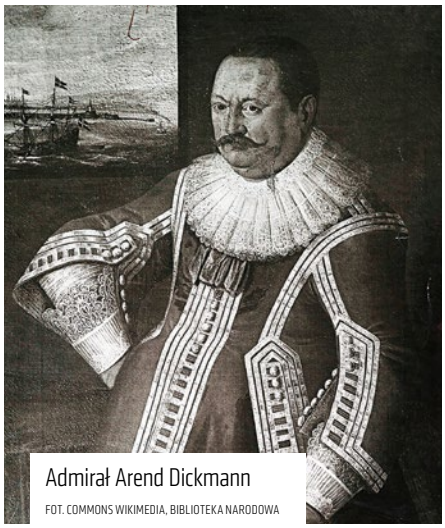
Dokładnie cztery stulecia temu, w czerwcu 1626 r., Szwedzi wylądowali w pruskiej Piławie, przy ambiwalentnej postawie elektora. Szybko zajęli 16 miast, na czele z Braniewem, Fromborkiem, Elblągiem i Malborkiem. Czternaście tysięcy Szwedów z łatwością opanowało ujście Wisły, blokując spływ statków na rzece, i przystąpiło do oblegania Gdańska. Miasto ze swoimi nowoczesnymi fortyfikacjami bastionowymi było jednak przygotowane do obrony. Pod broń powołano miejską milicję, zaciągnięto też 5 tys. cudzoziemskich najemników.

Natomiast Rzeczpospolita w żadnym razie nie była gotowa do wojny. W Prusach Królewskich stacjonowało zaledwie ok. 1,5 tys. żołnierzy. Większość polskich sił przebywała na Ukrainie, walcząc z Tatarami. Zygmunt III zarządził koncentrację wojska pod Toruniem. We wrześniu na czele 11 tys. żołnierzy ruszył w kierunku Gniewu, licząc na to, że Gustaw Adolf wyjdzie mu na spotkanie w otwartym polu. Nie sposób było oblegać warmińskich zamków z 20 działami, które ciągnęli Polacy. Szwedzi wyszli naprzeciw z 12 tys. żołnierzy i ponad 70 działami. Bitwa pod Gniewem pozostała nierozstrzygnięta, ale szwedzka piechota po raz drugi – po bitwie pod Mitawą w 1622 r. – zdołała zatrzymać husarię ogniem muszkietów i pikami.

Zimą na wojenny teatr przybył hetman Koniecpolski. Od razu zaczął aktywne działania przeciw Szwedom, zmuszając pod Hamersztynem do kapitulacji liczący 2,5 tys. żołnierzy oddział. Jednak przez następny rok walki toczyły się ze zmiennym szczęściem. Gustaw Adolf został dwukrotnie ranny. Do końca życia pozostała mu po tym pamiątka – niedowład ręki. W tym czasie protestanci w Niemczech byli w odwrocie. Wojska cesarskie zbliżały się do wybrzeży Bałtyku. Na morze lada chwila mogli wpłynąć Hiszpanie. Pod koniec października 1627 r. szwedzki monarcha wrócił do kraju, żeby zaciągnąć nowych żołnierzy, ale Zatoka Gdańska wciąż była blokowana przez szwedzkie okręty. Skutki dla polskiego eksportu, zysków szlachty i skarbu państwa były dramatyczne. W 1625 r. do Gdańska przypłynęło 1097 statków, a w 1627 r. już tylko 150.

Zaufaj marynarzom

W tej sytuacji Zygmunt III postawił na działania morskie. Król od lat chciał rozbudowywać flotę Rzeczypospolitej. Nie pozwalał mu na to jednak Sejm, skupiony na obronie Kresów Wschodnich i obawiający się planów monarchy dotyczących odzyskania tronu w Szwecji. Zygmunt w 1621 r. zlecił budowę okrętów szkockiemu kapitanowi Jakubowi Murrayowi, płacąc za to z własnej kiesy. Już w następnym roku zwodowana została dwumasztowa pinka „Złoty Lew". W kolejnym polska flota liczyła już cztery okręty, a jej organizacją zajął się starosta pucki Jan Wejher.



Admirał Arend Dickmann
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA

Tak skromne siły nie były w stanie przełamać szwedzkiej dominacji na Bałtyku, jednak całą wojnę atakowały szwedzkie okręty i statki zaopatrzeniowe, wspierając także działania na lądzie. Jak pisał do Zygmunta III hetman Stanisław Koniecpolski: „Gdyby było ze 20 dobrze armowanych okrętów, wiele by z niemi mogło było zrobić i ciężko by było nieprzyjacielowi z portu swego wyniść". Jesienią 1627 r. większość szwedzkiej floty opuściła Zatokę Gdańską, chroniąc się w macierzystych portach przed zimowymi sztormami. W zatoce pozostało ich zaledwie sześć.

To zachęciło admirała – jak ówcześnie nazywał się dowódca polskiej floty – do działania. Arend Dickmann pochodził z Niderlandów. Od 1608 r. był obywatelem Gdańska, gdzie jako kapitan i armator własnego statku od lat prowadził handel zbożem i drewnem dębowym. W wieku 54 lat wstąpił na służbę Zygmunta III, prowadząc skuteczne operacje przeciw Szwedom. 24 listopada 1627 r. Komisja Okrętów Królewskich wyznaczyła go na dowódcę floty z powodu choroby Wilhelma Appelmanna.

Dwa dni później niepowodzeniem zakończyła się pierwsza próba przełamania szwedzkiej blokady. Polski galeon „Święty Jerzy" utknął na mieliźnie, a dwie inne jednostki atakowane przez Szwedów zawróciły do portu. Ponowna okazja nadarzyła się 28 listopada. O świcie z Gdańska dostrzeżono nadpływających od strony Helu Szwedów. Ich galeony z trudem halsowały w kierunku miasta. Dickmann, korzystając ze sprzyjającego wiatru, nakazał eskadrze wyjście w morze. Po krótkiej modlitwie i odśpiewaniu psalmu okręty podniosły kotwice. Na 10 polskich jednostkach płynęło prawie 400 marynarzy i 770

eprasa.pl 318279d0bb



Abraham van Booth, „Bitwa pod Oliwą"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM PAŃSTWOWE W GDAŃSKU

żołnierzy piechoty morskiej. Szwedzi mieli 700 ludzi i 140 dział. Polskich działo było 170, chociaż przeważnie mniejszego wagomiaru.

Flagowy „Święty Jerzy" wysforował się naprzód. Za nim płynęły galeon „Latający Jeleń" i pinka „Panna Wodna". Drugą grupę prowadził galeon „Wodnik", któremu towarzyszyły fluity „Płomień" i „Biały Lew" oraz pinka „Arka Noego". „Święty Jerzy", korzystając z wiatru, szybko zbliżał się do galeonu „Tigern". Polski okręt podszedł tak blisko, że z pokładu „Świętego Jerzego" marynarze mogli zobaczyć szwedzkiego dowódcę, wiceadmirała Stiernskölda wymachującego nad głową swoim rapierem. „Święty Jerzy" oddał salwę z pokładowych dział, zabijając dwóch członków załogi „Tigerna" i pozbawiając nóg trzeciego. Jednak po chwili sam otrzymał postrzał prosto w dziób. Okręty znalazły się tak blisko siebie, że piechota morska zaczęła strzelać z muszkietów. Szwedzi wydawali się zaskoczeni; w ostatnim momencie zmienili kurs, kierując się na pełne morze. Dickmann również kazał skręcić. Po chwili polski okręt dobił burtą do szwedzkiego.

Ogień ze „Świętego Jerzego" był tak silny, że Szwedzi musieli chować się pod pokładem i w nadbudówkach. Stiernsköld dostał kulą w kark. Kiedy opatrywano mu ranę w jego kabinie, został ranny w plecy, a potem jeszcze kula armatnia urwała mu rękę. Miał trochę więcej szczęścia od swojego ordynansa, któremu urwała obie ręce. Admirał kazał trąbić sygnał do poddania się, ale zanim trębacz go wykonał, został trafiony w nogi i padł na pokład. Stiernsköld kazał wysadzić okręt w powietrze, jednak biegnący do prochowni chłopiec okrętowy też został trafiony kulą. Widząc to, ranny w szyję kpt. Stouard kazał wysadzić okręt dowodzącemu artylerią Holendrowi, ale powstrzymał go szyper. Korzystając z tego, że Szwedzi kryli się pod pokładami, jeden z polskich marynarzy przeskoczył na „Tigerna" i zaczął wspinać się po jego wantach do okrętowej bandery. Jakiś Szwed ugodził go swoją piką w pośladek. Rozgniewany Polak zeskoczył na pokład i rozłupał mu głowę toporem. Potem wspiął się na maszt i zdarł proporzec.



Admirał Nils Stiernsköld

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SWEDISH NATIONAL HERITAGE BOARD. IVAR ANDERSON

Szwedzi próbowali rzucać na pokład „Świętego Jerzego" zapalające granaty, ale załoga szybko gasiła je nasolonymi skórami. Abordaż wciąż był niemożliwy, bo Szwedzi strzelali z wnętrza okrętu. Od ich ognia zginął wtedy dowódca polskiej piechoty morskiej kpt. Jan Storch, trafiony prosto w oko.

W tym czasie do sczepionych okrętów od strony ich ruf podpłynęła „Panna Wodna", której załoga zaczęła ostrzeliwać „Tigerna" i inne szwedzkie okręty, zabezpieczając polską jednostkę przed atakiem z ich strony.

W końcu, przechodząc po kotwicy, na pokład szwedzkiego okrętu dostał się bosman Jakub Otto z jeszcze jednym marynarzem. Ze sterówki wybiegł prosto na niego z piką szwedzki kapitan Bernard Nieman. Otto uniknął ciosu, rapierem rozrąbał pikę, a potem uderzył kilka razy w głowę Niemana. Szwed padł na pokład, a Otto z towarzyszem pobiegli w kierunku rufy. Kiedy biegli po kracie nad pokładowym lukiem, zostali pokłuci pikami przez ukrywających się pod pokładem Szwedów. Rozsierdzony Otto zaczął kłuć ich swoim rapierem przez kratę. Wtedy Szwedzi krzyknęli, że chcą się poddać. Otto wspaniałomyślnie zgodził się na to i kazał im wychodzić.

W tym czasie kwatermistrz Franciszek Wessel, który przeszedł na szwedzki okręt z kilkoma ludźmi, kazał przerzucić na „Świętego Jerzego" lontownice i odebrał szwedzkiemu konstablowi klucze od magazynu prochu, żeby zapobiec wysadzeniu „Tigerna". Admirał Dickmann dał znać „Pannie Wodnej", żeby przestała strzelać. Porucznik Henryk Oloffsen pobiegł do kajuty Stiernskölda. Umierający admirał podniósł rękę i słabym głosem obwieścił, że poddaje okręt. Na „Tigerna" wszedł Dickmann z częścią załogi, by wziąć jeńców.

Krótkie morskie szczęście

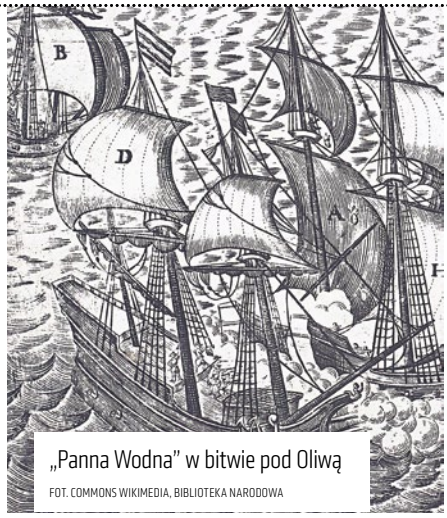
W tym czasie nieco dalej na północny zachód rozgrywała się druga część bitwy.

eprasa.pl 318279d0bb

„Wodnik” pod dowództwem kpt. Hermana Wittego popłynął w kierunku dużo większego i uzbrojonego w dwa razy więcej dział szwedzkiego „Solena”, oddając do niego kilka salw armatnich. Załoga „Solena” nie pozostawała dłużna, odpowiadając ogniem i rzucając na pokład nieprzyjacielskiego okrętu zapalające worki z prochem. „Wodnik” zdołał jednak dobić do prawej burty „Solena”, żeby rozpocząć abordaż. Witte kazał strzelać załodze dopiero wtedy, kiedy zobaczą białka oczu przeciwników. W czasie morderczej wymiany ognia zginął szwedzki dowódca – kpt. Forrat. Wydawało się, że jego zastępca poddaje okręt, wyciągając otwartą dłoń w kierunku załogi „Wodnika”. Jednak drugą ręką trzymał się want, nie chcąc przejść na jego pokład pomimo zachęt. W końcu kpt. Witte powiedział do Szweda: „Jeżeli jesteś uczciwym człowiekiem, to przejdź; jeżeli chcesz mieć możność poddania się, to powinieneś ją otrzymać tak samo jak i ja”.

Szwed wraz ze swoimi kompanami zwlekał, lekceważąc propozycję poddania. Wtedy Witte uderzył go halabardą w szyję, a okrętowy junga Tomasz Pölcke dźgnął go piką w pierś. Martwy Szwed runął do wody między okrętami. Jego kompani bronili się dzielnie pikami, udaremniając trzy polskie ataki. Kiedy w końcu Witte z częścią załogi dostał się na pokład „Solena”, zobaczył, że szwedzki szyper z zapalonym lontem i smolnym wieńcem w dłoniach biegnie w kierunku prochowni. Witte przeskoczył więc z powrotem na „Wodnika”, a za nim to samo zrobiło kilkudziesięciu Szwedów, którzy zrozumieli, co się za chwilę stanie. Szyper podpalił wieniec i skoczył z nim do prochowni, wysadzając okręt. Zginęło na nim kilkudziesięciu członków załogi „Wodnika”, w tym wspinający się po maszcie po szwedzką banderę młody marynarz Benedykt Schelf.

Tymczasem radość na zdobytym „Tigernie” nie trwała długo. Galeon „Pelikanen” przypuścił atak na „Świętego Jerzego”. W sukurs przyszedł mu „Król Dawid”, oddając w kierunku szwedzkiego okrętu salwę z burty. Do kanonady przyłączył się też „Święty Jerzy”, na który wróciła część załogi. Strzały były tak celne, że „można było dokładnie słyszeć, jak okręty trzeszczały i ludzie w nich jęczeli”. Szwedzi podnieśli nawet białą flagę,



„Panna Wodna” w bitwie pod Oliwą

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA

ale korzystając z przerwy w ostrzale i korzystnego wiatru, szybko się oddalili. Admirał stał na górnym pokładzie „Tigerna”, patrząc na uciekających Szwedów, kiedy nadlatująca armatnia kula roztrzaskała mu obie nogi. Dickmann upadł na pokład. Zdążył jeszcze tylko podziękować Bogu i kilka minut później wyzionął ducha. Nie wiadomo, czy ten feralny strzał padł z „Pelikanena”, „Latającego Jelenia”, który miał najsłabiej wyszkoloną załogę, czy z „Króla Dawida”, który z kolei znajdował się w najlepszej pozycji do oddania takiego strzału.



Proporzec polskich okrętów w XVII w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADAM KROMER „POLSKIE FLAGI”

Pozostałe szwedzkie okręty szybko oddaliły się w kierunku Piławy. Bitwa była skończona. Poległo w niej ok. 350 Szwedów oraz 47 marynarzy i żołnierzy w służbie polskiej.

Po bitwie pod Oliwą, jak nazwano to starcie, losy wojny na lądzie dalej toczyły się ze zmiennym szczęściem. W 1628 r. nieopłacane polskie oddziały walczyły tylko dzięki autorytetowi hetmana Koniecpolskiego. Gustaw Adolf, mimo znacznych posiłków przybyłych ze Szwecji (ok. 40 tys. żołnierzy), nie był w stanie przełamać oporu polskiego wojska na Pomorzu, liczącego zaledwie ok. 12 tys. żołnierzy.

Koniecpolski z pomocą habsburskich posiłków pogonił Szwedów pod Trzcianą (25 czerwca 1629 r.). Gustaw Adolf dwukrotnie wtedy cudem uniknął śmierci. Jak sam podsumował polskie wściekłe szarże husarii: „Tak wielkiej łaźni nigdym nie zażywał”. Polski hetman nie był jednak w stanie zdobyć umocnionych szwedzkich pozycji na Żuławach. Rozejmy zawarte w Starym Targu w 1629 r. i w Sztumskiej Wsi w 1635 r. przewidywały, że Szwedzi opuszczą Prusy Królewskie, ale zachowają zdobycze w Inflantach. Jak pisał prof. Krzysztof Mikulski, wojna „ujawniła kryzys państwa, a przede wszystkim słabość jego skarbu, który nie mógł sprostać rosnącym kosztom nowoczesnych działań wojennych”.

Pająk na wodzie

Bitwa pod Oliwą, chociaż była głównym polskim dokonaniem tej wojny, a nawet największym polskim zwycięstwem na morzu w dziejach, nie mogła zmienić jej wyniku. Pokazała jednak, że Rzeczpospolita jest w stanie walczyć ze Szwecją na morzu jak równy z równym. Rozwój floty dawał szanse na pokonanie wroga z północy, ujęcie w karby Gdańska i uzyskanie dochodów z handlu, które można by przeznaczyć na budowę nowoczesnych sił zbrojnych.

Szansy tej kompletnie nie wykorzystano. Szlacheccy demokraci ciągle wierzyli w potęgę swoich skrzydlatych jeźdźców i geniusz hetmanów. Morza unikali jak ognia. Sebastian Klonowic (1545–1602) pisał: „Może nie wiedzieć Polak, co to morze, gdy pilnie orze […]. Gdyż woda ludziom rzecz nieuchodzona, samym to rybom włość jest przyrodzona. Po wodzie tylko pająk cienkonogi ujdzie bez trwogi”. Jan Kochanowski wręcz przestrzegał przed żeglowaniem: „Gdzie człowieka wicher pędzi, a śmierć bliżej niż na piędzi”.

Co gorsza, słabość militarna Rzeczypospolitej uwidoczniona w wojnach ze Szwecją wzmacniała Prusy i umożliwiła Hohenzollernom połączenie ich z Brandenburgią, co prowadziło do uniezależnienia od Polski. A to była już prosta droga do jej upadku pod koniec następnego wieku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb



Kolos z kampanii 1940 r. – francuski Char B1 bis. Muzeum Broni Pancernej w Saumur FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Francja na wojskowo

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Tradycje militarne Francji są tak imponujące, że nie dziwi duża liczba jej muzeów historyczno-wojskowych. Część z nich zalicza się do ścisłej światowej czołówki z uwagi na ilość i charakter zbiorów

W ostatnich dekadach w europejskim muzealnictwie wojskowym można było dostrzec znaczące zmiany, które wynikały nie tylko z coraz większego nasycenia nowoczesnymi środkami przekazu (szeroko pojęte multimedia), lecz także z przewartościowania programu ideowego. Coraz większy nacisk na ukazywanie społecznych aspektów konfliktów zbrojnych, mający wiele pozytywnych skutków, oznaczał jednocześnie znaczące ograniczanie przestrzeni ekspozycyjnej poświęconej militariom sensu stricto. Niektóre muzea przestały być „świątyniami sławy oręża" (by posłużyć się słowami Piłsudskiego), a wiele ciekawych zabytków oddano do magazynów, co było frustrujące dla tych zwiedzających, którzy szczególnie cenili historyczną broń, mundury i wyposażenie.

Na szczęście nie wszystkie muzea poddały się tej „modzie", dzięki czemu ich aranżacje – urozmaicone cyfrowymi dodatkami – zachowały tradycyjny charakter zbrojowni. Należy do nich bez wątpienia paryskie Muzeum Armii (Musée de l'Armée), będące częścią imponującego kompleksu pałacowego, tzw. Hôtel des Invalides. Zbudowany w czasach Ludwika XIV (1638–1715) na wzór madryckiego Escorialu i przeznaczony dla weteranów oraz rannych żołnierzy został przekształcony przez Napoleona Bonaparte w panteon armii francuskiej. Złożono tu prochy wybitnych wojskowych, w tym marszałków Henriego de Turenne'a i Sébastiena de Vaubana, a potem także samego cesarza. Muzeum, które rozpoczęło swoją działalność w XIX w., obecnie liczy ponad pół miliona obiektów i stanowi jedną z ważniejszych atrakcji Paryża. Dzieje armii francuskiej prezentowane są w szerokim kontekście historycznym i obejmują okres od XIII w. do 1945 r.

Bardzo pomysłową instalacją jest drewniane przepierzenie z dużymi szybami, przez które zwiedzający mogą zajrzeć do magazynu dawnego uzbrojenia – setki zbroi z wieków XVI i XVII oraz rozmaita broń sieczna robią ogromne wrażenie. Ważną część stanowią militaria pochodzące z dawnych kolekcji monarszych, w tym efektownie zdobione uzbrojenie ochronne i zaczepne należące do królów Francji. Tu aranżacja ma charakter wybitnie tradycyjny. Efektownie, ale też bardzo przejrzyście prezentuje się ekspozycja związana z okresem napoleońskim. Kolekcja mundurów jest oszałamiająca, a wśród eksponatów można odnaleźć polonika – rogatywki szwoleżerów gwardii i ułanów nadwiślańskich. Na honorowym miejscu umieszczono

eprasa.pl 318279d0bb

pamiątki po Bonaparte – są tu m.in. jego słynne kapelusze używane podczas kolejnych kampanii wojennych.

Muzeum Wielkiej Wojny

Nieco ponad 50 km od Paryża znajduje się jedno z największych, a zarazem najnowszych muzeów wojennych w Europie – Le musée de la Grande Guerre à Meaux (Muzeum Wielkiej Wojny w Meaux). Otwarto je w 2011 r. w miejscu jednej z najbardziej decydujących bitew w historii: tu w 1914 r. powstrzymano niemiecką ofensywę na Paryż. Zwycięstwo, które ocaliło Francję, przedłużyło wojnę na kolejne cztery lata. Meaux jest muzeum bez wątpienia nowoczesnym, mieszczącym się w gmachu z pozoru surowym, ale estetycznym i bardzo funkcjonalnym. Multimedia stanowią wartościowy, ale subtelny dodatek, a część ekspozycji poświęcono na zobrazowanie przyczyn i skutków pierwszej wojny światowej.

Jednak prawdziwym atutem jest tu kolekcja militariów – imponująca pod każdym względem. Szczególnie efektownie prezentuje się zbiór umundurowania i oporządzenia używanego przez rozmaite formacje na różnych frontach Wielkiej Wojny. Polacy też są reprezentowani – trudno nie dostrzec błękitnych mundurów i rogatywek ozdobionych piastowskim orłem, noszonych przez żołnierzy gen. Józefa Hallera. W jednej z gablot pokazano zwoje oryginalnego drutu kolczastego, różnych zresztą typów. Ogromne wrażenie robi diorama okopu wykonana w skali 1:1, urozmaicona zabytkami broni i wyposażenia. Na zewnątrz zrekonstruowano typowe pozycje obronne, przez które prowadzi ścieżka edukacyjna. Nie mogło też zabraknąć jednego z symboli bitwy nad Marną – francuskiej armaty kal. 75 mm. Te szybkostrzelne działa – rażące nacierających Niemców lawiną szrapneli – miały swój wiekopomny udział w „cudzie nad Marną". Warto dodać, że to właśnie 1914 r. okazał się najbardziej krwawy w całej wojnie – nowoczesna artyleria i karabiny maszynowe zebrały potworne żniwo wśród żołnierzy pozbawionych osłon polowych i stalowych hełmów. Pod sufitem zawieszono jeden z kilku zachowanych samolotów myśliwskich Spad XIII. Była to jedna z najlepszych maszyn schyłkowego okresu wojny. Spady wykorzystywano w lotnictwie wielu armii – także polskiej w okresie walk o granice w latach 1919–1920. Eksponat prezentowany w Meaux jest depozytem podparyskiego Musée de l'air et de l'espace i nosi barwy najsłynniejszego francuskiego asa Wielkiej Wojny – René Foncka.

Czołgi w Saumur

Francja oferuje niezapomniane wrażenia również miłośnikom sprzętu ciężkiego. W Saumur, zabytkowym mieście położonym w Dolinie Loary, znajduje się jedno z najsłynniejszych muzeów broni pancernej na świecie. Musée des Blindés de Saumur otwarto dla publiczności w 1987 r. jako wspólne przedsięwzięcie wojskowego Centrum Badawczego i cywilnego Stowarzyszenia Przyjaciół Muzeum Czołgów. Na wystawie stałej zgromadzono kilkaset czołgów z obu wojen światowych i z okresu po 1945 r. Obiektów stale przybywa, a placówka prowadzi ich kompleksową renowację połączoną z odtwarzaniem brakujących elementów. Organizuje też wiele imprez, podczas których odbywają się pokazy dynamiczne. Saumur szczyci się wieloma unikatami, w tym bogatym zespołem pojazdów Wehrmachtu. Miłośników „pancerki" przyciągają zwłaszcza niemieckie Tygrysy (są tu oba ich typy), ale warto też zwrócić uwagę na pojazdy mniej znane i dużo rzadsze. Należy do nich np. niszczyciel czołgów Panzer IV/70(A), zbudowany na podwoziu czołgu Panzer IV i uzbrojony w potężną długolufową armatę kal. 75 mm. Zbudowano ich zaledwie 278 sztuk. Pojazd prezentowany w muzeum został uszkodzony i zdobyty przez oddziały francuskie w grudniu 1944 r. Zachowano w nim liczne przestrzeliny, które można porównać z archiwalnym zdjęciem z frontu. Ogromną atrakcją Saumur są czołgi z pierwszej wojny światowej, zwłaszcza że poza kilkoma Renault FT są też unikatowe francuskie „dziwaki" – St. Chamond i Schneider – oba uzbrojone w „siedemdziesiątki piątki". Podarowano je po 1918 r. Amerykanom; powróciły do ojczyzny po kilkudziesięciu latach. Poza sprzętem francuskim są też wozy brytyjskie, włoskie, amerykańskie czy sowieckie. Większość z udokumentowaną historią. Na przykład sowiecki KW-1 z partii wyprodukowanej w 1940 r. został zdobyty przez Niemców, a następnie przekazany walczącym przeciwko Stalinowi oddziałom RONA utworzonym przez gen. Własowa. Jeśli chodzi o czasy bardziej współczesne, to muzeum prezentuje niemal wszystkie najsłynniejsze konstrukcje ze wszystkich stron świata – Leopardy, Abramsy, T-72, Challengery. Są też te mniej znane – np. mastodontyczne francuskie ARL-44 i AMX-50 (prototyp). Oba z armatami kal. 120 mm i ważące – odpowiednio – 50 i 58 t.

Opisane placówki należą do najlepszych muzeów historyczno-wojskowych na świecie, ale Francja oferuje entuzjastom militariów dużo, dużo więcej. Niezapomnianym przeżyciem jest zwiedzanie fortów i pola bitwy pod Verdun czy wycieczka szlakiem D-Day i zmagań w Normandii (upamiętniono tutaj m.in. polską 1. Dywizję Pancerną). Francja była zawsze krajem bardzo bogatym, a to przekładało się na imponujące inwestycje obronne. Średniowieczne mury obronne Carcassonne, nowożytne twierdze zaprojektowane przez Vaubana czy słynna przedwojenna Linia Maginota stanowią obowiązkowy punkt programu dla miłośników fortyfikacji. Ci, którzy wolą czasy bardziej zamierzchłe, powinni umieścić na swej liście muzea archeologiczne, w których zgromadzono sporo unikatowego uzbrojenia rzymskiego.



Zbroja z początku XVII w. należąca do króla Henryka IV. Muzeum Armii w Paryżu FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb



Spirala DNA (podwójna helisa)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/PIXABAY.COM/GERALT

Naukowe panta rhei / Od Kopernika do DNA

Manowce nauki



Tymoteusz Pawłowski

Postęp naukowy nie posuwa nauki do przodu w sposób liniowy i często jest jedynie pozorny albo zmusza do zweryfikowania teorii uznawanych już powszechnie za „jedynie słuszne”

W 1543 r. Mikołaj Kopernik przedstawił pracę „O obrotach sfer niebieskich”. Dzieło to zasłynęło z twierdzenia, że środkiem Układu Słonecznego jest Słońce, a wszystkie planety krążą wokół niego. Ta autorska teoria Kopernika była tylko pozornie zbieżna ze stanem faktycznym. Zakładała bowiem m.in., że gwiazdy są nieskończenie odległe od Ziemi, a planety krążą po orbitach kołowych i wykonują wokół nich jeszcze ruch po epicykloidach. Prezentowała też wiele innych błędów, które dzisiaj trudno jest wytłumaczyć, chociażby dlatego że Kopernik stworzył własny system terminów fachowych, nigdy później nieużywanych: nawet współcześni astronomowie nie są w stanie jednoznacznie ich interpretować.

Zasługą Kopernika jest zauważenie faktu, że Ziemia nie jest centrum wszechświata. Twierdzenie to nie zostało jednak przez niego w sposób satysfakcjonujący udowodnione. Sceptyczny był chociażby kler, ale nie katolicki, lecz protestancki: Marcin Luter nazywał Kopernika głupcem, a Jan Kalwin – heretykiem. Natomiast papież Urban VIII stwierdził, że „Kościół katolicki nigdy nie uznał dzieł Kopernika za heretyckie i nigdy tego nie uczyni”.

„O obrotach sfer niebieskich” nie było herezją, ale wartość naukowa tej pracy szybko się zdezaktualizowała. Podobne przygody przeżywał w początkach XVII w. Galileusz, który trafił nawet dwukrotnie przed sąd kościelny. Rzekomo – za głoszenie herezji o heliocentryzmie. Faktycznie – za brak argumentów naukowych: najpierw, gdy wspierał heliocentryzm, reinterpretując Biblię (co nie jest zadaniem astronomów, lecz teologów), a drugi raz, gdy brakowało dowodów – za obrazę papieża Urbana VIII. Za pierwszym razem warunkowo umorzono sprawę, a za drugim skazano Galileusza na trzy lata aresztu domowego. Czyli potraktowano go dość łagodnie: w dzisiejszej Polsce za znieważenie głowy państwa można trafić do więzienia na pięć lat.

To tylko teoria

„O obrotach sfer niebieskich” nie zostało zabronione w indeksie ksiąg zakazanych, natomiast w 1616 r., przy okazji „sprawy Galileusza”, nakazano wprowadzenie do dzieła poprawek, które wyraźnie określałyby, że Kopernik nie przedstawił faktów, a jedynie teorię. Teorię, która nie wytrzymała próby czasu; dziś wiemy bowiem, że wszechświat jest dużo bardziej skomplikowany, niż wydawało się to polskiemu astronomowi. I właśnie słowo „teoria” jest niezmiernie dla nauki ważne.

W nauce rozróżnia się trzy główne stany wiedzy o różnym stopniu prawdopodobieństwa: prawo fizyczne, teorię naukową oraz hipotezę. Prawa fizyki określają pewien niezmiennik obecny w przyrodzie, ale nawet one mogą zmienić się w związku z postępem. Teoria naukowa to uogólnienie zjawisk, dobrze uzasadnione w sposób teoretyczny albo doświadczalny, które nie jest jednak pewnikiem. Natomiast hipoteza jest zwykłym przypuszczeniem, że świat działa tak, jak się naukowcowi wydaje.

Szczególne miejsce w sporze naukowym zajmują teorie naukowe dotyczące rozwoju życia na Ziemi. Teorii takich mamy sporo: jest wiele teorii ewolucyjnych i wiele teorii kreacjonistycznych. Część z nich została obalona, jak chociażby teoria kreacjonistyczna mówiąca o tym, że świat został stworzony 22 października 4004 r. przed Chrystusem. Teoria ewolucji również została obalona, przynajmniej ta, z której pochodzi znana fraza, że „narządy używane rozwijają się, a nieużywane – zanikają”. Jej autorem był profesor Jean-Baptiste de Lamarck – wygłosił ją w 1809 r.

W 1858 r. Alfred Wallace i Karol Darwin przedstawili na zebraniu Towarzystwa Linneuszowskiego nieco inną

eprasa.pl 318279d0bb



Mikołaj Kopernik. Portret w Ratuszu Staromiejskim w Toruniu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FROMBORK. ART.PL

teorię ewolucji, której podstawą jest koncepcja doboru naturalnego, nazywana walką o byt. Obaj panowie następnie się pokłócili. Zwycięzcą sporu okazał się Darwin, ponieważ ta konkretna teoria ewolucji nazwana została darwinizmem. Naukowe losy ewolucji darwinistycznej są niemal identyczne jak losy heliocentryzmu kopernikańskiego: obie teorie przedstawiały nową jakość, ale błyskawicznie się zdezaktualizowały, ponieważ świat jest inny, niż wyobrażali to sobie Darwin i Kopernik.

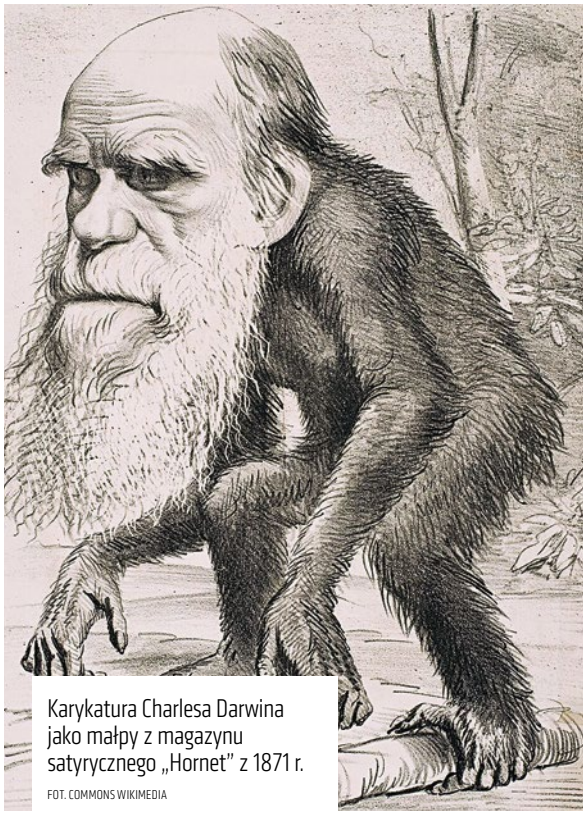
Można ewolucjonizm sprowadzać do stwierdzenia, że „człowiek pochodzi od małpy". Można również kreacjonizm skrócić do zdania: „Świat stworzono w ciągu sześciu dni" i pokłócić się o to przy świątecznym stole. Tak naprawdę jednak rzecz polega na tym, że nauka się rozwija, coraz dokładniej poznajemy świat, a obalenie jednej hipotezy z reguły prowadzi do powstania kilku innych. To, co zastąpiło darwinizm – syntetyczna teoria ewolucji – ma poważne podstawy naukowe, ale również i nowoczesny kreacjonizm używa racjonalnych argumentów naukowych. Obie teorie wcale się zresztą nie wykluczają.

Świat przyśpiesza

Darwinizm miał wiele wad, z których spór z Kościołem – głównie protestanckim – był najmniej istotny. Niemal od razu zauważono, że ewolucja biologiczna nie jest jednostajna, jak chciał Darwin, tylko postępuje skokowo: stąd wzięły się nieustanne poszukiwania „brakujących ogniw". Darwin zlekceważył również prace Gregora Mendela nad dziedziczeniem. Im dokładniej poznawano tajniki biochemii, tym więcej było wątpliwości. W dodatku Darwin zakładał, że najwyższą formą rozwoju jest biały człowiek, co nadało tej teorii rasistowski charakter.

Gwóźdź do trumny darwinizmu wbiła genetyka. Organizmy się zmieniają, ale nie stoi za tym żadna „walka o byt", tylko różnicująca się pula genowa. W 1962 r. czworo biochemików otrzymało Nagrodę Nobla za opracowanie modelu DNA, a w 2001 r. opublikowano sekwencję genomu ludzkiego. Nie tylko doprowadziło to do rewolucji wśród ewolucjonistów i zaprezentowania „trzeciej drogi ewolucji", lecz także wprowadziło olbrzymie zamieszanie w innych naukach biologicznych.

Pierwszą ofiarą byli systematycy, czyli biologowie zajmujący się od połowy XVIII w. – wzorem Karola Linneusza – klasyfikowaniem, opisywaniem i nazywaniem organizmów żywych. Dwa i pół stulecia czynili to głównie na podstawie budowy badanych organizmów. Okazało się jednak, że pokrewieństwo genetyczne bardzo często nie zgadza się z teoretycznym „pokrewieństwem systematycznym". Praca całych pokoleń biologów poszła jak krew w piach; to, czego uczyliśmy się w szkole o gatunkach, rodzajach itp., okazało się funta kłaków warte, a systematycy, zamiast potwierdzać sekwencjonowaniem DNA słuszność teorii Linneusza, zajęli się zmienianiem nazw gatunkowych. W Polsce poczciwa świnka morska stała się kawią domową, foka szara – szarytką morską, a orzeł bielik – zwykłym bielikiem.



Karykatura Charlesa Darwina jako małpy z magazynu satyrycznego „Hornet" z 1871 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Problem z Aspergerem

Powody do narzekania mają także psychologowie, którzy w końcu XX w. mieli nadzieję, że sekwencjonowanie DNA udowodni, iż obserwowane przez nich zaburzenia – np. ADHD czy zespół Aspergera – okażą się jednostkami chorobowymi. DNA wysekwencjonowano, ale nie znaleziono w nim odpowiednich genów. Być może – to stwierdzenie wprawi w złość genetyków – źle szukano. Być może – to stwierdzenie wprawi w złość psychologów – to nie są wcale choroby. Na razie górą są genetycy, a psychologowie i medycy zmienili swoje podejście do niektórych zaburzeń: z Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób zniknął zespół Aspergera. Także dlatego, że „przypomniano" sobie, iż Hans Asperger był austriacko-niemieckim nazistą, który swoje badania prowadził przy okazji akcji T4, czyli eutanazji chorych psychicznie (warto pamiętać, że akcja T4 była zainspirowana prymitywnie rozumianym darwinizmem. W XXI w. świat gwałtownie przyśpieszył. Pojawiły się nowe metody badawcze i nowe możliwości techniczne, ale doszły do tego jeszcze – też ważne dla nauki – nowe uwarunkowania polityczne. Może się okazać, że opinia prezydenta czy kanclerza z zaprzyjaźnionego – albo przynajmniej sąsiedniego – państwa, połączona z nowymi odkryciami naukowymi, o 180 stopni zmieni nasze rozumienie świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb



Poszukiwanie zwłok ofiar katastrofy w Gibraltarze FOT. NAC

1943–2026 / Rocznica katastrofy Liberatora

Widzieliśmy śmierć Sikorskiego



Piotr Zychowicz

Czternaście lat temu udało mi się dotrzeć do dwóch brytyjskich świadków katastrofy gibraltarskiej. Czy ich relacje pomogą rozwikłać zagadkę?

4 lipca 1943 r. samolot z gen. Władysławem Sikorskim rozbił się, startując z lotniska na Gibraltarze. Liberator uderzył o wodę tuż za pasem startowym. W katastrofie zginął premier i Naczelny Wódz oraz 15 towarzyszących mu osób. Przeżył tylko czeski pilot Eduard Prchal.

Katastrofa gibraltarska jest jednym z najbardziej tajemniczych polskich wydarzeń drugiej wojny światowej. Wypadek czy zamach? A jeżeli zamach, to kto za nim stał? Brytyjczycy? Niemcy? Sowieci? Piłsudczycy? Sprawa ta wzbudza namiętne dyskusje i teorie. Powstają na jej temat książki, artykuły i filmy.

Przeglądając swoje archiwum, natrafiłem na ciekawe relacje, których wysłuchałem w lutym 2012 r. z ust dwóch ostatnich żyjących świadków katastrofy. Mowa o brytyjskich żołnierzach stacjonujących wówczas na Gibraltarze. Nazywali się Sidney Knowles i Kenneth Brooks. Te ciekawe relacje stały się kanwą okładkowego tekstu, który opublikowałem wówczas w „Rzeczpospolitej".

Ponieważ od czasu ich publikacji upłynęło 14 lat, myślę, że warto – w 83. rocznicę tragedii – je przypomnieć. Szczególnie że mogą pomóc przyszłym badaczom w wyjaśnieniu zagadki Gibraltaru.

– To było kilka minut po 11 wieczorem. Siedzieliśmy w porcie, w którym sprawdzaliśmy, czy poniżej poziomu wody do wpływających statków nieprzyjaciel nie przyczepił min magnetycznych. Nagle usłyszeliśmy ryk silników startującego samolotu. Od razu się zorientowałem, że coś jest nie tak. Po kilku sekundach doszedł do nas potężny huk. Maszyna runęła do wody, rozbiła się. Natychmiast zawyły syreny alarmowe – opowiadał mi Sidney Knowles.

Knowles był ostatnim żyjącym członkiem oddziału brytyjskich płetwonurków, w którym służył słynny Lionel Crabb. Gdy płetwonurkowie usłyszeli uderzenie samolotu o wodę, natychmiast wskoczyli do łodzi i ruszyli w stronę miejsca katastrofy.

– Gdy tam przybyliśmy, przy wraku znajdowała się już inna jednostka ratunkowa. Samolot spadł dość blisko brzegu. Leżał do góry brzuchem. Część wystawała z wody. Wokół pływały jakieś przedmioty oraz trzy ciała. Między innymi, jak się później dowiedzieliśmy, ciało Sikorskiego. Świeciliśmy na nie reflektorem. Polski premier unosił się na wodzie. Twarzą był zwrócony w dół. Miał szeroko rozłożone ręce – relacjonował Knowles.

Jednostką, która dotarła do Liberatora jako pierwsza, był ratunkowy okręt HSL-181. Właśnie na jego pokładzie znajdował się mój drugi rozmówca Kenneth Brooks.

– Byłem radiooperatorem. Tej nocy przypadał mój dyżur i to ja odebrałem wiadomość o tym, co się stało. Była bardzo krótka. Powiedziano nam, że przy brzegu rozbił się startujący samolot, i rozkazano, abyśmy natychmiast ruszyli na pomoc – powiedział mi Brooks.

Liberator spadł do wody o godz. 23.07. HSL-181 dotarł na miejsce sześć minut później, o godz. 23.13.

– W świetle reflektorów zobaczyliśmy wystający z wody kadłub maszyny. Nie uleciała daleko. To mogło być 100, góra 200 metrów od końca pasa startowego – relacjonował Kenneth Brooks, który wybiegł na pokład, żeby pomóc kolegom w akcji ratunkowej.

– Wokół wraku pływały trzy ciała, które siła uderzenia wyrzuciła poza maszynę. Zwodowaliśmy ponton ratunkowy i za jego pomocą wciągnęliśmy ciała na pokład. Okazało się, że jeden z mężczyzn żyje. Był to

eprasa.pl 318279d0bb



Generał Władysław Sikorski w drzwiach Liberatora FOT. CAF/PAP

pilot Prchal. Był w szoku. Pozostali dwaj mężczyźni byli martwi. Jednym z nich był Sikorski – opowiadał Brooks.

Według niego polskiego premiera zidentyfikowano natychmiast po wyłowieniu z wody.

– Poświeciliśmy na jego twarz latarkami. Jako pierwszy rozpoznał go nasz oficer. Nie było to trudne, bo znaliśmy Sikorskiego z gazet i kronik filmowych. To była wówczas naprawdę wielka figura – dodał.

Zorientowawszy się, kogo mają na pokładzie, brytyjscy marynarze z HSL-181 natychmiast skierowali jednostkę do brzegu. Tam przyjechały już karetki pogotowia i policja. Zaczęli zbierać się jacyś ludzie.

– Choć od tego wydarzenia minęło 68 lat, cały czas mam ten widok przed oczyma. Ciało generała było mocno uszkodzone w wyniku uderzenia. Nie wyglądał dobrze. Zwróciłem też uwagę, że Sikorski był bez munduru, w samej bieliźnie – mówił brytyjski marynarz.

Relacja ta potwierdza inne informacje, które wcześniej pojawiły się na temat ciała. Generał Sikorski rzeczywiście w chwili śmierci był bez munduru, który zdjął, szykując się do snu. Miał w Liberatorze rozłożony materac i postanowił wykorzystać nocny lot do Londynu, aby odpocząć. Ponieważ maszyna nie mogła lecieć nad terytorium neutralnej Hiszpanii, lotnicza podróż naokoło Półwyspu Iberyjskiego zajmowała ok. 9,5 godziny.

HSL-181 przez kolejne dni brał udział w akcji ratunkowej.

– Liberator leżał bardzo płytko. Na jakichś pięciu, góra dziewięciu metrach. Znakomicie widzieliśmy całą maszynę. Na jej kadłubie odbijały się słoneczne refleksy. Była rozbita i przełamana na pół. Płetwonurkowie podawali nam ciała i inne przedmioty wydobyte z wraku, a my układaliśmy je na pokładzie – opowiadał Kenneth Brooks.

Jednym z płetwonurków, który schodził pod wodę, był Sidney Knowles.

– Część ciał była poza samolotem, inne w środku. Do wraku dostaliśmy się przez jeden z boków, który był rozpruty jak puszka. Wewnątrz Liberatora była bardzo słaba widoczność. Znajdowało się tam dużo tytoniu, który puścił sok i zafarbował na brązowo wodę. Środek maszyny był zdemolowany. Pamiętam jedno ciało wciśnięte w kąt samolotu pomiędzy rozbite elementy konstrukcji – relacjonował Knowles.

Jak wspominał mój rozmówca, kierujący akcją ratunkową brytyjscy oficerowie kazali im znaleźć i wydobyć z wraku „bardzo ważne dokumenty", które miały się znajdować na pokładzie Liberatora.

– Na tych papierach naszym przełożonym zależało szczególnie. Co w nich mogło być – nie wiem. Rzeczywiście znaleźliśmy w Liberatorze jakieś dokumenty, ale były zamoczone i rozmyte. Nie udało nam się natomiast odnaleźć córki Sikorskiego – opowiadał Sidney Knowles.

Chodzi o Zofię Leśniowską, która towarzyszyła ojcu w podróży na Bliski Wschód. To właśnie wracając z inspekcji stacjonujących tam wojsk, generał zatrzymał się na Gibraltarze. Pomimo usilnych poszukiwań jej ciała nigdy nie udało się odnaleźć. Sprawa ta zresztą do dziś jest przedmiotem spekulacji i inspiracją do snucia rozmaitych teorii. Według jednej z nich Leśniowska przeżyła, ale została uprowadzona przez... sowieckich płetwonurków i wywieziona do Moskwy.

Zarówno Brooks, jak i Knowles byli świadkami, jak po zakończeniu akcji ratunkowej, 17 lipca, Liberator był wyciągany z dna za pomocą potężnego dźwigu umieszczonego na statku „HMS Moorhill". Nie było to łatwe, bo ważący nawet 27 ton samolot po uderzeniu w wodę z prędkością 270 km/h był mocno pogruchotany i w trakcie całej operacji się rozpadał. Skrzydło, które urwało się podczas wydobycia, miało zabić jednego z hiszpańskich robotników.

Gdy rozmawiałem z mężczyznami, Kenneth Brooks miał 88 lat i mieszkał w Walii, a Sidney Knowles miał lat 90 i żył w południowej Hiszpanii. Obaj byli prawdopodobnie ostatnimi żyjącymi świadkami akcji ratunkowej na Gibraltarze. O ich istnieniu długo nikt nie miał w Polsce pojęcia. Człowiek, który ich odnalazł, Mieczysław Jan Różycki, na ich trop trafił przez stowarzyszenia weteranów. To właśnie Różycki skontaktował mnie z obydwoma Brytyjczykami.

Różycki to znany badacz katastrofy gibraltarskiej z Krakowa, który przez 20 lat badań zebrał na całym świecie imponujący materiał.

– Relacje Brooksa i Knowlesa mogą mieć kolosalne znaczenie w wyjaśnieniu katastrofy gibraltarskiej. Każdy szczegół zapamiętany przez świadków może być na wagę złota. Są w stanie opowiedzieć, jak wyglądał samolot po katastrofie, gdzie dokładnie spadł, w jakim stanie były ciała – przekonywał mnie Różycki.

To, że udało mu się znaleźć dwóch uczestników akcji ratunkowej, wprawiło historyków w zdumienie.

– To naprawdę sensacyjna wiadomość. Jeżeli ci ludzie byli przy wydobywaniu ciał i widzieli wrak samolotu, to mogą udzielić informacji kluczowych dla wyjaśnienia katastrofy – mówił mi, nieżyjący już, Jan Ciechanowski, znany historyk z Londynu i weteran armii Andersa, który w latach 80. razem z wnukiem Winstona Churchilla badał okoliczności śmierci Sikorskiego.

– Ktoś z Polski powinien natychmiast pojechać do obu marynarzy i przeprowadzić profesjonalne przesłuchania. Trzeba się spieszyć, przecież ci faceci mają po 90 lat – podkreślał Ciechanowski.

Według niego bardzo ważne mogą się okazać „wszelkie informacje dotyczące stanu technicznego wraku oraz obrażeń i zachowania jedynego ocalałego z katastrofy, Pchrala". Przez część badaczy jest on bowiem podejrzewany o współudział w ewentualnym zamachu.

Gdy przeprowadziłem wywiady z obydwoma panami, trwało wówczas – wszczęte w 2008 r. – śledztwo IPN w sprawie katastrofy gibraltarskiej. Jego elementem była ekshumacja ciała gen. Sikorskiego z Wawelu. Gdy zadzwoniłem do IPN z informacją o odnalezieniu dwóch świadków, Instytut wykazał zainteresowanie.

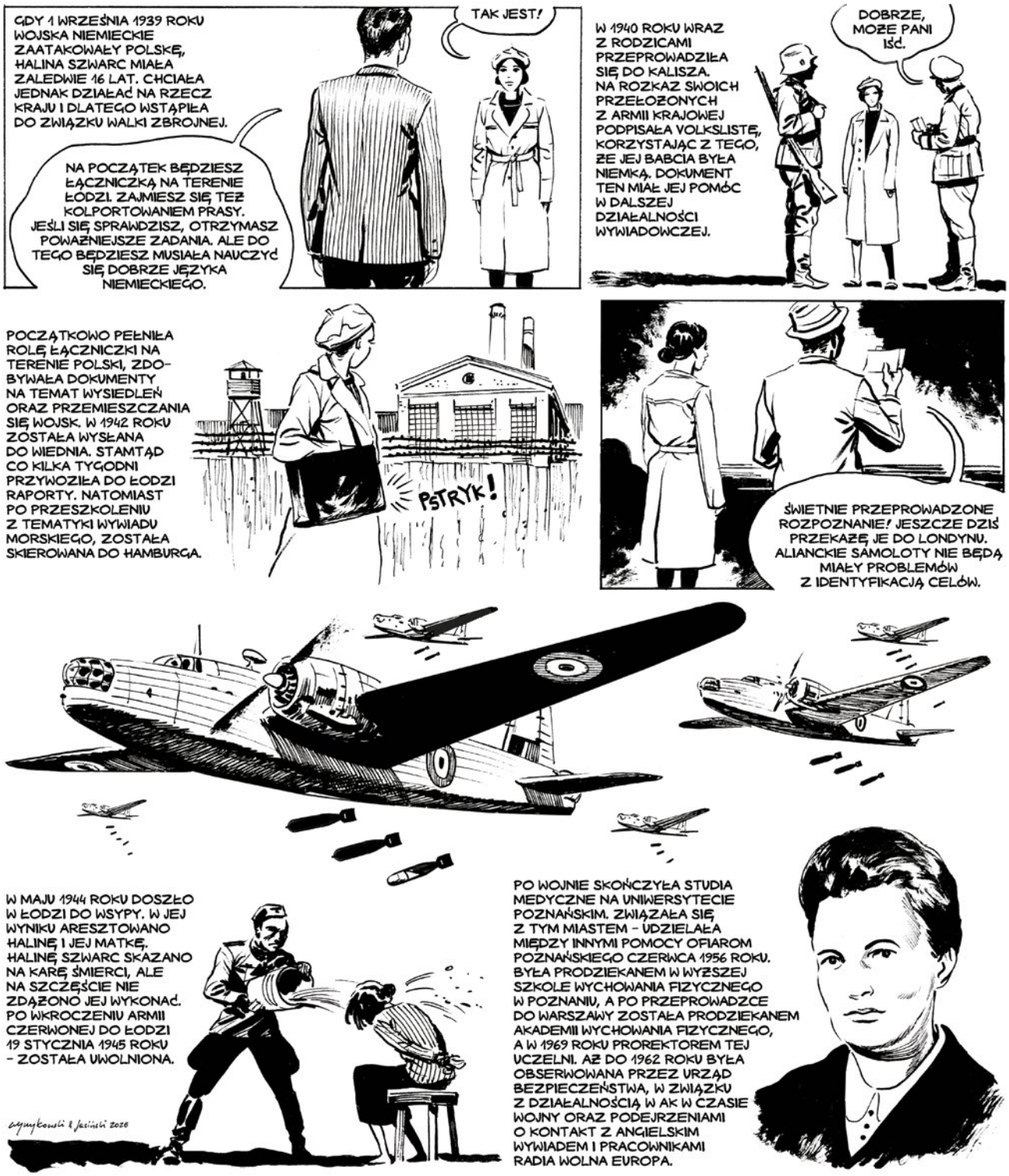
– Obydwaj panowie powinni zostać przesłuchani z zachowaniem wszelkich procedur i na mocy porozumień o współpracy prawnej z państwami, których są obywatelami. To dość skomplikowana operacja – mówił mi wówczas prokurator IPN Marcin Gołębiewicz, który prowadził śledztwo w sprawie katastrofy Liberatora. – Gdy tylko uzyskamy od pana Różyckiego dane obu świadków, będziemy mogli wystąpić do Hiszpanii i Wielkiej Brytanii z wnioskami o współpracę prawną w tej sprawie. Liczymy, że obaj panowie pomogą nam rozwikłać zagadkę śmierci Naczelnego Wodza i premiera Rzeczypospolitej.

Jak potoczyła się ta sprawa? Czy brytyjscy świadkowie zostali przesłuchani? Nie wiem. Domyślam się, że dziś obaj panowie już nie żyją. Tym bardziej warto przypomnieć, co powiedzieli mi w 2012 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 318279d0bb

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl 318279d0bb

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA GRZEGORZ KUCHARCZYK: „MONARCHIA POLSKA”

Nie byłoby królestwa w Polsce, gdyby nie chrzest Mieszka I oraz ustanowienie w 1000 roku hierarchicznego ładu polskiego Kościoła – pisze prof. Grzegorz Kucharczyk, autor wielu poczytnych książek historycznych. Zjednoczenie ziem polskich pod berłem królewskim przez Bolesława Chrobrego w roku 1025 było dowodem wielkości państwa oraz jego suwerenności. Od początków nasi władcy, tak samo ich poddani, zorientowani byli na współpracę z papieskim Rzymem, a rola Kościoła jako gwaranta nie tylko szerzenia i pogłębiania nauki ewangelicznej, ale także jedności narodowej nigdy nie była podważana. Aż do czasów komunistycznych i do dnia dzisiejszego, kiedy władza oświadcza wprost, że będzie katolików „opiłowywać”. Przy okazji redukuje się do minimum uczciwą edukację historyczną w szkołach – są to wszystko działania antypolskie.

Ta książka jest natomiast znakomitym narzędziem do umacniania patriotyzmu oraz uzupełniania wiedzy o państwie polskim, które przez ponad 800 lat było monarchią. Autor, świetnie władający językiem literackim, dokonuje syntezy panowania naszych królów od Chrobrego aż po Królestwo Kongresowe. A nawet po wiek XX, bowiem prof. Kucharczyk na koniec słusznie stwierdza: „Mieliśmy szczęście żyć w czasach, gdy naszą wspólnotę umacniali dwaj niekoronowani królowie Polski – bł. kardynał Stefan Wyszyński, Prymas Polski, oraz św. Jan Paweł II”.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

178 zł

oszczędność 80 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 318279d0bb

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 318279d0bb